



ARTUR JUSTYŃSKI

Opowieści z za rzeki



ARTUR JUSTYŃSKI

Opowieści z za rzeki

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2017

© Copyright by Artur Justyński, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment tekstu nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Aleksandra Mikołajko

Skład: Aleksandra Mikołajko, Wojciech Ławski

Korekta: Ewa Korościk-Błauciak

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

ISBN: 978-83-7856-925-1

Wydawnictwo Poligraf

ul. Młyńska 38

55-093 Brzezina Łąka

tel./fax (71) 344-56-35

www.WydawnictwoPoligraf.pl

*Moim córeczkom
Ali i Gabrysi*

SPIS TREŚCI

Wstęp

Młotek bezprzewodowy

Przebudzenie

Karlson-city

Gabriel

Polowanie

Wiedźma

Plemię

Aerodromofobia

Wypadek

Zielony słoń

Seter irlandzki

Stróż i biedronka

WSTĘP

Wstępy są zbyt długie i zbyt poważne, dlatego zamiast wstępu niezbyt długie i niezbyt poważne opowiadanie.

MŁOTEK BEZPRZEWODOWY

W pociągu relacji Piekiełko - Czarty, w przedziale dla palących, siedział starszy siwiejący mężczyzna. Pociąg miał odjechać ze stacji o godzinie 20:26. Mężczyzna spojrzął na zegarek, była 19:59 i właśnie wtedy do jego przedziału wszedł młody człowiek liczący około dwudziestu pięciu lat. Było to o tyle dziwne, że człowiek ten wszedł na rękach otwierając drzwi przedziału butem, a konkretnie trampkiem.

- Wolne? - zapytał z pozycji kolan starszego mężczyzny.

- Tak - odparł starszy i przekrzywiając głowę dodał: - Proszę siadać.

Młody w sposób dość ekwilibrystyczny zajął drugie wolne miejsce przy oknie przeciwne do kierunku jazdy, co nawet do niego pasowało. Starszy, doświadczony człowiek nie był zbyt zdziwiony, kombinował sobie raczej dlaczego młody chodzi na rękach, a teraz

siedzi, jeśli można nazwać to siedzeniem, z nogami opartymi o półkę zawieszoną pod sufitem. Jego niezwykle wydajny mózg analizował i rozważał najróżniejsze możliwe przyczyny.

- Pewnie dziwi Pana moja odmienność? - zapytał młody.

- Niezupełnie - odparł starszy w chwili, kiedy do przedziału zaczęli wchodzić pozostali podróżni, przed momentem jeszcze opuszczający pociąg kończący bieg po drugiej stronie peronu.

Wszyscy oni ładowali się bardzo powoli przyglądając się dość sceptycznie siedzącemu teraz w pozycji embrionalnej-odwróconej młodzieńcowi. Wiekowa pani, która weszła jako pierwsza, usiadła obok starszego mężczyzny i nie odrywając wzroku od odwróconego, zaczęła szukać czegoś usilnie w torebce. Po czym wyjęła binokle i przystawiając je do oczu, zmierzyła mężczyznę od głowy od czubków trampek dyndających nad embrionem.

- Zapewniam szanowną panią, że nie jestem obłąkany.

- Może chory? - odparła staruszka wyciągając z torebki paczkę papierosów bez filtra.

Wyjęła jednego, obsadziła w szklanej fifce i zakładając nogę na nogę w stylu dystyngowanych pań z wyższych sfer, zapaliła papierosa. Starszy mężczyzna widząc dym papierosowy otworzył usta z przerażenia i zaniemówił. Szybko wypadł na korytarz i założywszy okulary łapczywie zaczął przeszukiwać szyby przedziałowych drzwi, spodziewając się zobaczyć przekreślony papieros. Nie zobaczył. Za to nad drzwiami, o zgrozo! wisiał sobie w gablotce za szybką prawdziwy pet z podpisem w trzech językach „TU WOLNO PALIĆ”. I kolejny raz jego analityczny mózg zaczął wyszukiwać w czasie już dokonanym zdarzeń tym razem związanych bezpośrednio z kupnem biletu kolejowego. Po krótkiej projekcji był pewny, że na pytanie: - Dla palących? - odparł: - Tak. Ale dlaczego? Ach tak, rozważał przecież wtedy rzecz o wiele ważniejszą. Nie pamiętał jaką, ale słowo „tak”, pasowało może nie do pytania sprzedawczyni, a do jego wewnątrzmoźgowego potoku logicznie wynikających po sobie stwierdzeń. Co to była za pechowa płatanina? Nie mógł sobie

przypomnieć. Zganił tylko w duchu swoje myśli, kiedy oczom jego ukazały się białe, niewieście nogi. Biel była tak ujmująca, że zamyślił się na chwilę, skąd się wzięła, bo nie wynikała tylko z kontrastu między czarnymi, legginsami znajdującymi się u góry i także czarnymi skarpetami u dołu. W odpowiedzi wyobraził sobie jakiś kłopot dermatologicznej natury nękający skórę kobiety, niepozwalający na publiczne wystawianie wdzięków na słoneczne pieścizny, skutkiem czego bladość była tak piorunująca. Nogi zniknęły tak szybko, jak się pojawiły, w przeciwieństwie do problemu nikotynowego dymu, którego szczerze nie znosił. I kiedy już zaczął zastanawiać się nad wyjściem z sytuacji, jego wzrok, który zawędrował na wyższe pułapy, zatrzymał się na drewnianej skrzyneczce, gdzie zza szybki, zdawać by się mogło, uśmiechał się do niego młotek bezprzewodowy. Pierwsza myśl, jaka wyfrunęła spod siwych włosów była taka, że to sam Bóg zesłał mu rozwiązanie problemu w takiej postaci. Drugą było pytanie, jak posłużyć ma mu ten iście diabelski, nie wiedzieć czemu tak pomyślał, przedmiot.

Stuknął szybką, opróżnił wiszącą skrzyneczkę i wszedł do przedziału dzierżąc w dłoni ów młoteczek niczym broń wymyślną. Przekonany zarówno o jego skuteczności, jak i o mocy drzemiącej w niepozornym wnętrzu, podszedł do starszej dystyngowanej kobiety i pacnął ją w głowę przyjmując pozę szermierza. Kobieta oniemiała. Otworzyła usta gotowe do wrzasku i zamarła. Zamknęła je, znowu otworzyła i kolejny raz... nic. Mężczyzna, z widocznym zadowoleniem z nieomyślności toku swojego myślenia ponownie stuknął ją, tym razem mocniej, w sam czubek spiętej kępy siwych włosów. Kobieta zareagowała dokładnie tak, jak się spodziewał, a mianowicie otworzyła usta, wysunęła maksymalnie do przodu język i zgasiła na nim papierosa. Wsunęła powstałą popielniczkę na miejsce i zaczęła w zadumie żuć. Młoteczkowy podszedł do młodzieńca i w plątaniu rąk i nóg odnalazł czerep. Zrobił zamach i z gracją starszego pana puknął przyjmując przeciwiczną poprzednio pozę. Młodzieniec wbrew swojej woli zaczął rozplątywać się, prychając

z niezadowolenia, a kiedy już siedział prosto, jak przystało na poprawnego stypendystę, poczuł ponowne uderzenie młoteczka na głowie. Teraz już twarz chłopaka promieniała zadowoleniem z bezbłędnie wykonanego zadania. Wyprostowawszy się, jeszcze bardziej przyliżał włosy.

Mężczyzna usiadł na swoim miejscu i pokazując współpasażerom młoteczek w sposób dystyngowany, ale i stanowczy, odłożył narzędzie na stoliczek.

PRZEBUDZENIE

Letnia noc wchodziła przez otwarte okno, przynosząc przyjemny chłód rozgrzanemu podczas upalnego dnia pokojowi. Firanka falowała łagodnie, niczym żagiel na niewielkim wietrze, a snop księżycowego światła, oświetlający połowę dywanu zakłócał chodzący po pokoju mężczyzna. Koszulka, w której noc zostawiła jego bezsenny niepokój, oklejała zmęczone jeszcze ciało, a drżące palce przeczesywały rzadkie, pomimo stosunkowo młodego wieku, włosy. Podeszedł do okna i ujrzawszy odbijającą się w szybie paczkę papierosów leżącą na biurku, odwrócił się i sięgnął po nią nerwowo. Wyjął papierosa, wychylił się przez okno i zapalił. Spojrzał zmęczonymi oczami na łysy księżyc i gwałtownie wypuścił kłęb dymu zakrywając na krótką chwilę jego oblicze.

- Może to przez tę pełnię? - pomyślał na głos, chociaż nie miał w zwyczaju mówić do siebie, a fakt ten jeszcze bardziej go przygnębił. Stwierdził, że dobrze byłoby oziębic kark zimną wodą i kiedy odwrócił się gwałtownie, żeby udać się do łazienki, zrzucił łokciem lampkę stojącą na biurku. Uderzająca o drewnianą podłogę, lampka przerwała nocną ciszę. W jednej chwili do jego uszu dobiegły trzepot skrzydeł przestraszonego gdzieś na gałęzi ptaka i głos wyrwanej ze snu kobiety.

- Co ty wyrabiasz po nocy?!

Nie odpowiedział od razu, nie miał pojęcia, co ma powiedzieć. Sam nie wiedział, co mu się przydarzyło tej i poprzedniej nocy. Nie chciał okłamywać żony, ale jeszcze bardziej nie lubił się jej zwierzać.

- Nic, po prostu nie mogę spać.

- Połóż się i nie hałasuj, obudzisz dzieci.

- Pójdę do salonu i posłucham muzyki, ale nie bój się, założę słuchawki, nie obudzę chłopców - powiedział zmęczonym głosem.

Kobieta podparła się na łokciu i patrząc uważnie na oświetloną bladym światłem księżycą twarz męża, spytała:

- Czy ty się boisz zasnąć?

- Obejdę się bez diagnozy, pani psycholog - odparł idąc w kierunku drzwi do sypialni.

Wchodząc do salonu zdał sobie sprawę, że w palcach tli mu się jeszcze niedopalony papieros. Zgasił go czym prędzej. Nałożył słuchawki, wziął pilot od odtwarzacza i zapadł się w miękkim fotelu, czując jak plecy przyklejają się do chłodnego, skórzanego obicia. Długo nie mógł się zdecydować na muzykę. Siedział ze słuchawkami na głowie i myślał o śnie, który tak bardzo przeraził go swoją realnością. Próbował uciec myślami do czegoś miłego, ale nie był w stanie się skoncentrować. Przerazało go to, że żona miała rację. Bał się znowu zasnąć.

Pielęgniarka szybkim krokiem przemierzała szpitalny korytarz. Szuranie jej kłapek o umytą niedawno podłogę było jedynym dźwiękiem zakłócającym nocną ciszę. Kiedy podeszła do drzwi dyżurki przystanąła i energicznie zapukała. Czekając na odpowiedź poprawiając stanik, kiedy ze środka dobiegł głos lekarza:

- Proszę wejść.

- Panie doktorze... - zaczęła mówić, kiedy lekarz przerwał jej zaspanym, rozmarzonym głosem:

- Mam nadzieję, że to coś pilnego, miałem sen...

- Przepraszam, ale pacjent z czwórki znów się przebudził - mówiła podekscytowana. - Prosił pan, doktorze, żeby go niezwłocznie informować.

Lekarz podniósł się szybko z niewielkiego łóżka stojącego pod ścianą. Wiadomość ta wygoniła resztki snu, a na twarzy dało się

zauważyć nieukrywane podniecenie. Przetarł małe oczy, ledwie widoczne na pulchnej twarzy i przeczesał palcami rude kędziory bujnej brody. Zdejmując z wieszaka biały fartuch szybko udał się do wyjścia. Pielęgniarka niemal biegła, starając się za nim nadążyć.

- Jak dawno temu się obudził? - rzucił poprawiając okulary.
- Minęło może pięć minut.
- Mówił coś?
- Nie, nic. Patrzył tylko na mnie.

Kiedy weszli do sali, na szpitalnym, stojącym pod oknem łóżku, siedział zgarbiony człowiek, cienkie nogi zwisały nad podłogą. Przyglądał się swoim nienaturalnie bladym stopom, na których siatkę niebieskich żyłek pokrywała delikatna skóra, jakby odkrywając je na nowo. Szpitalna koszula wisiała na kościstych barkach niczym płachta na rogach byka. Cienkie ręce oparte o brzeg łóżka podtrzymywały chwiejną konstrukcję. Za sprawą rurek podłączonych do obu przedramion człowiek ów wyglądał raczej na lalkę, sterowaną przez niedoświadczonego lalkarza, niż na istotę ludzką. Z dwóch pozostałych łóżek dało się słyszeć miarowe oddechy, potwierdzające spokój panujący na sali.

- Dzień dobry - zagadnął lekarz najmielszym z głosów, na jaki było go stać o tak nieludzkiej porze.

Pacjent podniósł pomału głowę. Widać było, że każdy ruch wykonuje z wielkim trudem. Na wychudłej twarzy malowało się zdziwienie połączone ze zmęczeniem. Popatrzył na lekarza, potem na pielęgniarkę, pomału odwrócił głowę w kierunku okna, gdzie na jasnej poświacie lampy rysowały się okienne kraty. Drżącą ręką pogładził się po przeredzonych włosach i chrapliwym, ledwie słyszalnym głosem powiedział:

- Gdzie ja jestem?
- W szpitalu - odparł lekarz siadając obok.
- Czy coś mi się stało?
- Wszystko jest w porządku - odpowiedział lekarz, uśmiechając się.

- To dlaczego jestem w szpitalu?
- Proszę się położyć, jest pan bardzo słaby - odrzekł, układając pacjenta na poduszce.
- Ale co się stało? - Człowiek nie dawał za wygraną. - Nie mam siły - dodał słabo, a policzki potwierdzając jego słowa, drgnęły lekko.
- To dlatego, że bardzo długo, że tak powiem, spał pan.
- Jak długo? - zapytał zamykając oczy.
- Siostró, szybko... - usłyszał jeszcze i opadł bezwładnie na poduszkę.

- Kubuś, idź, obudź ojca, poszedł się zdrzemnąć na górę, a niedługo musimy wychodzić! Powiedz mu, żeby zaczął się wreszcie szykować! - zawołała kobieta wychylając się z łazienki.
- Ja gram na kampie mamó, niech Jaś idzie.
- Ciebie prosiłam, a Jaś się uczy, przecież wiesz, że jutro ma klasówkę.

Kuba szurnął gwałtownie krzesłem i pobiegł po schodach na górę. Po krótkiej chwili zbiegł znowu na dół. Podbiegł do drzwi łazienki i krzyknął do matki:

- Mamó! Ojciec siedzi w fotelu z otwartymi oczami i nic nie mówi!
- Co takiego? - powiedziała do siebie kobieta, odrzucając szczotkę do włosów. W pośpiechu wypadła z łazienki.
- Czy ojcu coś się stało?
- Nie, nic, pewnie się zagapił. Idź do swojego pokoju - mówiąc to szybko wchodziła po schodach na górę.

Podbiegła do męża. Ten faktycznie siedział w fotelu i niewidomym wzrokiem wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Zaczęła uderzać go delikatnie po twarzy. Po kilku razach ocknął się z transu i głośno oddychając popatrzył przestraszonymi oczami na żonę.

- Co się dzieje? Lucek! - powiedziała równie przerażona.
- Nic, zamyśliłem się - odparł kłamiąc, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że musi jej wreszcie powiedzieć prawdę. Schował nagle

twarz w spocone dłonie i zaczął szlochać. Usiadła mu na kolanach i przytuliła jego głowę do swojej piersi.

- Przecież widzę, że coś jest nie tak. Proszę cię, powiedz mi, co się dzieje - mówiła łagodnie, głaszcząc jego głowę.

- Dobrze - odrzekł wciąż szlochając. - Pamiętasz tę noc, gdy rzuciłem lampkę z biurka?

- Pamiętam - odparła wycierając mokrą od łez twarz męża, który delikatnie odsunął żonę i wstał z fotela.

Lucjan podszedł do okna i opierając się o parapet spojrział w badawczo utkwione w nim oczy żony.

- Coś się ze mną dzieje niedobrego, Mirka - rzekł i spuszcżając wzrok na podłogę mówił dalej podenerwowanym głosem, po każdym zdaniu robiąc krótką przerwę. - Zaczęło się jakiś tydzień temu. Którejś nocy śniło mi się, że się obudziłem gdzieś, w jakimś szpitalu, w białej sali. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem wstać. Tak obolały i słaby, że z ledwością mogłem usiąść. Ta moja niemoc była tak bardzo namacalna, tak realna, jak gdyby nie był to sen. Potem, tej nocy, kiedy strąciłem lampkę, znowu miałem ten sam sen. Ta sama sala. Pielęgniarka przyszła i coś do mnie mówiła, nie rozumiałem jej. Ledwo mogłem wstać z łóżka. Przyszedł lekarz. Mówił do mnie, pytał jak się czuję. Zacząłem się bać, bo chciałem się obudzić, ale nie mogłem. Z tamtej strony wyglądało to tak, że muszę szybko zasnąć, aby wrócić tutaj. Spróbowałem z całych sił i nagle się udało - obudziłem się w naszej sypialni, ale z przeświadczeniem jakbym to tutaj był we śnie, a realny świat został tam, w tym szpitalu. Rozumiesz mnie? Miałaś wtedy rację, że bałem się zasnąć. Przez ostatnich kilka nocy prawie nie spałem, ale kilka razy w pracy siedząc nad deską kreślarską słyszałem jakiś męski głos mówiący do mnie. Ten głos... Coś było w nim... Coś znajomego. Tak, jakbym słuchał go często, jakby był moim wewnętrznym głosem, jak gdybym to ja sam mówił do siebie, zmienionym, postarzałym głosem. Nie mogłem zrozumieć sensu zdań, rozróżniałem tylko poszczególne wyrazy. Przerażała mnie realność dochodzących do mnie słów, jak gdyby ich

właściciel stał nade mną i wypowiadał je wprost do moich uszu. No i dzisiaj, po obiedzie nagle poczułem, jakbym tracił kontrolę nad swoim mózgiem, poczułem, że zaraz zemdleję. Powiedziałem ci, że idę się zdrzemnąć. Ledwo wszedłem na górę. Usiadłem w fotelu, chyba straciłem przytomność i znowu ocknąłem się w szpitalu. To było tak realne. Leżałem w łóżku, w pasiastej pidżamie. Wszystko mnie bolało. Nie miałem na nic siły. Próbowałem wstać. Zobaczyła mnie pielęgniarka i wybiegła szybko z sali. Przybiegł lekarz, ten sam co wtedy, w nocy. Pytał, jak się czuję. Mówił coś, że wreszcie wracam do żywych, że kuracja zaczyna działać. Próbowałem się obudzić, ale nie mogłem. To było takie realne. Poczułem wtedy, jak bijesz mnie po twarzy. To było zbyt realne, Mirka, tak jakby to nie był sen, a jakieś drugie życie, sam nie wiem - przerwał na chwilę, szlochając. - A najgorsze było moje ciało, moje dłonie, tak delikatne, moje stopy, jakbym nie używał ich przez bardzo, bardzo długi czas. I potworny smutek ogarniający mój umysł - dodał ledwo słyszalnym szeptem. - Co się ze mną dzieje, powiedz mi?

- To przemęczenie, kochanie. To nic takiego - mówiła łagodnym głosem podchodząc do męża. Przytuliła się do niego i całując mokre od łez policzki dodała: - Musisz się po prostu wreszcie porządnie wyspać, a wszystko minie.

- To nie takie proste - odparł.

- Na pewno przestraszyłeś się tego pierwszego snu, drugi pogłębił ten stan, a kilka nieprzespanych nocy zrobiło swoje. Niewypoczęty mózg może płatać różne figle. Potrzebujesz długiego snu, mój kochany.

- Tego się właśnie obawiam najbardziej - odparł, już nieco bardziej pewnym siebie głosem.

Obudził go czyjś głos, który docierał do niego coraz wyraźniej. Nie rozróżniał jeszcze poszczególnych słów, kiedy zdał sobie sprawę, że głos, który słyszy jest mu dziwnie znajomy. Był to ten sam, który nękał go w pracy. Potarł spocone nogi jedną o drugą i poczuł kościste

kolana. Uczucie to otrzeźwiło go. Nie chciał otwierać oczu, bojąc się tego, co spodziewał się ujrzeć. Przyszło mu bowiem do głowy, że oto wybudzał się z jakiejś długiej śpiączki, w którą kiedyś tam zapadł. Wrażenie realności, jakie odczuwał, było bowiem bardzo silne, nijak mające się do wrażeń towarzyszących człowiekowi podczas marzeń sennych. Zapewniał się jednak, że to właśnie w tej chwili znajduje się we śnie, z którego jest w stanie w każdej chwili się obudzić. Spróbował przypomnieć sobie ostatnią rzecz, jakiej doświadczył przed pójściem spać, ale nie mógł się skupić. Nie potrafił wyodrębnić ostatniego wieczoru, jego myśli o rzeczywistości składały się z kilku dni zlepionych ze sobą i tworzących, tak mu teraz się wydało, jeden długi sen. Przed zamkniętymi oczami przesuwały się obrazy codziennego życia. Wszystkie naraz przelatywały niczym stado czarnych ptaków. Dom, poranne golenie, praca, hałasujący gdzieś w pokoju obok chłopcy, żona krzątająca się po kuchni, strzępy rozmów, fragmenty wznioślejszych przeżyć. Próbował wyłowić z nich cokolwiek, co pomogłoby mu w obecnej chwili, ale bezskutecznie. Wszystkie te myśli spadały bezpowrotnie niczym kamienie toczące się z górskiej ścieżki, gdzieś daleko w dół. A on stał okrakiem nad nią i przyglądał się bezsilnie, jak suną gdzieś w pustkę, z której już ich nie zdoła wydobyć. Umysłowa niemoc, jakiej doznawał, stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Wszystkie szczegóły odpłynęły, jedyna myśl jaka została, to dom rodzinny – odległa, bezpieczna przystań, do której miał nadzieję w niedługim czasie wrócić. Jakże różniła się ona od szpitalnego pokoju, w którym się znajdował! Z drugiej jednak strony zastana rzeczywistość budziła lekkie zainteresowanie. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że musi ją wyjaśnić, inaczej już nigdy nie zaśnie spokojnie i zawsze będzie tutaj wracał. Próbował spokojnie, logicznie pomyśleć, a to wiązało się z całkowitym opanowaniem, które nie przychodziło mu łatwo. Leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, ale zmysł powonienia i słuchu niezbitcie informował go, że znalazł się w znajomym już szpitalnym pokoju. Niemoc fizyczna, jakiej doznawał, jak i delikatność skóry dłoni i stóp,

którymi teraz delikatnie muskał jedną o drugą wskazywała na to, że leżał tak długi czas, najprawdopodobniej śpiąc. Wszystko do siebie pasowało, układało się w jakąś nierzeczywistą całość, która była dla niego nie do przyjęcia. Nękające go wrażenie realności ponownie wzbudziło w nim uczucie panicznego strachu. Serce zaczęło łomotać, o zaśnięciu nie było mowy. Próbował przypomnieć sobie twarze swoich synów. Zaczęły rysować się niewyraźnie, nie mogąc przebić się przez tabuny nadbiegających myśli, tworzących tło dla dwóch uśmiechniętych twarzączek.

Ocknął się nagle. To głos, który do niego nieprzerwanie dobiegał, urwał się. Zapadła krótka cisza. Pomału zaczął otwierać oczy, lecz zatrzymał ten ruch, nie chcąc zdradzić, że się obudził. Przez szparkę, jaką zrobił w lewym oku wyłaniał się drgający obraz przesłonięty rzęsami. Na łóżku pod ścianą siedział człowiek. Oparty o ścianę, z podkulonymi nogami, dłubał palcem w nosie. Siwe, posklejane włosy opadały na pasiastą koszulę rozpiętą na piersi, po której drapał się tak energicznie, że aż jęczał z bólu. Jego chuda twarz z dziobatym nosem i silnie rysującymi się kośćmi, rozbiegane oczy, jak i cała przykurczona postawa, upodobiały go do przepłoszonego ptaka, który siedząc na gałęzi wypatruje nadchodzącego niebezpieczeństwa.

- Hej, Adelajdo! - zawołał patrząc na prawą rękę drapiącą bez ustanku klatkę piersiową. - Czyż nie przesadzasz w swojej gwałtowności? Toż to zwykłe swędzenie, a ty chcesz wydrapać wszystkie siwe włosy! Przestań już! Tamte czasy nie wrócą, pozbycie się ich nie przywróci nam młodości, nie tędy droga! - zaśmiał się, wesoło rechocząc. Wyjął palec lewej ręki z nosa i powolnym ruchem odciągnął prawą dłoń, która jeszcze w powietrzu wykonywała gwałtowne ruchy drapania. Głaszcząc niepokorną dłoń, która teraz nerwowo pukała palcami w kolano, zaczął mówić znowu:

- No, bo czyż to nie dziwne, Adelajdo, no powiedz sama, żeby mieć takie sny? Śni mi się niebywale gładka skóra, która potem przemienia się w nieprzyjemnie chłodną, metalową powierzchnię, miękką w dotyku. I pomyśleć, że ten zimny, płynny metal, tworzący

strukturę żywych mięśni, tak bardzo przeraził młodego chłopca, którym wtedy byliśmy. Tak, tak, ten sen już kiedyś mieliśmy i pamiętaliśmy go przez te wszystkie lata. I jeszcze ten o tym, jak coś małego, jakaś drobinka, rośnie i rośnie, aż wypełnia wszystko wokół, jest tak ogromna, tak wielka, że staje się całym uniwersum, a potem ze wszechświata zmienia się znowu w takie małe nic, czym była na początku, tak jakby granica pomiędzy wszechświatem, a małym pyłkiem była oczywistą kolejną rzeczą. Jakby naturalnym końcem nieskończoności było zero, a zero dążyłoby w swojej nicości do nieskończoności. To nazbyt łagodne przejście pomiędzy nieskończonością a zerem było tak przerażające, a jednak nad wyraz łatwo przyswajalne i wytłumaczalne. Ale o tym cicho, cichusieńko, żeby ten zarozumiały eskulap nie usłyszał. Znowu usiądzie i będzie zapisywał, a potem zacznie te swoje farmazony. Prymitywny rudzielec, uważający się za bardziej normalnego od nas.

Mężczyzna pomału otwierając oczy słuchał, jak człowiek ów przemawia do swojej dłoni. Teraz dopiero do niego dotarło, że z jego lewej strony ktoś miarowo oddycha. Przekręcił głowę i zobaczył, że obok stoi jeszcze jedno łóżko, na którym leży kolejny, przeraźliwie blady, nieogolony człowiek, o bardzo jasnych, krótko przyszyronych włosach. Spod jego zamkniętych powiek wąskimi strużkami ciekły łzy i pomimo tego, że siedzący zaczął bardzo energicznie drapać się po głowie, jęcząc przy tym i wołając głośno do swojej niesfornej dłoni, leżący nie reagował. Do świadomości mężczyzny dochodziło pomału, że szpital, w którym się znajduje może być psychiatrycznym, że leży na sali z dwoma pacjentami, a on jest trzecim... pacjentem.

Myśl ta przerażyła go. Natychmiast jednak próbował pocieszyć się tym, że to jednak tylko sen. Sen, który miał nadzieję, niedługo się skończy. Zamknął znowu oczy z nadzieją zaśnięcia, a raczej obudzenia się w sypialni obok żony. Siedzący jednak nie dawał mu zasnąć, tłumacząc coś swojej dłoni, którą nazywał Adelajdą.

Uchylił powieki i spojrzał na niego. Ten w tym samym czasie odwrócił się i ich spojrzenia zderzyły się. Mężczyzna chciał czym

prędeż zamknąć oczy, ale zdał sobie sprawę z tego, że jest już za późno, utkwiał spojrzenie w siedzącym, ten zamrugał. Adelajda w tym czasie pomachała radośnie, a człowiek powiedział:

- Witamy szanownego kolegę! Pozwoli pan, że będziemy się zwracać do niego w ten właśnie sposób? Długo czekaliśmy na ten moment i doprawdy jesteśmy zadowoleni. Nieprawdaż, Adelajdo?

Ręka znowu pomachała na dzień dobry i zaczęła wystukiwać na ramie łożka jakąś melodię. Mężczyzna dźwignął się lekko na łokciach, nie zwracając uwagi na wkute w nadgarstki igły. Odezwał się zachrypniętym głosem:

- Czy to szpital psychiatryczny?

Siedzący zaśmiał się, ale już po chwili spochmurniał i odrzekł:

- Skoro tak to wygląda dla szanownego kolegi, niech tak będzie. Chociaż dla nas sprawa ta wygląda diametralnie różnie.

- To śni mi się tylko, prawda?

- Och, to bardzo interesujące, a więc my jesteśmy tylko sennym przywidzeniem? Myśli szanowny kolega, że gdy się obudzi, to my znikniemy? Z naszego punktu widzenia jest to nie do przyjęcia, a co za tym idzie, zgoła odwrotnie. Wynika to zapewne z naszego egoizmu. Gdy my opuścimy ten pokój, to niestety, ale szanowny kolega przestanie istnieć. No, ale to tylko kwestia punktu widzenia, aj!... - zawołał mówca, gdyż ręka pacnęła go prosto w nos, po czym szybko dodał: - Oj, przepraszam za niechcianą egzaltację, szanowny kolega będzie łaskaw wybaczyć.

- Ja tylko chciałbym się obudzić - powiedział mężczyzna ściszonego głosem, bardziej do siebie.

- Tak, to zrozumiałe, niestety ta rzeczywistość jest mało interesująca z punktu widzenia szanownego kolegi, a przy przebudzeniu może nawet przerazić. Rozumiemy to doskonale.

Mężczyzna słuchał siedzącego, ale był świadomy, iż człowiek ten nie jest całkowicie normalny i od niego nie dowie się zbyt wiele. Nagle zdał sobie sprawę, że oprócz zorientowania się w przestrzeni

warto byłoby także zorientować się w czasie, spróbował zatem zapytać raz jeszcze:

- Gdzie ja jestem i który jest teraz rok?

- A... - chciał zacząć, ale dostał kuksańca, tym razem w ucho, i odparł tylko: - Za szanownym kolegą na ścianie jest kalendarz, my nie mierzymy czasu, jest to zajęcie zupełnie zbędne, które do niczego nie służy.

Mężczyzna z trudem odwrócił głowę, tuż nad nim faktycznie wisiał kalendarz. Pod fotografią leśnego strumyka widniały rzędy cyfr, a nad nimi napis: SIERPIEŃ. Nie zważając na ból w szyi szukał dalej i wreszcie w prawym, górnym rogu, nad zielonymi świerkami, dojrzał interesujące go cyfry: 2006. Czynność ta tak go zmęczyła, że opadł bez sił na poduszkę. Usilnie starał się przypomnieć sobie, jaki jest rok w jego faktycznym życiu. Przywoływał w myślach wszystko to, co mogłoby mu w tym pomóc. Obrazy skakały w jego głowie. Z gmatwaniny myśli nie udawało się wydobyć nic konkretnego. Usilnie przeszkadzał mu w tym siedzący, który tłumaczył Adelajdzie, że oto teraz stan jego umysłu ulegnie znacznej poprawie, że walka, którą przegrał ze swoim mózgiem właśnie zaczyna się na nowo i tym razem będzie wygraną, a wszystko to dzięki szanownemu koledze, który to obudziwszy się, daje im nową nadzieję. Mężczyzna słyszał tylko, jak siedzący recytuje wiersz, wpatrując się w swoją dłoń:

*Przebyłeś długą drogę
Od mojego lewego ucha
Poprzez splot słoneczny
Mleczną drogę
Aż do ucha prawego
Słuchałem twoich kroków
Nie raz twego lotu*

*Chowałeś się
Czasami pod Małym*

*A czasami pod Dużym Wozem
Pod tym samym
Pod którym Syzyf kamień toczył
To ty podsunęłaś Neronowi
Ogień Prometeuszowy do spalenia Rzymu
To ty podarowałaś pierścień Saturnowi
Odebrany siłą Jowiszowi
To ty nie przerwałaś Ariadny
I schowałaś do puszeki Pandory
To ty piłaś wodę przemienioną w wino
I strzelałaś do carskiej rodziny*

*Załamano cię jedno spojrzenie
W pęknięte lustro kryształowe
Przez oko moje
Z wnętrza głowy
Ujrzałaś pierwszy raz
Odbicie swoje*

Mężczyzna zamknął oczy, próbował się uspokoić. Zaczął wyrównywać oddech i powoli przywoływać obrazy, zostawione gdzieś po tamtej stronie. Zrazu nie wychodziło mu to, ale z czasem z ukazujących się migawek zaczęły rysować się twarze najbliższych mu osób – żony i dzieci. Jakieś morze, ktoś do niego macha, jego dwóch synów. Wychodzą ze szmaragdowej wody i biegną w jego stronę, obok na kocu leży żona. Gdzie był? Rozgląda się dookoła. Plaża, skały wchodzące do morza. To Grecja. Biuro podróży, terminy wycieczek, lipiec, lipiec 2006. Był pewien, że tego roku byli w Grecji i że są to ostatnie wakacje, jakie pamięta. Znowu dopadła go myśl, że ten urlop to sen, który leżąc w tym łóżku wyśnił. Szybko ją odpędził. Starał się myśleć pozytywnie i realnie, gdyż w autentyczności tamtego życia musiał teraz wierzyć. Jeszcze raz, z całych sił próbował wrócić do rzeczywistości i zakotwiczyć w niej. Musiał na tym bazować,

tamto to życie, a to tutaj - to tylko sen. Lipiec, wakacje, teraz musi być też sierpień jak tutaj, myślał. Jaś ma teraz dziesięć lat, a urodził się w 1996, teraz musi być 2006, ostatnio było gorąco, czyli sierpień. Umacniał się w tym przekonaniu i teraz już był pewny. W rzeczywistym życiu też jest sierpień 2006 roku, tak jak w tym bardzo realnym śnie.

- Skoro tak, to nie mogłem przespać tutaj długich lat, jak się obawiałem, a więc na pewno śni mi się to tylko - myślał z zadowoleniem.

Przeraźliwa myśl, której nie dopuszczał do głosu, że oto doznał na przykład wylewu i leżał tutaj kilka lat, a tymczasem jego rodzina żyje gdzieś poza murami szpitala, odeszła. Tak, teraz był już pewny swego. Pozostaje tylko jedno - zasnąć i nigdy tutaj nie wrócić. Niech ten koszmar wreszcie się skończy, powtarzał sobie w duchu, leżąc spokojnie i upajając się widokiem kąpiących się synów. Nagle poczuł delikatne parcie na pęcherz, uczucie to zaburzyło dotychczasowe myśli. Próbował zostać nad morzem, ale napór nasilał się, znowu usłyszał głos mówcy i teraz już całym jestestwem wrócił na łóżko. Wsunął rękę pod kołdrę, przesunął dłoń po chudej miednicy, co wprawilo go w zakłopotanie, przecież jest dobrze zbudowanym, młodym człowiekiem - pomyślał i natrafił dłoń na cewnik. Jak mgnienie nasunęło się kilka wniosków. Czy we śnie można tak wyraźnie czuć parcie na pęcherz, niedogodność założonego cewnika? Czy na pewno jestem we śnie?

Rozważania te zostały przerwane przez zbliżające się do pokoju kroki i głośną rozmowę. Mężczyzna znieruchomiał i zapomniawszy o dokuczającym pęcherzu zaczął nasłuchiwać. Szuranie było coraz głośniejsze, a w miarę jak się zbliżało, w umyśle mężczyzny rysował się dziwny krajobraz. Złote łany zboża zmieniające się w ścianę ciemnego lasu. Słońce, które oświetlało tylko kłosa, malowało je na żywy, jasny kolor złota, silnie kontrastujący z zielenią lasu. Rażąca jasność falujących łanów podkreślała ciemną ścianę lasu, a wszystko

przekręcone na bok, widziane tak, jakby obserwator leżał na ziemi, na lewym boku, potęgowało osobliwe odczucie dziwności.

Do pokoju weszło trzech lekarzy. Jednym z nich był psychiatra, który wcześniej przybiegał do przebudzającego się mężczyzny. On właśnie zaczął przedstawiać pacjentów swoim dwóm kolegom:

- To nasz stary kuracjusz - wskazał na mówcę. - Pan Feliks Idzik - i zwracając się w stronę lekarzy, dodał szeptem - schizofrenia paranoidalna, niezwykle gadatliwy przypadek. - Dalej kontynuował już normalnym głosem. - Co ma znaczący wpływ na pomyślność leczenia tych oto dwóch Panów w stanie głębokiej śpiączki.

Podeszli do człowieka, który cały czas nieruchomo leżał na łóżku, nie przebudziwszy się jak dotąd.

- Pan Roman Giętka, śpiączka wywołana encefalopatią wątrobową. W skali Glasgow na podstawie schematu Teasdale i Jennetta: pięć punktów. Otwieranie oczu - brak, kontakt słowny - jedynie pojękiwania, reakcja ruchowa - wyprostna na ból. A tutaj mamy nasz niewątpliwy sukces spowodowany moją nowatorską metodą - mówił dalej prowadząc lekarzy do następnego łóżka. - Pan Lucjan Lang. Przebudził się już kilkakrotnie, a jeszcze kilka dni temu dawałem mu tylko trzy punkty w skali Glasgow.

- Jaka była przyczyna śpiączki? - zapytał jeden z lekarzy.

- Bardzo głębokie zaburzenie psychiczne, wywołane silnym przeżyciem.

- Jakim? - zapytał zaciekawiony trzeci lekarz.

Psychiatra podszedł do Lucjana i przekonany, że ten śpi, powiedział nieco ściszonego głosem:

- Wypadek samochodowy, w którym zginęła żona pacjenta i jego dwóch synów. Kiedy karetka przyjechała na miejsce wypadku zmasakrowane zwłoki kobiety i chłopców były ułożone obok siebie na ziemi, a tuż przy nich leżał Pan Lucjan, w pozycji embrionalnej, jakby się układał do snu, z podkulonymi nogami i podłożoną pod głowę lewą ręką. Wpatrywał się w nich, niewidzącymi już wtedy, oczami. Najprawdopodobniej wyjął nieżywych bliskich z rozbitego

samochodu, ułożył na ziemi i zapadł w śpiączkę. Przeżycie było zbyt silne dla jego mózgu. Rozum nie potrafił okiełznać takiej ekspresji emocji.

Lucjan słuchał tych słów tak, jak gdyby dotyczyły kogoś innego. Ale z każdą chwilą, z każdym wypowiedzianym przez lekarza słowem narastał jakiś dźwięk, dźwięk, który pomału zmieniał się w potworny, rozdzierający huk, opanowujący całą głowę. Łany jasnego zboża falowały na tle ciemnej ściany lasu. Jego wzrok, przebijający się poprzez niewyobrażalny huk, schodził coraz to niżej z błękitu nieba poprzez zieloność drzew, złotych kłosów żyta, aż do ziemi, gdzie leżały ułożone jeden obok drugiego, zakrwawione ciała. I kiedy zdał sobie sprawę z tego, kogo widzą jego oczy, łomot urwał się i zapadła przerażająca, po stokroć gorsza od chaosu, cisza wypełniona makabrycznym widokiem.

Pomału w tę ciszę zaczął wdzierać się czyjś rozpaczliwy krzyk. Krzyk ten był coraz głośniejszy, a kiedy sięgnął już apogeum, zdał sobie sprawę, że wydobywa się z jego krtani. Przestał widzieć, był tylko chaos wypełniony krzykiem i ciemnością.

I nagle snop światła próbował przedrzeć się przez szczeliny w oczach. Pomału otworzył je i wciąż krzycząc zobaczył tuż przed sobą żonę trzymającą nocną lampkę wymierzoną prosto w jego twarz.

KARLSON-CITY

Była zima, któregoś tam z kolei roku. Krajobraz impresjonistycznego widoku zamglonych, zimowych pól urozmaicały rosnące gdzieś tam suche, powyginane drzewa. Osoba moja dziwnie dopełniała kompozycji obrazu, urzeczywistniając go w sposób zgoła naturalny. Zdawać by się mogło, że bez mnie widok ten byłby tylko martwym płótnem.

Zarówno droga, jak i okolica, zapomniane przez ludzi, a i wydawać by się mogło, że przez zwierzęta, brak wiatru oraz jakiegokolwiek dźwięku, potęgowały uczucie nienaturalności. Poprzednią noc spędziłem w namiocie, który nosiłem cały czas w plecaku razem ze swoim całym dobytkiem i już miałem szukać dogodnego miejsca na kolejny nocleg, kiedy w księżycowej poświacie ujrzałem wyłaniający się zza wzniesienia drogowskaz. ABSURD-CITY - widniało napisane białymi literami na zielonym tle, a pod spodem czarnym flamastrem ktoś dopisał: GÓWNO PRAWDA. Byłem w środkowej Europie, a tu nazwa miasteczka niczym z amerykańskiego westernu. Rzecz dziwna, ale gdy tylko przekroczyłem granicę wyznaczoną przez drogowskaz, zrobiło się cieplej i nie mówię tutaj o cieple na duszy, ale o temperaturze na dworze. Stałem zmieszany i chcąc się upewnić wróciłem przed drogowskaz. Zimno. Poszedłem na drugą stronę, ciepło. Stałem okrakiem na samej granicy wyznaczonej przez znak wyciągając ręce na boki. Lewa strona ciepła, jakbym stał przy piecyku, a w prawe ucho czułem szczypanie mrozu. Prawdziwy absurd - pomyślałem. Nie

zastanawiając się nad tym dłużej ruszyłem przed siebie. Gdy dochodziłem do pierwszych zabudowań temperatura wzrosła jeszcze o kilka stopni i musiałem zdjąć czapkę, rękawice i rozpiąć kurtkę, którą wchodząc między zwarte zabudowania zdjąłem już zupełnie. Wraz ze wzrostem temperatury zwiększało się zamglenie, a także uczucie ogarniającego mnie surrealizmu, który tutaj wydał się wręcz namacalny. Szedłem dobre piętnaście minut nie spotkawszy żywego ducha, mało tego, w żadnym oknie nie paliło się światło, chociaż dochodziła już siedemnasta i od dobrej godziny świat opuściło czerwone pod koniec tamtego dnia słońce. Czyżbym trafił na zupełnie wyludnione miasteczko? Przynajmniej spać będę miał gdzie – pomyślałem.

Doszedłem do przystanku autobusowego. Był to betonowy słup z naklejoną kartką z napisem: „miejskiej przystanek komunikacji”, co wydało mi się trochę dziwne. Rozejrzałem się wokoło, miasteczko wyglądało podejrzanie pusto, a mgła je spowijająca potęgowała to uczucie. Tęskniłem już do ludzi, przecież od dwóch dni nie widziałem żywej duszy. Zdjąłem plecak i oparłem go o słup. Wtedy z pobliskiego domu doszedł mnie szcęk otwieranych drzwi, zza których wyłonił się człowiek. Mężczyzna ów nie dość, że bardzo niskiego wzrostu, to jeszcze silnie zgarbiony, szedł pomału w moją stronę.

- Dzień dobry – rzuciłem serdeczne, szybkie powitanie.
- Twoja egzaltacja w ogóle mnie nie podnieca.

Odpowiedział tak szybko, że ledwo go zrozumiałem, podszedł do słupa, wyjął zza pazuchy kartkę papieru i przykleił ją taśmą, na wysokości moich kolan, po czym zakręcił się na pięcie i odszedł, tym razem już szybkim krokiem. Zatrzasnął drzwi, a uszu moich dobiegł jeszcze dźwięk zamykanych w pośpiechu zamków. Znowu nastąpiła cisza, a mgła przybrała na sile, potęgując tajemniczość tego i tak już wystarczająco intrygującego miejsca. Przeczytałem koślawe litery na upapranej kartce: „zaraz przyjedzie”. Nie zdążyłem pomyśleć, co autor miał na myśli, kiedy usłyszałem odgłos nadjeżdżającego autobusu. Jechał bardzo szybko, przebijając się przez zamgloną ulicę.

Z piskiem opon zatrzymał się tuż przed słupem. Drzwi otworzyły się, a ze środka zaczął ulatywać siwy dym. Usłyszałem chrapliwy głos kierowcy:

- Wsiada czy mam jechać?
- Wsiada - odparłem.
- No to pędzikiem, kochaniutki, bo dym ucieka.

Szybko wskoczyłem, w ostatniej chwili porywając plecak, nie dość szybko jednak, bo zamknięte drzwi przytrzasnęły mi nogę. Próbowałem ją wyszarpnąć, kiedy kierowca wrzasnął do trzech pasażerów siedzących z tyłu:

- Taniec powitalny!

Na te słowa cała trójka wstała i trzymając w zębach dymiące papierosy zatańczyła krótki, ale bardzo ekspresyjny taniec, po czym raptownie usiadła, a ja wyszarpnąłem nogę i zapytałem kierowcy:

- Ile kosztuje bilet?

- Dopiero wsiadł i już chce płacić, ha, ha, ha - zaśmiał się kierowca i szybko dodał, cały czas paląc papierosa - Fajki ma? Jak ma, to niech siada i pali, bo i tak już sporo dymu uciekło. Jak nie ma, to na siedzeniu znajdzie.

- Dokąd zawieźć? - mówił prędko, wyrzucając z siebie słowa.

- Może do centrum? - odparłem zastanawiając się, czy aby nie trafiłem do jakiegoś swoistego miasta wariatów.

Usiadłem tuż obok kierowcy, wyjąłem papierosa z pudełka leżącego na siedzeniu obok i zapaliłem. Dopiero wtedy ruszył z piskiem opon.

- Dobry wybór, bardzo trafny, tak kochaniutki, bardzo dobry, jak się już jest w Karlson-city trzeba zobaczyć centrum, no nie? Bo ty, kochaniutki, przyjezdny, nieprawdaż? - mówiąc to spojrzał na mnie marszcząc brwi.

- Raczej przychodny - odparłem i dodałem - A to nie jest Absurd-city? Na drogowskazie było... - nie skończyłem jednak, bo kierowca wrzasnął:

- Absurd-city, gówno prawda! Karlson-city od imienia przesławneho Karlsona, biedaczysko, zamienili go w gęś! - zapłakał kierowca i przycisnąwszy do dechy pedał gazu mknął przedzierając się zamgloną ulicą, gdzieniegdzie oświetloną przydrożnymi ogniskami palonymi w koszach, z których strasznie się dymiło.

- To mgła, czy dym? - zapytałem.

- I to, i to, bo my, mieszkańcy Karlson-city - powiedział dobitnie podkreślając nazwę - wręcz uwielbiamy mocne zadymienie. No bo jak niby żyć bez niego, przecież można by się przewrócić po pijaku bez dymu, kochaneczku. Nieprawdaż? Pal, pal, dym to samo zdrowie. Oj tak, samusieńkie.

Kierowca trajkotał jak nakręcony, strzelając słowami niczym pociskami z karabinu maszynowego. Przestałem go słuchać i przyglądałem się zza okna autobusu miasteczku, a raczej temu, co przez mgłę mogłem zobaczyć. Tu i ówdzie na budynkach, krawężnikach chodników, śmietnikach, ławkach zapalone były pojedyncze lampki przypominające duże znicze. W miarę, jak zbliżaliśmy się do centrum, mgła gęstniała, a ilość dymiących lampek wzrastała. Gdyby nie one, nie wiedzielibyśmy, gdzie jechać. Wyznaczały krawędzie jezdní, dachów i w ogóle wszystkiego, co znajdowało się w mieście. Mgła była tak gęsta, że autobus choć jechał po płaskim terenie, zachowywał się tak, jakby cały czas podjeżdżał pod wysoką górę. Silnik wył coraz głośniej i czuło się, jak przebija się przez gęstniejący dym zmieszany z mgłą. Pomyślałem sobie, że znalazłem się w mieście, którego z uwagi na zamglenie nie widać z lotu ptaka, a może nawet miasto takie nie figurowało na żadnej mapie, a może co gorsza nie istniało naprawdę, a to, co teraz widziałem było tylko wytworem mojego zmęczonego umysłu. Nie zdążyłem jednak dokończyć myśli, kiedy dogasający papieros przypalił mi palce dobitnie informując o realności zaistniałej sytuacji.

Wreszcie zauważyłem pierwszych przechodniów, którzy snuli się po chodnikach. Na ich piersiach majaczyły się małe ogniki w lampkach zawieszonych na szyjach, a w ustach żarzyły papierosy.

Mój kolejny papieros dogasał i kierowca srogim spojrzeniem wskazał leżącą obok mnie paczkę, przypaliłem więc jednego od drugiego i wlepiłem na powrót wzrok w mijane twarze. Autobus jechał coraz wolniej, dym gęstniał, lampek przybywało. Postanowiłem, że stanę się biernym obserwatorem tego surrealistycznego miasta i nie zastanawiając się nad sensem tego, co tutaj doświadczam, dam się ponieść fali otaczającego mnie absurdu niczym bohater książki „Wystarczy być” Jerzego Kosińskiego, który będąc nie do końca rozwiniętym umysłowo musiał poczuć się podobnie w otaczającym go świecie „normalnych” ludzi. A może, skoro większość ludzi zachowywała się właśnie w ten ogólnie przyjęty za normę sposób, to ja jestem w tej sytuacji nienormalny i postępując według mnie prawidłowo, posadzony zostanę o wariactwo? Tak, lepiej będzie wmieszać się w tłum i zacząć zachowywać jak większość, nie zadając zbędnych pytań i naśladować tubylców. Poczułem się trochę tak, jakbym był Kolumbem, wchodzącym po raz pierwszy do wioski Indian.

Kierowca gadał coś o historii Karlson-city, silnik autobusu wszedł na maksymalne obroty, a mimo to jechaliśmy około trzydziestu kilometrów na godzinę przedzierając się poprzez tak gęsty dym, że można by nie tylko siekierę, ale i dorosłego słonia zawiesić w powietrzu. Autobus dojechał do dużego placu pokrytego na całej powierzchni małymi lampkami, na środku którego na wysokim postumencie stała odlana z brązu gęś z rozpostartymi skrzydłami. Skrzydła płonęły niebieskim ogniem zmieniającym się w kłęby gęstego, siwego dymu. Kierowca nie hamował, po prostu zdjął nogę z gazu i wrzucił na luz, a autobus stanął uderzając miękko w ścianę dymu. Szofer wstał zza kierownicy i wydarł się na całe gardło:

- Centrum, maksymalne zagęszczenie! - i wciągając w płuca z pół papierosa na raz wypuścił ze świstem cały dym dwojgiem uszu niczym parowóz stojący na stacji. Zawołał, przeciągając sylaby:

- Proszę wysiadać!

Otworzył drzwi, gęsty dym wdzierał się do środka, wypełniając dokładnie wnętrze autobusu. Wziąłem plecak i zarzuciwszy go na

plecy wyszedłem na zewnątrz. Kiedy stanąłem na ziemi przestał mi już ciężać, naraz zrobił się lekki jak piórko, a ja poczułem się tak, jakbym stał w bardzo rzadkiej wodzie. Oprócz mnie, z autobusu wyszedł jeden z pasażerów. Drzwi zamknęły się i kierowca ruszył w dalszą drogę. Chciałem zapytać o coś tego, który wyszedł za mną, ale zniknął gdzieś we mgle. Stałem krótką chwilę próbując wypatrzeć własne buty, ale mój wzrok nie mógł przebić się przez gęsty dym. Wyciągnąłem rękę z zapalonym papierosem przed siebie, ale oprócz żaru od łokcia nie było widać dosłownie nic. Poprzez dym można było dostrzec tylko to, co było oświetlone choćby słabym ognikiem. I tak oto przed moimi oczami niewyraźnie majaczył się centralny plac okolony jezdnią i chodnikami, płonący posąg na środku i kontury dachów balkonów, kominów, latarnie i wszystko to, co było oświetlone.

Ruszyłem chodnikiem wokół placu, kiedy nagle podeszła do mnie starsza kobieta z okularami przeciwsłonecznymi na czole i bukietem sztucznych tulipanów w ręku.

- Witamy w Karlson-city - powiedziała kłaniając się i wręczając mi kwiaty. - Waćpan zapewne pierwszy raz w naszej zadymionej mieścinie?

- Tak - odparłem. - Pierwszy raz.

- A więc obowiązkowo muszę przedstawić panicza naszej pani burmistrz, to u nas tradycja.

Ruszyłem za przewodniczką, a raczej za fluorescencyjnym napisem „ZA MNA” na jej plecach, który światło swoje czerpał z przydrożnych latarni. Mijaliśmy kamienice, na których widniały oświetlone napisy: BAR U ZDECHŁAKA, OBERŻA POD ŚCIĘTYM JAWOREM, CAFE MONOTONIA, REBUSY I SZARADY. Zobaczyłem też napis RATUSZ na jednym z budynków, pomyślałem, że tam właśnie podążamy, ale moja przewodniczka przeszła obok niego obojętna. I wtedy właśnie wytoczył się z budynku pijaniutki mężczyzna z dwoma papierosami w wykrzywionej gębie. Skręciliśmy i weszliśmy do kamienicy, nad drzwiami której świecił się szyld:

GARMAŻERIA MROŻONA. W środku była wielka sala, na jej końcu tliły się małe ogniki. Pokonaliśmy gęsty dym i w miarę zbliżania się do płomyków moim oczom ukazywał się dość niecodzienny widok. Otóż na wielkim łożu leżała ogromnie gruba, naga kobieta. Była tak otyła, że widać było tylko jedną, wielką masę tłuszczu. Na samej górze tej galaretowatej tłuszczu można było rozróżnić okrągłą, łysą głowę, a tuż obok dwie dłonie. W jednej z nich kobieta trzymała małą lornetkę, przez którą teraz patrzyła prosto na mnie, a w drugiej swoistą cygarniczkę, z palącymi się naraz dwoma rzędami papierosów. Kobieta co i raz pociągała z ustnika, a czubki papierosów jarzyły się ochoczo. Moja przewodniczka podeszła do łóżka i napełniając pustą, identyczną cygarniczkę papierosami, zaśpiewała:

- Oto jest pani burmistrz, najokazalsza ze wszystkich obywateli Karlson-city.

To, że jest najokazalsza, nie ulegało żadnej wątpliwości. Osoby tak grubej nie widziałem nawet w telewizji w programie mówiącym o takich ludziach na kanale Discovery. Patrzyłem na nią ze zmieszaniem, myśląc tylko o tym, jak można doprowadzić się do takiego stanu. Pani burmistrz odłożyła teatralną lornetkę i rzekła piskliwym głosem, który poczułem jak ukłucie, gdzieś głęboko w mózgu:

- To proste, nasz miły gościu, otóż miałam tak wielkie szczęście, że urodziłam się bez dupy! - I dodała śpiewając. - Bez dupy, tra la la, bez dupy, tra la la.

- Tak, to rzeczywiście, wielkie szczęście - odrzekłem, myśląc coś zgoła odmiennego.

- Mówisz, nasz miły gościu, jedno, a myślisz drugie. Oj, nie jesteś ty z nami szczerzy, nie jesteś. Pobędziesz u nas troszkę, zmienisz zdanie. - I dośpiewała - Oj, zmienisz ty zdanie, zmienisz, gołąbeczku miły, tra la la.

- Przepraszam Panią, ale nie przywykłem do tego, że ktoś czyta w moich myślach.

- Jak zostaniesz u nas, przywykniesz. A teraz zostaw nas, gościu miły, mamy dużo pracy. Oj dużo, dużo, tra la la.

Skłoniłem się nisko grubej kobiecie i odszedłem, starając się nie myśleć zbyt głośno, jak można żyć bez dupy. Przypomniałem sobie też pewne zdanie, które wypowiedział Andrzej Kondratiuk w swoim filmie: „Jeśli na świecie gównem stanie się wartością, biedacy rodzić będą się bez dupy”. Ledwo zdążyłem wypowiedzieć to zdanie w myślach, a poczułem na plecach jej przenikliwy wzrok i to, że wie, o czym pomyślałem, najprawdopodobniej zanim myśl ta zakołatała pod moją czaszką.

Wyszedłem z budynku i już miałem zastanowić się, dokąd się udać, kiedy z mgły wyłonił się stary człowiek, prowadzący na sznurku młodą blond-piękność. Podszedł do mnie tak blisko, że jego nos niemal dotykał mojej brody. Uniósł pomału głowę do góry i wyszczerzywszy żółte od nikotyny zęby powiedział wskazując palcem na niewiarygodnie piękną dziewczynę:

- Patrz pan, jaką mi dali wywłokę. Mi, tak zasłużonemu w bojach. Tylem żem się nawojowałem i tak mi zapłacili, hańba, Panie, hańba. Chude to i kościste, nie to, co nasza Pani burmistrz, co?

- Oj, tak... - odparłem nie spuszczać oczu z dziewczyny.

I kiedy chciałem zaproponować, że chętnie wybawię dziadka z kłopotu, ten zawinął się nagle odchodząc we mgłę, a wraz z nim dziewczyna na sznurku. Istny dom wariatów - pomyślałem i ruszyłem w stronę okazałych rozmiarów gmachu z napisem RATUSZ. Wnioskując po tym, że wytoczył się stamtąd pijany mężczyzna, sądziłem, że zastanę tam jakąś knajpę. Niestety w środku był pusty, wielki pokój, na środku którego tkwił samotnie słupek z napisem: „Trzeźwym wstęp absolutnie zabroniony”. Następny był budynek: REBUSY I SZARADY. Otworzyłem drzwi, zrobiłem może ze dwa kroki i tak szybko jak wszedłem, wyszedłem z niego. Smród, jaki panował w środku, aż uszczypnął mnie w nos. Kątem oka zobaczyłem tylko grupkę kobiet siedzących przy okrągłym stole, na którym tańcowali dwaj nadzy mężczyźni. Nad ich głowami dyndał ogromny żyrandol

rozświetlający widowisko. Z ciekawości chciałem zajrzeć tam raz jeszcze, ale na samo wspomnienie omdlewającego smrodu zrezygnowałem ze swojego zamiaru i ruszyłem dalej w nadziei, że wreszcie trafię gdzieś, gdzie będę mógł usiąść i coś zjeść. Moje kiszki grały bowiem marsza, od którego bolały mnie już nogi. Stałem naprzeciw trzem budynkom: BAR U ZDECHLAKA, OBERŻA POD ŚCIĘTYM JAWOREM, CAFE MONOTONIA. Z nazw mogłoby wynikać, że dostałbym w nich coś do zjedzenia, ale bardzo mocno w to wątpiłem. Nagle ktoś klepnął mnie w plecy i krzyknął mi do ucha:

- Hej, witaj, stary brachu, druhu z lat młodzieńczych!

Odwróciłem się, ale za mną już nikogo nie było. Wytężałem oczy, żeby zobaczyć coś we mgle za sobą, kiedy tym razem przede mną ten sam głos wrzasnął:

- Tutaj jestem, druhu, choć za mną, to się napijemy.

Spojrzałem przed siebie, ale i tu nikogo nie było. Rozejrzałem się i zobaczyłem jak z lewej strony miga lampa trzymana w żylastej dłoni, a potem zza lampy ukazuje się twarz z mocno podkrążonymi oczami.

- No chodźże wreszcie, bo nam bar zamkną! - krzyknął ów jegomość przez zaciśnięte zęby, w których trzymał dwa papierosy naraz, po czym zaczął znikać we mgle.

Szybko podążyłem za nim, a raczej za światłem jego lampy. Miałem nadzieję, że nieznajomy, nazywający mnie swoim druhem z młodzieńczych lat, zaprowadzi mnie do prawdziwego baru, w którym będę mógł zaspokoić wreszcie głód, doskwierający coraz bardziej. W końcu doszliśmy do okazałej kamienicy, w każdym oknie której paliły się zielone ogniki, a nad drzwiami widniał zielony napis: SZNURY I DZIURY. Gdy tylko wszedłem za moim przewodnikiem do środka, do moich nozdrzy doszedł przyjemny zapach smażonych kotletów.

W środku okazało się, że zadymienie jest znacznie mniejsze niż na zewnątrz i plecak, o którym zupełnie zapomniałem, zaczął znowu ciążyć. Nareszcie mogłem sięgnąć wzrokiem dalej niż pół metra. Rozejrzałem się i to, co zobaczyłem zaczęło napawać mnie radością.

Był to całkiem normalny bar. Kilka stolików pod ścianami, prawie przy każdym ktoś siedział. Na środku wolna przestrzeń, a pod przeciwległą ścianą, pomiędzy dwoma potężnymi filarami - bar, a za nim ten sam jegomość, za którym przyszedłem tutaj. Niewiele myśląc podszedłem do obiecująco pachnącego baru i zdjawszy plecak usiadłem na wysokim krześle.

- Oj, nie tak prędko, druhu kochany - odezwał się mój znajomy. - Teraz ty musisz stanąć za kontuarem, taki mamy tutaj zwyczaj, że kto przychodzi, ten najpierw za bar zachodzi.

Mówiąc to wyszedł z za lady i zapraszającym gestem wskazał mi drogę podając barmański fartuch. Już wiedziałem, dlaczego ów jegomość przyprowadził mnie tutaj. Znalazł jelenia do opóźniającego przyjemność obowiązku i sam już mógł siedzieć na wysokim krześle w miejscu, które przed chwilą sam zajmowałem. Ja zaś tkwiłem za barem, przepasany fartuchem, gotowy obsługiwać gości dopóty, dopóki następny amator smażonych kotletów nie przestąpi progów kamienicy z nic nie mówiącym napisem SZNURY i DZIURY. Zapachniało mi znowu kotletami i zjełczalym olejem, co wzmogło mój głód. Aromat dochodził z zaplecza, do którego prowadziły drzwi przewieszane stylową, bordową zasłoną. Już miałem się tam udać, kiedy cwany koleś chrząknął za moimi plecami.

- No, to czym mogę służyć? - zapytałem jegomościa.

- Babskie majty raz, proszę - odezwał się po dłuższym zastanowieniu.

- Babskie majty - powtórzyłem rozglądając się po barze. W tym czasie mój klient zacierał ręce i zniecierpliwiony podskakiwał na krześle z podniecenia dziwnie dysząc.

Rozglądałem się wszędzie próbując dopasować coś z półek do zamówienia, ale na żadnej butelce nie widniała owa nazwa. Przechyliłem się i zacząłem przeszukiwać półki pod blatem. Zaraz obok pojemnika z lodem, z którego wystawały szyjki butelek, zauważyłem trzy pojemniki z napisami: MAJTASY, BARCHANY, GACIE. Sięgnąłem do pojemnika z napisem MAJTASY, otworzyłem

przykrycie spodziewając się lekkiego smrodku. Lecz w środku wszystkie majki były szczelnie zapakowane w plastikowe woreczki. Wyjąłem jeden z nich i podałem klientowi, ten z zadowoleniem na twarzy porwał woreczek i pobiegł czym prędzej do wolnego stolika pod ścianą. Niewielkie zamglenie w barze pozwalało mi dojrzeć, jak jegomość rozrywa plastik i naciąga sobie babskie majtki na głowę, potem opada w fotelu wchłaniając, widocznie przyjemne dla niego, damskie zapachy z nieukrywanym podnieceniem. Dopiero teraz zobaczyłem, że przy stoliku obok dwóch gości też siedzi z barchanowymi majtkami na głowach, onanizując się energicznie pod stolikiem. Pomijając gościa, którego dopiero co obsłużyłem i dwóch onanistów, przy sąsiadującym z barem stoliku siedziały dwie kobiety w średnim wieku popijając jakieś trunki z długich kieliszków, a stolik dalej samotna, młoda dziewczyna przyglądająca się z uwagą mojej osobie. Chwilowo byłem bezrobotny, postanowiłem więc odnaleźć na zapleczu kuchnię, z której dochodził obiecujący zapach. Spojrzałem jeszcze w stronę drzwi wejściowych, ale nikt nie wchodził, żeby mnie wybawić z roli barmana i obsłużyć jak należy. Uchyliłem kotarę i zajrzałem do środka. Kuchnia była dość spora. Na środku stał okrągły, masywny stół, a na nim talerze z gotowymi, parującymi daniami. Kotlety z ziemniakami, golonki z pajdami chleba, pieczone kiełbasy, szaszłyki, wazy z białym barszczem. Mój wzrok utkwiał w tych pysznościach na tyle, że dopiero, gdy podnosiłem ze stołu talerz z tłuściutką goloneczką zobaczyłem krzątającego się przy kaflowym piecu niskiego chińczyka o przeraźliwie skośnych oczach, który zobaczywszy mnie, zawołał piskliwie:

- Tylko dla gości, ty jeszcze nie gość, ty musisz czekać.

O, żeby ci się oczy wytrzeszczyły, ty mały wstręciuchu - pomyślałem odkładając talerz na miejsce. Już miałem wracać zawiedziony do baru, kiedy wzrok mój przykuła ława stojąca pod ścianą, a na niej siedzące trzy osoby, które od razu zidentyfikowałem. Byli to Don Kichot, jego sługa Sancho Pansa i zapłakana Dulcynea. Od

tego dość niecodziennego widoku odciągnęło mnie przywołanie z baru:

- Barman!

Wróciłem do obowiązków. Przy barze stała dziewczyna, ta sama, która przyglądała mi się uważnie ze swojego stolika.

- Czym mogę służyć? - zapytałem patrząc namiennie w jej oczy.

Przyglądała mi się uważnie przez chwilę, raz to potakując głową z aprobatą, a raz kiwając, jakby zaprzeczała jakimś wewnętrznym rozważaniom. Wreszcie powiedziała pomału, ale dobitnie, sącząc słowa, w sposób, jakby piła stuletnią brandy:

- Zdecydowałam się na Don Kichota z Manchy.

Tak właśnie myślałem, że dokonuje jakiegoś wyboru pomiędzy mną, a kimś innym, tym kimś okazał się Don Kichot. Lekko urażony tym wyborem odrzekłem:

- Wedle życzenia.

Odchyliłem kotarę i zawołałem:

- Jest Pan proszony, Don Kichocie z Mancy.

Błądny rycerz wstał i poprawiając emaliowany garnek na głowie ruszył w moją stronę. Był tak wysoki, że przechodząc przez drzwi musiał się skłonić w pas, żeby nie strącić garnka. Wszedł zza baru, a każdemu jego krokowi towarzyszyła cała gama dźwięków wydobywających się z nienaoliwionej, zardzewiałej zbroi. Stał przed dziewczyną, skłonił się nisko, wziął ją ostrożnie na ręce i z największą dystynkcją poniosł w stronę stolika. Dziewczyna przytuliła głowę do jego głowy i zaczęła szeptać coś do rycerskiego ucha, ku widocznemu zadowoleniu rycerza, który zawołał w moją stronę:

- Barman, dwie tequile, przynieś no mi tu zaraz!

Odprowadziłem niecodzienną parę wzrokiem aż do stolika, a potem zacząłem szukać tequili wśród różnego rodzaju butelek. Na półkach stały wszystkie znane mi trunki, ale tequili wśród nich nie było. Poszedłem na zaplecze i zawołałem do chińczyka:

- Jest tequila? Bo nie mogę znaleźć na barze.

- Nalać temu staremu idiocie czegokolwiek, to bez znaczenia, stary dureń.

- Ach, ty wredny Chinolu! - zawołała Dulcynea podnosząc się z miejsca i podeszła do beczki stojącej obok kuchni, wyjęła z niej żywą rybę i rzuciwszy nią z całej siły w Chińczyka, wróciła na swoje miejsce obok Sancho Pansy. Uderzenie było tak mocne, że powaliło Chińczyka na ziemię. Sancho szybko wstał, zdjął dużą, żeliwną patelnię z wieszaka i walnął nią dwa razy Chińczyka w głowę, która po drugim uderzeniu pękła na pół niczym melon. Dalej sytuacja potoczyła się w oka mgnieniu. Na pierwszy rzut oka powolny, gruby Sancho raz dwa rozebrał Chińczyka, rzucił go na stół i ogromnym, rzeźnickim tasakiem poćwiartował zwłoki. Potem wszystko wpakował do dużego gara i postawiwszy go na kuchni zawołał do mnie szalenie przemiłym, niemal anielskim głosem:

- Dopisze Pan, z łaski swojej, do menu nowe danie - „Chińczyk w sosie słodko-kwaśnym”.

- Oczywiście - odparłem i nie spuszczać oczu z Sancho Pansy wróciłem do baru.

Dopisałem do menu nowe danie zastanawiając się jak Sancho przyrzędziłby mnie, gdybym to ja obraził jego Pana. Do głowy przychodziły mi takie nazwy jak Befszyk z Polaka z truflami, Polski kotlet na winie i Zrazy po polsku zawijane. Odpędziłem te kulinarne pomysły, nalałem koniaku w dwie szklanki i zaniósłem do stolika, przy którym Don Kichot odbywał stosunek płciowy ze swoją klientką. Postawiłem dwie szklanki na stole i odchodząc wsłuchiwałem się w miarowe pocieranie nagich ud dziewczyny o zbroję rycerza. Kiedy wróciłem, na małym stoliku za barem leżał talerz z tłustą golonką i grubą pajdą chleba. Obok stała szklanka z piwem, o którą oparta była biała kartka z napisem w gotyckim stylu: „Dla Barmana, za pomoc z Chińczykiem”.

Zajadałem przepyszną golonkę popijając piwem i myśląc, czy ta golonka nie jest może z Niemca z Bawarii, który nieroztropnie obraził Dulcyneę. Kształt golonki wskazywał jednak na świninę, ale

zastanowiwszy się doszedłem do wniosku, że z tłustego Bawarczyka golonka smakowałaby mi równie dobrze. Z ciekawości sięgnąłem do menu i śmiejąc się pod nosem przeczytałem „Golonka po bawarsku w piwie”.

Do końca wieczoru nikt już nie przyszedł. Obsłużyłem jeszcze dwie kobiety podając im gacie dwóch onanistów z sąsiedniego stolika. Mój pierwszy klient zasnął z babskimi majtasami na głowie. Don Kichot z dziewczyną spółkowali nieprzerwanie przez cały wieczór, zmieniając tylko pozycje. Widać dziewczyna dobrze wybrała, bo moja kondycja nie pozwoliłaby mi na tak długi maraton. Wreszcie, około pierwszej w nocy wszyscy pozasypiali przy stolikach. Ja też, czując zmęczenie, nie tyle fizyczne, co psychiczne, wynikające z niecodziennych przeżyć, położyłem się na małej kozetce i zasnąłem z nadzieją, że w nocy Sancho nie przerobi mnie na jakieś polskie danie.

Rano obudziłem się w przydrożnym rowie, zziębnięty, z ogromnym bólem głowy. Wstałem i zarzuciwszy plecak na plecy podszedłem do znajomego drogowskazu. ABSURD-CITY – widniało białymi literami na zielonym tle. Sięgnąłem do kieszeni po czarny flamaster i dopisałem GÓWNO PRAWDA. Przeciągnąłem się, wyjąłem paczkę papierosów i zapaliwszy dwa naraz ruszyłem ochoczo w stronę zamglonego miasta.

GABRIEL

Historia, którą opowiem, wydarzyła się naprawdę. Została napisana w oparciu o szczerą opowieść pewnego młodego księdza. Dlaczego jestem pewny, że była szczerą? Otóż pewien ważny dla niej przedmiot, o którym później będzie mowa, a który niezbitnie świadczy o autentyczności historii, jest teraz w moim posiadaniu. Nic nie zostało przeze mnie przeinaczone, spisałem tylko to, co od niego usłyszałem. To, co widział, czuł, czego doświadczał przeżywając tamte dziwne wydarzenia. Teraz, wracając do tej historii po latach mam wrażenie, jakby siedział tuż obok mnie i ze spuszczoną lekko głową, wpatrując się w dogasające drwa w kominku, snuł swoją niebanalną opowieść.

Dla jego dobra pozwoliłem sobie jedynie zmienić nazwę wsi, w której to cała historia miała miejsce. Imię zostawiłem, gdyż brzmi ono w moich uszach nostalgiczną tęsknotą za pozostawionym krajobrazem tamtego, bliskiego także mi, miejsca. Jedyną rzecz, jaka mnie zastanawia to fakt, że wydarzenia, które moim zdaniem powinny umocnić jego wiarę, zupełnie jej go pozbawiły.

Zatoń Dolna, jak wiele wsi w Polsce, położona jest na malowniczym wzgórzu nad rzeką. Jej drewniane, niektóre kryte jeszcze strzechą, domki skupiają się wokół niewielkiego placu, na środku którego rośnie ogromny dąb. Niektóre sady wspinają się po wzgórzach, inne ześlizgują się po nich w stronę rzeki. Jedyna dochodząca do wsi brukowana droga, wijąca się między wzgórzami, kończy się pod bramą muru okalającego tutejszy kościół górujący nad

gospodarstwami. Kościół jest drewniany, a tablica informacyjna głosi, że został wykonany już w siedemnastym wieku. Z drewnianych schodów prowadzących do jego drzwi widać całą zieloność krajobrazu przecinaną przez błyszczącą w słońcu wodę. Jedyne odróżniający się punkt, to goły skrawek ziemi z porozrzucanymi resztkami fundamentów starego zamczyska po drugiej stronie rzeki. W zamku tym, zburzonym w czterdziestym piątym roku przez rosyjskich żołnierzy, jeszcze przed wojną mieszkali prawowici właściciele okolicznych ziem. Czarna, nie zarośnięta niczym ziemia jak i osnuwające ją mroczne historie, budzą lęk w sercach zamieszkującej wieś ludności.

Kościół nigdy nie został wyposażony w elektryczność i zimowe, wieczorne msze odbywają się jedynie w świetle zapalonych na ołtarzu świec. Półmrok panujący wtedy w kościele połączony z dźwiękiem starych organów i śpiewanych pieśni powołuje do istnienia nastrój, którego nie sposób opisać.

Był niedzielny, zimowy wieczór. Uśpiona wieś powoli zaczynała ożywać. W sieniach chałup zapalały się światła. Ludzie wychodzili na zewnątrz, a czując mróz naciągali mocniej czapki, zapinali szczelniej płaszcze i kożuchy. Wszyscy udawali się na niedzielną mszę do kościoła, który górując nad nimi w świetle księżyca otulał ich wieś białym, bezgrzesznym śniegiem, przynosząc ukojenie i ciszę zakłócaną teraz jedynie skrzypieniem butów. Młody ksiądz stał przed otwartymi drzwiami świątyni witając się z przybywającymi. Wchodzili niespiesznie, opukując nogi o drewniane, skrzypiące zmrożoną starością, schody. Twarz księdza emanowała młodzieńczym zadowoleniem ze spełnianej powinności, na obliczach wiernych dało się zauważyć skupienie. Oni byli na mszy już od momentu, kiedy ich buty zetknęły się z bielą śniegu. Z otwartych drzwi dobiegały pierwsze dźwięki organów, które nie tyle zapraszały wiernych, co prowadziły ich za ręce do niezmiennych, dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, miejsc w ławach. Kiedy ostatni parafianin przekroczył drewniany próg, ksiądz Gabriel ogarnął jeszcze raz wzrokiem

zaśnieżone dachy i znikając w kościele zamknął drzwi, pozostawiając wieś w błogim oczekiwaniu na swoich mieszkańców.

W sieni kościoła stał mało rozgarnięty Kazik, który opierając się o ścianę tarosił zdjętą z głowy wełnianą czapkę. Kiedy ksiądz przechodził obok, Kazik poklepał go po ramieniu i szepnął coś w sobie tylko rozumianych słowach. Robił to zawsze, kiedy tylko ktoś zbliżył się na wyciągnięcie ręki, dlatego we wsi wołano na niego Klepacz. Gabriel uśmiechnął się i z uśmiechem tym wkroczył do kościoła. Szedł pomału środkiem, między dwoma rzędami ław. Organy umilkły i zapanowało oczekiwanie na początek mszy. Wierni siedzieli w bezruchu spowici panującym półmrokiem. Pierwsze dwa rzędy ławek były zawsze puste. Tutejszy, wierny tradycji lud zostawiał te ławy dla swoich byłych panów, którzy wybudowali ten kościół, a po których została tylko goła ziemia. Gabriel obejmując parafię próbował przekonać ludzi do zerwania z tym zwyczajem, ale natrafił na niemy opór. W ogóle wszystko, co dotyczyło byłych dziedziców owiane było tajemnicą, o której nikt nic nie chciał mówić. W parafialnym archiwum nie zachowały się żadne dokumenty, nikt nigdy nie posiadał żadnego, choćby najmniejszego przedmiotu pochodzącego ze zburzonego zamku. Jedynie dwa, ubrane w białe szaty anioły ze spuszczonej głowami i złożonymi skrzydłami, stojące po obu stronach ołtarza pochodziły podobno z rodzinnego grobowca szlacheckiej rodziny. Młody ksiądz zobaczywszy je po raz pierwszy nie mógł wyjść z podziwu dla artysty, który je wykonał. Były tak naturalne, z taką ilością szczegółów, że aż przerażały swą doskonałością. Patrząc na ich zamknięte oczy miało się wrażenie, że zaraz otworzą je i uniosą głowy odwzajemniając spojrzenie. Były niemal jednakowe, ale różniły się delikatnie rysami twarzy, ułożeniem złotych włosów, fałdami szat. Wyglądały tak, jakby dwie pochylające się nad czymś nieszczęściem niebiańskie istoty naraz skamieniały i tak tkwiły od niepamiętnych czasów.

Gabriel szedł pomału, delektując się tą ciszą, wiedziony płomieniem świecy palonej na ołtarzu, rozświetlającej wiszący

w centralnym miejscu obraz Świętego Andrzeja, patrona parafii. I kiedy oczy świętego napotkały na właśnie odwróconą do niego plecami postać księdza, organy rozbrzmiały, a wierni zaczęli śpiewać. Właśnie wtedy drzwi kościoła otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Po chwili do środka wszedł wysoki, ubrany w czarny, sięgający aż do podłogi kozuch, mężczyzna. Wpatrzony w oczy księdza namacał laską klamkę i zatrzasnął za sobą z hukiem drzwi. Kiedy przechodził blisko Klepacza, ten nie poklepał go po plecach. Nawet nie spojrzał w jego stronę, jakby go nie zauważając. Nieznajomy przystanął na chwilę i dopiero teraz zdjął z głowy skórzany, czarny kapelusz. Trzymając w jednej ręce kapelusz i postukując trzymaną w drugiej laską powoli szedł w stronę ołtarza, nie spuszczać wzroku z oczu księdza. Gabriel patrzył na nieznajomego z nieukrywanym zainteresowaniem, nie przestając śpiewać z wiernymi pieśni rozpoczynającej mszę. Pierwszy raz widział tego człowieka, a mimo to doznawał dziwnego uczucia, że znał go od zawsze. Jakby nagle doznał olśnienia, znalazł kogoś, kogo od dłuższego czasu usilnie szukał. Lecz nie to zaniepokoiło Gabriela, a fakt, że nikt z obecnych w kościele nie spojrzał nawet przez chwilę na nieznajomego. Żadna głowa nie obróciła się w jego stronę, chociaż w tak małej społeczności natarczywe zainteresowanie było w takiej sytuacji na porządku dziennym.

Mężczyzna w czerni zatrzymał się tuż przed ołtarzem, na wysokości pierwszych ławek. Po raz pierwszy odkąd wszedł do kościoła, oderwał wzrok od oczu księdza i spojrzał w górę – najpierw w oczy świętego Andrzeja, z którym wydawać by się mogło toczy jakąś wewnętrzną walkę, a potem jeszcze wyżej, na styk ściany ze sklepieniem, gdzie z wnętrza trójkąta spoglądało boskie, wszechogarniające i wszechwidzące oko. Szybko jednak zacisnął powieki, jakby rażony piorunem i spuściwszy wzrok stał chwilę niby skarcony psiak, aż pieśń dobiegła końca i rozbrzmiał donośny głos księdza. Wtedy obrócił się na pięcie, podszedł do ławy i usiadł. Msza

zaczęła się i choć wszyscy stali, nowo przybyły siedział wpatrując się przeszywającym wzrokiem w księdza.

Gabriel czuł się coraz bardziej nieswojo. Raz, że był w zasadzie pewny, że nikt poza nim nie widzi nieznanego, a dwa, że utkwiony w nim wzrok peszył go i wytrącał z równowagi, niezbędnej do celebrowania mszy. Kim był nieznanomy? To pytanie nurtowało go od początku. Starał się nie patrzeć w jego oczy, a ilekroć to zrobił, natrafiał na to samo świdrujące ciało i duszę spojrzenie powodujące, że ciarki przechodziły mu po karku.

Organy na powrót zabrzmiały i parafianie zaczęli śpiewać. Gabriel przyglądał się dziwnej postaci, nadal unikając twarzy, a przede wszystkim oczu nieznanego. Wzrok przykuwały czarne, do połysku wypastowane lakierki, które pomimo wysokiego wzrostu mężczyzny były bardzo małe, ledwie wystawały spod zaprasowanych w kant spodni. Gdy tylko Gabriel o tym pomyślał,, mężczyzna założył nogę na nogę i podwinął lekko nogawkę ukazując zainteresowanemu cały bucik. Był on tak nienaturalnie mały, tak niepasujący do postaci, że nie sposób było wyobrazić sobie stopy, którą okrywał. Poza tym nieznanomy wykonał gest w taki sposób, jakby chciał spełnić myśl księdza, czytając w jego umyśle. Kiedy Gabriel patrzył na bucik, mężczyzna rozpiął poły kozucha, odsunął je na boki i rozsiadł się wygodnie w ławie. Ludzie kończyli śpiewać, ksiądz chciał oderwać wzrok od nieznanego, ale nagle zobaczył, że z za grubego kołnierza wychyla się czarny łeb kota o lśniących oczach. Kot leniwie wyszedł, zamiauczał i usiadł obok swego pana. Teraz obaj - mężczyzna i kot wpatrywali się w zdziwione oczy księdza. Pieśń ucichła, ludzie usiedli. Kot wskoczył na oparcie ławy i podszedł na sam jej skraj, by tam usiąść, cały czas mając na oku Gabriela, który nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, szukał wsparcia w wiernych siedzących najbliżej zwierzęcia. Nikt jednak nie wykazywał najmniejszego zainteresowania nim, tak jakby nikt go nie widział, albo też nie chciał wiedzieć.

Gabriel czuł, jak pot występuje mu na czoło, a chłód panujący w kościele mrozi je. Przyszedł czas kazania i Gabriel na trzęsących się nogach podszedł do mównicy stojącej tuż obok ołtarza. Kazanie miało być o diable, który czai się w ludzkich duszach, gotowy w każdej chwili zawładnąć i manipulować nimi, sprowadzając ludzi na złą drogę. Gabriel ułożył sobie wstęp zaczynający się od słowa „Szatan” i kiedy już chciał je wymówić, mężczyzna w czerni poderwał się gwałtownie i stojąc w rozkroku rozłożył ręce na boki. Pochylając i przekrzywiając delikatnie głowę stuknął zakończoną metalem laską w kamienną posadzkę. Kot najeżywszy się zaczął przeraźliwie miauczeć. W tej, jakże niespodziewanej chwili, Gabriel usłyszał za plecami po obydwu stronach ołtarza jakby kruszenie kamieni, a potem dwa głucho uderzenia o kamienną posadzkę. Dźwięk wibrował w ciemnym wnętrzu świątyni niczym w pudle rezonansowym. Ksiądz stał oniemiały, jego niewidzące oczy biegały od jednego do drugiego parafianina.

W kościele zaległa cisza, słowa Gabriela utkwily w krtani. Ludzie w skupieniu czekali na kazanie, a on stał z otwartymi ustami niczym martwy ptak leżący bez ruchu na nagiej ziemi. Patrzył przed siebie, gdzieś w punkt nad drewnianymi rzeźbionymi drzwiami, a pod balustradą, za którą stały organy. Jednak cały czas kątem oka widział śmiejące się teraz oczy nieznajomego i jednocześnie wyobrażał sobie to, co stało się właśnie za nim. Był pewien tego, co tam zobaczy. Przerazało go, że wie, co tam ujrzy nie tylko po dźwiękach dochodzących do jego uszu, ale również stąd, że czytał z oczu mężczyzny i z zachowania kota. Jego kark stał się sztywny wiedząc, że oto za jego plecami dwa anioły oddały głęboki pokłon swojemu panu, ich kamienne kolana uderzyły o posadzkę przed mężczyzną w czarnym kozuchu, który z triumfem patrzył w twarz Gabriela.

Ksiądz stał nieruchomy, ze wzrokiem skierowanym prosto w łagodnie już oczy mężczyzny, które zdawały się mówić: „Spokojnie Gabrielu, tylko spokojnie, wytrzymasz – to nie są halucynacje”. Tego, że wszystko dzieje się naprawdę był pewny i fakt ten paraliżował go.

Niewypowiedziany strach ogarnął całe jego ciało i zawładnął umysłem, nie pozwalając na najmniejsze drgnięcie choćby jednego mięśnia. I nagle przyszło uczucie silniejsze. Otóż zdał sobie sprawę, że oto stoi przed nim wysłannik piekieł, Szatan we własnej osobie, że dwa anioły oddały mu cześć, a wszystko to dzieje się w świątyni, w miejscu świętym, gdzie każda deska została skropiona wodą święconą, nad którą niejednen kapłan modlił się gorliwie. Gdzie kamienna posadzka winna pękać pod diabelskimi kopytami nie pozwalając na bezkarność złego.

Ludzie zaczęli spoglądać po sobie, a organista widząc, że z ich księdzem dzieje się coś dziwnego, zaczął uderzać w klawisze organów rozpoczynając nową pieśń. To na chwilę otrzeźwiło Gabriela. Zamknął usta i w duchu zaczął śpiewać wraz z organistą. I kiedy już miał zacząć śpiewać pieśń na głos, mężczyzna puknął laską o kamienną posadzkę. Na ten sygnał kot zeskoczył z ławy i patrząc hipnotyzującym wzrokiem prosto w oczy księdza pomału ruszył w jego stronę. Podszedł pod mównicę i błyskawicznie wskoczył na nią, nie odrywając wzroku od księdza. Stanął na tylnych łapach, wyciągnął przednie na wysokość oczu Gabriela i miękkimi poduszkami zamknął wpatrzone w niego, niedowierzające oczy księdza.

Gabriel stał przy mównicy, spod jego zamkniętych powiek zaczęły cieknąć łzy. Usłyszał kroki zbliżającego się do niego mężczyzny.. Poczł lodowaty oddech na karku, następnie zimne dłonie dotknęły jego barków. Wyczuł, jak ciemny dym owija się wokół nich i nagle kolana ugięły mu się, uderzając o podłogę, a głowa pochyliła się w pokorze. Czuł, że jeśli czegoś nie zrobi, to stanie się rzecz straszna. Rzecz, której nie był w stanie sobie nawet wyobrazić. Lęk przed czymś, w co wpędza go nieznanomy, wybuchł paroksyzmem dreszczy opanowujących ciało. Resztką woli i pozostałej gdzieś w głębi duszy nadziei drżącą ręką sięgnął na szyję i pociągając za łańcuszek sięgnął do zawieszzonego na nim krzyżyka. Wtedy potężna, niepojęta moc spłynęła na niego napełniając jego duszę spokojem. Poczł, jak

wszystkie modły wznoszone w tym miejscu przez kapłanów od setek lat, skomasowały się w jedną i pod postacią jasnego snopa światła spływającego z góry, wbiły się w czarną, otaczającą go mgłę oddzielając od stojącego za nim mężczyzny, podpierając wiarę młodego księdza niczym filar utrzymujący sklepienie znajdujące się nad nim. Już wiedział, co ma zrobić, wystarczy prosta, a jednak najpotężniejsza modlitwa jaką znał. Pomału otworzył usta i pomimo huku połączonego z bólem wciskającym się ze straszliwą siłą gdzieś pod czaszkę, zaczął szeptać pierwsze słowa modlitwy pańskiej – „Ojciec nasz...”. Skupiony na nich usłyszał, jak z nieużywanych od wieków krtani aniołów wydobywa się potworny pisk, jak kamienne skrzydła prostują się nad nim i przecinając powietrze z łoskotem zaczynają miarowo uderzać unosząc dwie kamienne postacie pod sklepienie sufitu. Kiedy był w połowie modlitwy, ręce trzymające jego barki odstąpiły z impetem, a kiedy kończył, usłyszał jak kamienne postacie uderzają na powrót o posadzkę. Wypowiedział „Amen” i moc odstąpiła równie nagle, jak się pojawiła. Wymacał drżącą dłońią krawędź ołtarza i podpierając się na nim wstał, prostując nogi w obolałych kolanach.

Organy milczały. Wszyscy wierni w milczeniu wpatrywali się w swojego księdza stojącego z zamkniętymi oczami za pokrytym białym obrusem ołtarzem. Gabriel powoli otworzył załzawione oczy, przetarł drżącą dłońią złane potem czoło i z przestachem spojrzął za siebie. Nikogo tam nie było, a dwa anioły stały jak gdyby nigdy nic. Spojrzął na pierwszą ławę – była pusta. Cofnął się o krok i wtedy jego but natrafił na leżący przedmiot. Spojrzął w dół i zobaczył leżącą pod nogami drewnianą laskę zakończoną mosiężną głową kozła o złotych rogach. Pochylił się i kiedy już ją podnosił, usłyszał trzask zamykanych drzwi.

POLOWANIE

Wąska, niezwykle urokliwa rzeczka przeciskała się przez porośnięte bujną trawą strome, piaszczyste brzegi. W tym miejscu była naturalną granicą między zielenią sosnowo-świerkowego lasu a szarościami traw okolicznych łąk. Las śpiewał wieczorną kołysankę mieszanką wysokich tonów za sprawą zięb, kosów i pokrzewek oraz niskich – dobiegających z gardeł przechadzających się po łąkach majestatycznych żurawi. Znad drzew dał się słyszeć specyficzny dźwięk przelatujących słonek. Ptaki przecięły niebo tuż nad wierzchołkami drzew nie zwracając najmniejszej uwagi na przytuloną do ściany lasu drewnianą konstrukcję myśliwskiej ambony.

- To były słonki – szepnął Henryk Tkaczuk pochylając się do Józefa Pikuły.

- Gdybyśmy to na nie polowali, na pewno nie przeleciałyby nad naszymi głowami.

Czerwona poświata zachodzącego słońca ustępowała miejsca ciemności nocy nadchodzącej znad łąk. Wraz z nią chłód wdzierał się w stronę siedzących w ciszy myśliwych, których sylwetki skrywały drewniane ściany, mało już widoczne na tle iglaków.

- A mówiłeś, że noc będzie ciepła.

- Rześka. – Uśmiechnął się Pikuła.

- Zawsze, jak mówisz, że będzie ciepło, to jest zimno jak cholera.

- Przestań marudzić i polej.

Henryk Tkaczuk, sołtys pobliskiej wsi, powoli, zachowując absolutną ciszę, sięgnął do otwartej torby leżącej pomiędzy jego

nowiutkimi gumofilcami a pamiętającymi kresy gumiakami Józefa Pikuły, starszego o dwadzieścia lat ornitologa, legendy wśród okolicznych bimbrowników. Wyjął smukłą butelkę i nalał brązowy płyn do dwóch metalowych kubków stojących na drewnianej podłodze. Samogon zabulgotał napawając serca myśliwych nieskrywaną radością.

- Dźwięk iście naturalny.

- Pasujący do scenerii - wyszeptał Tkaczuk rozglądając się po okolicy.

- Jeszcze godzinka i gdyby nie łysy, to nic nie byłoby widać - odszepnął Józef patrząc na wyłaniającą się zza linii drzew tarczę księżyca.

- No to Darz Bór! - Unieśli kubki.

- Darz Bór! - Wypili.

Gdzieś od wsi dobiegało stłumione przez odległość szczekanie psów zwiastujące koniec wieczoru i obwieszczające początek jednej z najkrótszych w roku nocy. Cisza nie trwała długo, świerszcze zaczęły nawoływać się ze swoich norek, a pierwszy puszczyk zaznaczył swoją obecność głośnym krzykiem wywołując pierwotny lęk u nasłuchujących myśliwych.

- Straszno.

- Nie lasu ty się bój, a ludzi - powiedział Pikuła napełniając ponownie kubek. Przy drugim ręka mu drgnęła i cenny płyn chlapanął na drewno.

- Słyszałeś? - zapytał starzec.

- Co?

- Chrząknięcie jakby.

- Świerszcze tylko słyszę.

- Ja w twoim wieku słyszałem, jak mrówka się potyka o ziarnko piasku.

- Cicho się jakoś zrobiło - odparł sołtys, a w chwili, kiedy to powiedział, po lesie rozniósł się doniosły tętent kopyt, ale tak nienaturalny, jakby dobiegał spod nóg stwora o olbrzymich

rozmiarach. Potem tupot ten przerodził się w odgłosy szamotaniny, którym towarzyszył dźwięk łamanych gałązek, głuchy plask o ziemię i dziki wrzask, pobudzający atawizm słuchających, po którym nastąpiła długa cisza. Dopiero, kiedy świerszcze na powrót zaczęły swoje granie, Tkaczuk powiedział niepewnym głosem:

- Sześćdziesiąt lat tutaj żyję, ale czegoś takiego nie słyszałem. Co to było? - dodał odwracając wzrok od ciemnej gęstwiny.

- Borowy - szepnął Pikuła.

- Kto?

- Borowy - powtórzył i widząc jak Tkaczuk rozdziawia nieogoloną gębę, dodał: - U nas za Bugiem, to się na niego Leszy mówiło. Władca lasu, który może przybrać postać wilka, dzika lub jakiego tylko zwierza chce.

- Może być i Leszy. - Zamyślił się. - Wypijmy, bo aż zimno przeszło po karku.

Starzec sięgnął po kubek i nie czekając na toast przechylił opróżniając jego zawartość do dna. Sołtys też wypił swoją działkę i powiedział:

- Jakby sarnę powalił. Nie wiedziałem, że on w naszych stronach po lesie łązi.

- On i nie tylko on.

- Tylko mi nie mów, że zaraz z rzeki utopki wyleżą.

- Utopki albo boginki - powiedział Pikuła napełniając kubki. - Poharcowałoby się z tymi ostatnimi, co, sołtys?

- Wiara chrześcijańska nie do końca wyplenila zabobony, widzi mi się - odparował Tkaczuk.

- Wymieszało się wszystko przez lata - powiedział Józef wychylając kubek, a otarłszy usta rękawem wyszeptał: - A ty nie sypiesz piaskiem za dziećmi, jak w świat z chałupy wychodzą, zamiast znak krzyża uczynić? A jak miesiąc w nowiu, to nie zegnamy się do niego i zdrowaśki nie odmawiamy? Jak się to do chrześcijaństwa ma, ty mi powiedz?

Sołtys nie odpowiedział. Rozglądał się tylko po okolicy. Tam, gdzie do niedawna były tylko szumiące trawy, teraz za sprawą gry światła i cienia najróżniejsze postacie wydawać mu się zaczęły. Tam ktoś stoi, pomyślał. Czy tam krzak był może? Świetliki zaczęły latać z góry w dół, odbijając się od pomarszczonej powierzchni wody. Chmury nad drzewami przypominać zaczęły odległe góry.

Od rzeki dochodził jednostajny dźwięk, jakby ktoś coś prał. Monotonnie i systematycznie, aż nienaturalnie jakoś. To boginki – pomyślał. Piorą swoją bieliznę w rzece. A może nie, może to wiły, dusze dziewczyn bądź świeżo poślubionych kobiet, które nie zdążyły nacieszyć się życiem, kusić mnie będą swoimi nagimi ciałami? Harczą po nocy. Ojciec mówił, żeby się ich wystrzegać, bo zwodzą młodych chłopców, a potem do wody wrzucą albo topić zechcą. Tylko co ode mnie, starego, mogłyby chcieć? A co? To ja gorszy, baby zaspokoić nie umiem? Rację miał Józef, sponiewierałoby się niejedną z nich. Tfu, tfu, tfu! – Odplunął w tył przez prawe ramię. Trzeba będzie ofiarę im jutro złożyć, co by na pokuszenie starego nie wystawiały. Odrzucił myśli płocze i szepnął:

– Nic nie upolujemy. Jak po ciebie jechałem, to ze trzy stare baby po drodze widziałem, a jedna puste wiadro niosła.

Pikuła tylko uśmiechnął się kącikiem ust na ten myśliwski przesąd potwierdzający jego wcześniejsze stwierdzenia. Zrobił to w momencie, w którym nagły podmuch uderzył w drewnianą konstrukcję, aż deski zatrzęszczały. Czubki drzew zaczęły giąć się pod wpływem kolejnych podmuchów, zagłuszając szumem wołanie świerszczy.

– Borowy przyjąć też może postać wichury – powiedział Pikuła.

– Myślałem, że tylko południce będąc wiatrem w zbożu buszują.

Wiatr nie ustępował, niosąc coraz więcej chmur przykrywających rozgwieżdżone niebo i zasłaniających jasną tarczę miesiąca. Okolica zaczęła ciemnieć z minuty na minutę, łąki zlewając z zagajnikami. Trawy wchłonęły czarną teraz wodę rzeki, a w oddali czubki lasu z niebem w jedno się spoiły.

Wiatr ucichł tak nagle, jak się zerwał, ale ciemność pozostawił niezmienną.

- Woda cieplejsza niż powietrze - czknął sołtys. - Jak nic o brzasku mgła będzie.

- Teraz też nic nie widać. Chmury księżyc przysłoniły. Czarnica. Musiałeś w puste wiadro się wpatrywać? - Wymacał butelkę, potrząsnął ją i dodał: - Źródełko całkiem wyschło, mamy coś jeszcze?

- No jak nie, jak tak. - Wyciągnął pękata tym razem butelkę z torby, a płyn, który ujrzeli w ostatnim tej nocy promieniu światła księżycowego rozgrzał zziębnięte serca.

- No to polej i kimniem się może troszku. I tak chuja widać w tych ciemnościach.

Tkaczuk polał po całym kubku.

- Szczerze - rzekł. - Od serca.

- Masz gest, pośpimy się jak to wypijemy, ale co tam. I tak nic do roboty nie ma, po ciemku strzelać przecież nie będziemy - mówiąc to pogładził z uczuciem oparty o deski sztucer.

- Ano.

Wypili do dna zawartość kubków.

- A Leszy nie będzie nas niepokoił? - zapytał Tkaczuk wystawiwszy głowę na zewnątrz.

- A po co by miał, on teraz sarenką zajęty.

Starzec rozsiadł się wygodnie, oparł o drewnianą ścianę, wyciągnął nogi zakładając jedną na drugą i zapiął pod samą szyję kufajkę. Sołtys poszedł w jego ślady. Spojrzał w nieogoloną twarz Pikuły, gdy ten zamykał senne powieki.

- Ten to ma dobrze, tylko oczy zamknie i już śpi.

- A co mam robić, gorzałka w żyłach tańczy, powieki ciężkie, myśli się kłębią coraz wolniej.

- A o czym to myślicie, Józefie?

- Same głupoty mi teraz w głowie kiełkują - powiedział uśmiechając się lubieżnie, ale zaraz opanował się i dodał: - Lubię ten moment tuż przed drzemaniem.

- Jakie to głupoty zasnąć pozwalają?

- Deliberuję teraz nad bardzo ważną rzeczą. Fundamentalną.

- Jaką to?

- Ano - zasmucił się Józef - myślę sobie, że człowiek to z natury swojej zły być musi.

- No, no, straszne to, co mówicie, wydaje się być - prychnął Tkaczuk, ale po dłuższym zastanowieniu dodał: - Człowiek przecież na podobieństwo Boga stworzony został, a co za tym idzie to i Bóg... - nie dokończył jednak, splunął tylko w przestrzeń przed amboną i szybko zakończył: - Rzeczywiście głupoty wygadujecie, Józefie.

Nie doczekał się riposty, rozmówca już błogo pochrapywał. Tkaczuk powiercił się trochę na twardej ławce, ale nie mógł znaleźć sobie miejsca. Od świtu dzieliły ich cztery długie godziny. Długie dla tego, który nie śpi, krótkie dla śpiącego. Odkręcił butelkę i pociągając solidny łyk płynu poczuł parcie na pęcherz. Podniósł się niepewnie, a alkohol w jego krwi zakręcił ciężką głową. Opadł na ławę, lecz od razu ponowił próbę. Stał przez chwilę chwiejąc się lekko na boki. Odwrócił się zbyt gwałtownie w stronę wyjścia i głowa spotkała się z belką podtrzymującą daszek, aż dudnienie poszło po lesie. Spojrzał wystraszony na Józefa, ale ten tylko mlasnął, chrapanął i spał dalej. Powoli, tyłem, gumiak za gumiakiem, schodził w ciemność, aż jeden z nich trafił na usianą rosą trawę. Drugi krok był na tyle niepewny, że nie wiedząc jak, Henryk wpakował się na młody świerczek przeginając go aż do ziemi. Sturlał się po nim lądując miękko w trawie. No i się udało - pomyślał podnosząc się z wysiłkiem. Po paru wahliwych krokach stanął i uporawszy się z opornym rozporciem oddał mocz chwiejąc się rytmicznie na boki. Obrócił się na pięcie. Śliska podeszwa buta na mokrej ściółce nadała mu rozpędu tak dużego, że niespodzianie iglasta gałąź zaatakowała go prosto w rozdziawioną gębę. Upadł na kolana utulając twarz w dłoniach. Klęczał tak, rozcierając pięściami obolałe oczy, z których ciekły łzy. Zaklął w duchu tak siarczyście, że sam przeraził się własnych myśli.

I wtedy usłyszał cichy szept. Wyteżył słuch. Od rzeki dobiegał spokojny, melodyjny śpiew. Głos był przyjemnie miękki. Gdzieś w głębi zestrachanej duszy zapalił się ogień przypomnienia. Znał tę piosenkę. Barwa głosu wydała mu się znajoma, uspokajające ciepło płynęło wraz z dochodzącymi jego uszu dźwiękami. Nie potrafił jednak sprecyzować źródła tego wspomnienia. Wypity alkohol etylowy niczym chluśnięta z wiadra zimna woda skutecznie gasił ów mały płomień. Obrócił się na klęczkach w tamtą stronę, pięściami masując powieki. Słuchał zauroczony podnosząc się z kolan. Stał przez chwilę, oderwał dłonie od oczu i przez łzy próbował dostrzec śpiewającą istotę, kimkolwiek lub czymkolwiek była. Nie chciał iść, ale nogi same zaczęły odrywać się od chybotliwego podłoża. Skupił wzrok w miarę zbliżania się do źródła śpiewu. To boginka albo wiła – pomyślał i naraz przypomniało mu się, że trzeba kamieniem w jej stronę rzucić, to da spokój. Pod stopami wyczuwał jednak tylko miękką trawę, a schylić się też pewnie nie dałby rady, tak go pieśń zauroczyła.

Cisza. Przystanął na chwilę. Dobiegł go plusk wody – ktoś wyszedł na brzeg. Wraz z pierwszymi śpiewanymi słowami ruszył znowu. Wtedy ją dostrzegł. Nie zobaczyłby jej, gdyby nie jej fosforyzująca skóra. Siedziała na brzegu, a jej jasne odbicie falowało w tafli ciemnej wody. Wbrew swojej woli podszedł na wyciągnięcie ręki i opadł na kolana. Śpiewała dalej, wpatrując się gdzieś poza rzekę w stronę łąk i wsi. Nie rozumiał słów, ale jej głos był na tyle przejmujący, że w głowie zaczęły malować się obrazy. Wiedział, że były wywołane tą jakże smutną piosenką i przeznaczone wprost dla jego wyobraźni.

Widział łany zboża falujące na wietrze w ciepłych promieniach słońca. Snopki siana suszone przez upalny letni dzień. Tańczące pomiędzy nimi młode dziewczyny i przyglądających się z ukrycia młodzieńców. Potem schadzkę zakochanych na kładce nad rzeką. Poczłł pieszczoty i nieśmiałe pocałunki. Coś zaczął sobie przypominać, kiedy nagle śpiew się skończył, a on ocknął się gwałtownie. Klęczał wpatrzony w jej smukłą sylwetkę.

- Witaj, piękny młodzieńcze - powiedziała tak przyjemnym głosem, że łzy pociekły mu z oczu.

- Witaj - odrzekł zdziwiony siłą i czystością swojego głosu.

- Pamiętasz mnie? - zapytała wstając i podchodząc do niego tak blisko, że poczuł na swoich ustach jej zimny oddech.

- Pamiętam - odparł i w tej właśnie chwili dotarło do niego, że stoi przed nim jego pierwsza miłość z młodzieńczych lat.

- Tak - odpowiedziała uprzedzając jego pytanie. - Miałam wyruszyć w wielki świat, ale idąc do niego utopiłam się. Tutaj, w naszej rzeczce, w tej samej, nad którą tuliłeś mnie w ramionach.

- Czego chcesz?

- Kochanka - przemówiła czule.

Uśmiechnął się.

- Za stary już jestem.

- Nie o ciebie mi idzie - powiedziała. - Nasza namiętność dawno już skończona. Kochanka - wyszeptała mu ponownie do ucha.

- Skąd ci go wezmę?

- Weźmiesz - odparła. - Tylko głowę mu odetnij i do wody wrzuć, a już na zawsze zostanie ze mną. I nie bój się, ciało wtedy zniknie, nic się nie wyda, nikt wiedzieć nie będzie.

- A... - chciał coś powiedzieć, ale położyła palec na jego ustach i rzekła:

- Jak do chałupy wrócisz, tam nagroda już czekać na ciebie będzie.

Zdjęła palec z jego ust. Przytuliła się do niego. Poczuł jej jędrne piersi, a zimne usta dotknęły jego ust. Palcami musnęła nabrzmiały, ku jego zaskoczeniu, członek i cichutko wyszepnęła do ucha:

- Nie będziesz żałował.

Zaczęła pomału odsuwać się od niego nucąc pod nosem smutną piosenkę. Bose stopy bezszelestnie stąpały wzdłuż rzeki, a on z każdym jej krokiem stawał się coraz słabszy. Gdy usiadła na brzegu, padł na kolana, a kiedy zanurzyła się w ciemnych odmętach, osunął się na trawę owładnięty na powrót alkoholowym błogostanem.

Drakkar sunął pomału poprzez gładkie jak powierzchnia lustra wody dużego zalewu połączonego z morzem dwoma kanałami. Powietrze poprzetykane tu i tam pojedynczymi pasami unoszącej się mgły stało w miejscu. Zwinięty żagiel w białe i czerwone pasy odbijał się wraz z tysiącami gwiazd i okrągłym księżycem tuż przed rozcinającym jednolitą tafłę wody dziobem drewnianej łódki. Uczepione burt biało-czerwone tarcze, na których widniały czarne symbole oraz gwiazdy, przeglądały się w rozkołysanej za pomocą ośmiu par długich wiosel powierzchni. Za rufą mieniły się w rozchwianej wodzie już tylko same gwiazdy. Ciszę niepokoiły lekkie pomruki wiosłujących i szybkie, krótkie komendy człowieka siedzącego na czele. Jego sylwetka przypominała złowrogiego smoka wystawianego na dziobie statku przez wikingów dopływających do obcych portów. Długie włosy zwisały tuż nad wodę, a oczy próbowały przebić ciemność na jak największą odległość. Sieci rozstawione tuż pod powierzchnią utrudniały żeglugę, a wypity alkohol nie pozwalał się skupić.

- Tutaj już nie ma sieci! - krzyknął ktoś z wiosłujących. - Siadaj na dupie, bo w końcu wypadniesz, a ja nie mam zamiaru kąpać się w tych szuwarach.

- W jakich szuwarach, to największy zbiornik wodny w tym kraju - odparł Ivar siadając na pokładzie.

- Każda kałuża, która nie jest morzem, to szuwały - odparował Styr.

- A taki był błogi spokój - powiedział wiking zwany Jarlem. - Zamknijcie japy i kontemplujcie scenerię. Jeszcze ze dwie godziny i dopłyniemy.

- Dwie godziny? - zawołał ze zdziwieniem Ragnar. - Paliwa mi zabraknie, mamy coś jeszcze we worku? Bjork, sprawdź to z łaski swojej.

Bjork puścił wiosło, a wraz z nim, jak na komendę, każdy z pozostałych odstawił swoje z głośnym westchnieniem, jakby pozbywając się olbrzymiego brzemienia. Zrobili to jednak w sposób na tyle zsynchronizowany, że łódź nie zmieniła swojego kursu nawet o stopień. Gdzieś tam, od linii brzegu porośniętego lasem, dochodził odgłos strzegącego swojego miejsca na ziemi puszczyka. Zawołanie przerwał jednak brzęk obijanych jedna o drugą pełnych butelek w potrząsanym worku. Sądząc po minach, w tym momencie był to najbardziej oczekiwany dźwięk ze wszystkich dostępnych tej nocy. Zasłużył on w pełni na falę pomruków ulgi, jakie uleciały z rozweselonych gardeł. Butelki szybko trafiły do spragnionych rąk i po ulaniu kapki z toastem: „Za tych, co na morzu!” równie szybko straciły swoją zawartość.

- Do wiosła! - ryknął Jarl. - Ivar! Na dziób, wypatruj rzeki, bo po takiej dawce tego boskiego likieru za moment osiągniemy brzeg.

- Ivar, literacie, może kiedyś pieśń o nas ułożysz? - zawołał Ragnar zanurzając wiosło w migoczących gwiazdach.

- Literat - odparł Ivar i wstając wrzasnął do księżyca: - Spalony przez nieuchronny ogień rzeczywistości, wyzbyty marzeń i pogodzony... - wybełkotał, czknął, zatoczył się i zwałił na pokład.

Teraz do miarowych chlupnięć wiosła o wodę doszły dodatkowe, niechciane i wywołujące frustracje dźwięki uderzeń wiosła o wiosło. Nie zwolniło to jednak prędkości łodzi, bo energia pozyskana z wypitego alkoholu była większa od zaburzeń błędników. Dopływali coraz to bliżej linii lasu, która z ich perspektywy bardziej przypominała ścianę nieprzebytych gór niż drzew. Wrażenie to potęgował fakt, że las w tym miejscu porastał dość wysokie wzgórza. Dźwięki dochodzące z ciemności były coraz bardziej wyraźne, nie zakłócały ich głosy zmęczonych wiosłarzy. Wiking z dziobu łodzi wypatrywał w ścianie drzew przerwy, która lada chwila powinna być widoczna.

- Tam. - Wskazał ręką odległą jeszcze bojkę sterczącą ze spokojnej wody.

- Wreszcie - zachrypiał Ragnar.
- Dawajcie smoczą głowę! - wrzasnął Ivar do pozostałych.
- Do domu przecież wracamy, ómoku jeden - zaśmiał się Jarl.
- A tam kobity w ciepłej pościeli, a nie wrogie plemiona czekają.
- A jeśli dom będę miał, to będzie bukowy koniecznie...
- Pachnący i słoneczny...
- I koniecznie podpiwniczony...

Kiedy znaleźli ujście rzeki, zakrzyknęli radośnie i co pary w rękach popłynęli szybkimi ruchami pod prąd. Drakkar sunął majestatycznie pod pochylającymi się nad pofalowaną ścieżką rzeki gałęziami olch. Tutaj nie był już małą łupiną na ogromie zalewu, lecz potężnym wikińskim statkiem zahaczającym masztem o gwiazdy spozierające między drzewami i zaburzającym błyszczącą od poświaty księżycy, gładką taflę rzeki.

Ivar szybkim ruchem wyskoczył z dziobu na drewnianą kładkę i zapierając się butami o deski nie pozwolił na zarysowanie lakierowanej powierzchni łajby. Złapał rzucone cumy i zespolił drewno drakkara z drewnem pomostu, a co za tym idzie całego lasu w jedną, wydawać by się mogło, nieodzowną całość. Wreszcie krajobraz stał się kompletny. Po pięćdziesięciu metrach wąskiej przecinki stała drewniana, kryta słomianą strzechą chata, czekająca na strudzonych wioślarzy. Jej małe drzwiczki były lekko uchylone zachęcając do przekroczenia progu, a ciepły dym sączący się z dachowego dymnika obiecywał odpoczynek i bezpieczny sen.

- Zostajesz? - zapytał Styr Jarla sikającego w ciemność.
- Szybki marsz przez las dobrze mi robi - odparł. - Muszę się przejść i wytrzeźwieć choć trochę.
- No jak tam chcesz.
- Tylko żebyście wszyscy poszli spać! - wrzasnął do ciepłego wnętrza. - Dopiero po południu w samochody i wio do domów!
- Jasne, jasne! - odkrzyknęli.
- Tylko nie zajedź po drodze jakiejś dzikiej świni - zawołał ktoś.
- I uważaj na nocną bukę.

- Zabierz łopatę! - krzyknął Ragnar wyskakując przed chatę za odchodzącym Jarlem.

- Po co? - zaciekawiał się Jarl stając na chwilę.

- Mgła idzie - odparł z nutą znawcy. - Tak gęsta, że będziesz musiał się przez nią przekopywać.

Jarl odwrócił się do kierunku marszu i zaśmiał do siebie, ale gdy tylko wyszedł na łąkę na prawym brzegu rzeki zobaczył, że Ragnar jednak miał rację. Szare, poszarpane pasma mgły pokrywały krajobraz, a im bliżej wody się znajdowały, tym bardziej były ściśnięte, osnuwając rzekę wilgotnym całunem.

Józef Pikuła ocknął się łapiąc głośno ciężkie od wilgoci powietrze w zasmolowane płuca. Rozejrzał się dookoła i nie zobaczywszy nic prócz wszędobylskiej szarej mgły, zaklął pod wąsem.

- Do dupy z takim polowaniem. - Zaczął macać kieszenie, a kiedy jego palce natrafiły na miękką paczkę machorki, uśmiechnął się. - Sołtys, a ty gdzie żeś zginął? - szepnął oglądając się za siebie.

Odpowiedzią była pusta ambona i odległe pohukiwanie puszczyka. Skręcił papierosa i zapalił go łapczywie, wciągając pierwszą tego ciemnego jeszcze ranka dawkę świeżego dymu. Wychylił głowę w wilgoć, ale nawet wyteżając wzrok co sił, nie udało mu się przebić do trawy poniżej. Usłyszał za to miarowe pochrapywania gdzieś spod niskiego świerku, którego czubek nieśmiało wychynął nad szarościami.

- Śpi na glebie, huncwot jeden - parsknął siadając na desce.

Noc pomału ustępowała, chociaż mgła trzymała się wzdłuż rzeczki niczym biały woal rzucony od niechcienia na zieloność mokrej trawy. Nocne odgłosy lasu ustępowały miejsca dziennym. Pierwszy, zmarznięty jeszcze głos, przebijał się przez gęstwinę próbując odesłać ciemność gdzieś pod ziemię, bądź w jakieś inne tajemnicze miejsce, w którym powinna była sama skryć się przed nadchodzącym dniem.

Wraz ze świtaniem chłód otrzeźwił niespodziewanym dreszczem ciało myśliwego. Ocknęło to Józefa z letargu. Przetarł trzęsącą się dłonią zaropiałe, piekące z niewyspania oczy, żeby zamknąć je za chwilę na nowo i wtedy gdzieś od rzeki usłyszał podrywające się do lotu przepłoszone stadko przepiórek, a sekundę później ostrzegawczy krzyk sójki.

- Coś lezie wzdłuż brzegu - szepnął tak cicho, że ledwo sam się usłyszał. Wytężył wzrok, a by uspokoić drzenie dłoni, sięgnął szybko po resztki samogonu. Osuszył butelkę jednym haustem, zastanawiając się, czy noc i mgła ustąpią do momentu pojawieniu się zwierza w łowisku na tyle, by mógł oddać celny strzał.

Po kilku minutach usłyszał pierwszy dźwięk. Ktoś lub coś przedzierało się przez przybrzeżne zarośla, nie zważając na zachowanie ciszy. Pikująco pomyślał, że jednak nieprzespana w ciepłym łóżku noc, połączona z niewygodami nocnego polowania, nie pójdą na marne. Zaniepokoiło go ciche chrapanie kompana, ale stwierdził, że nie powinno zaniepokoić ono nieostrożnego zwierza, który sam płoszy wszystko na swojej drodze. I wtedy zobaczył, jak najbliższe krzaki zanurzone w białej już mgle zaczęły rozstępować się na boki. Myśliwy pomału i w najwyższym skupieniu sięgnął po oparty o ścianę ambony sztucer. Oparł go o wcześniej zostawioną na oknie szmatę i wycelował. Coś łupnęło o ziemię i jego zmęczonym oczom ukazał się ciemny kształt, a w momencie, w którym krzaki wróciły z impetem na swoje miejsce, palec starca zakrzywił się na spuście.

- O kurwa - syknął Józef. - Za wcześnie. - Było już jednak za późno, rozdzierający ciszę huk niechcianego wystrzału wstrząsnął zaspaną okolicą.

Ciemny kształt zniknął w wysokiej trawie po drugiej stronie rzeki, a dzwoniącą po wystrzale ciszę przerwał równie niespodzianie dochodzący z dołu głośny kaszel przebudzonego.

- Wstawaj, Heniu! - wrzasnął Józef gramoląc się w dół po pochylonej drabinie.

- Co się stało? - zapytał sołtys wstając z barłogu. - Strzelałeś?

- Chyba żem w coś trafił - odparł stając na trzęsących nogach na mokrej od rosy trawie. - Chyba dzik. Musimy cofnąć się do mostku, bo to po tamtej stronie rzeczki.

- Myślisz, że padł od jednego strzału?

- Myślę, że tak. Słyszałbym, jak ucieka, a tak tylko słyszałem, jak zwałił się na ziemię.

Myśliwi przeszli przez mostek i przebrnęli przez mokre trawy do miejsca wskazanego przez Józefa, lecz mgła w tym miejscu była tak gęsta, a trawa tak wysoka, że ich wzrok nie odnalazł trofeum. Dopiero Tkaczuk zahaczył o coś butem. Pochylił się i zaczął macać zwalone cielsko w momencie, w którym silny podmuch zagrał na wierzchołkach pobliskich drzew. Jego drżące dłonie identyfikowały obiekt, a wzmagający się wiatr pomału zaczął odsłaniać makabryczne znalezisko potwierdzając obraz powstały w wyobraźni.

- To człowiek - szepnął Tkaczuk obracając leżącego do góry twarzą. - Zastrześliś człowieka?

- Ja, ja... - dukał Józef wpatrując się w otwarte w niemym grymasie zdziwienia usta martwego młodego mężczyzny o długich, jasnych włosach rozrzuconych na boki.

- Kurwa, Józefie! Przecież to Mirek, ten co się bawi w wikinga, syn naszego kowala!

Myśliwi jak na komendę zwałili się na kolana z rękoma złożonymi w geście modlitwy, pochylając się nad ciałem niczym dwa nagrobne anioły. Chłopak leżał pomiędzy nimi w szarej trawie, spod jego lnianej bluzy sączyła się krew, zaznaczając miejsce spokojnego już teraz serca ciemnym kolorem. Las szumiał sennie, łagodnie kołysząc zielonymi gałęziami. Żadna błyskawica nie spadła z nieba, ziemia nie zadrżała ani nie rozstąpiła się wchłaniając zarówno zdarzenie, które nie powinno mieć miejsca, jak i jego niemych bohaterów. Stado raniuszków wesoło przeleciało nad ich głowami w poszukiwaniu żerowiska, a wysoko nad nimi dwa frunące po niebie żurawie obwieściły krzykiem swoją obecność. Zegar wszechświata, niczym nieubłagany czas, tykały dalej, jak gdyby nigdy nic.

Józef ukrył załzawione oczy w dłoniach, uniósł głowę do góry i miękko opadł na plecy łkając cicho. Henryk spoglądał to na trupa, to na przyjaciela. Rozglądał się nerwowo po okolicy, a potem sam osunął się na ziemię i patrzył niewidzącymi oczami na narodziny dnia.

- Co my teraz zrobimy? - zapytał niepewnie Heniek gdzieś pomiędzy chmury, a gasnący owal księżyca.

Podniósł się i spojrział na Józefa. Wtedy właśnie, widząc jego niemoc i ogromną żalność, zakołatały się w jego głowie strzępki nocnych wydarzeń, których był bohaterem. Tęsknota za wyimaginowaną tuż przed zaśnięciem postacią zakłuta go gdzieś pomiędzy sercem a żołądkiem i pomału, jak ciepła fala, zaczęła przemieszczać się w górę jego drżącego ciała, otaczając głowę, wgryzając się w mózg i zawładnąwszy myślami. Konfabulacje stawały się coraz to wyraźniejsze. Widział piękną, młodą dziewczynę machającą do niego z okna, ciepły posiłek na stole, biel pierzyny przykrywającej łóżko, wannę napełnioną po brzegi wodą, a w niej ona - krągła i niewinna. Paroksyzm zadowolenia i skrywanej tęsknoty połączone z lękiem przed wypełnieniem warunku koniecznego do spełniania obietnicy eksplodował pod czaszką jasnym wybuchem i rozchylił ściskane powieki. Podźwignął się szybko z gleby i nachylił nad kompanem.

- Coś ci powiem, Józefie. - Zaczął podnosić za rozpiętą kufajkę płaczącego wciąż Pikulę. - Tylko uspokój się wreszcie. Wiem, co musimy zrobić.

- Nic się nie da zrobić. - Usiadł i zaczął wyrzucać z siebie pojedyncze zdania przerywane westchnieniami i pociąganiem nosem. - Czasu nie da się cofnąć. Życia mu nie zwrócę. Jak ja ojcu jego w oczy spojrzę? Jak mam żyć teraz? Ja nie chciałem. Flinta sama z siebie wypaliła. Myślałem... Ja...

- Posłuchaj mnie wreszcie, człowieku! - Henryk złapał go za drżące dłonie i odciągnął je od twarzy, spojrział mu w oczy i zaczął pomału opowiadać o swoim spotkaniu z wiłą, o jej nieszczęściu i obietnicy.

Józef słuchał, kręcąc w niemym zaprzeczeniu głową i co chwila to otwierając, to zamykając usta, a kiedy Heniek skończył, oswobodził ręce i ukrył w nich głowę. Potem pomału opadł pomiędzy źdźbła, na końcach których, w kroplach wody, przeglądały się pierwsze promienie zimnego jeszcze słońka.

- Rób, co chcesz - powiedział po dłuższej chwili milczenia, a w jego głosie poza nutą żalu można było wyczuć skrywaną złość. Popatrzył na leżące ciało i dodał niepewnie, ciekawy reakcji kompana: - Łaził nocą po lesie przebrany za Bóg wie co, no to się doigrał w końcu. Zawsze mówiłem, że te ich głupoty źle się skończą, że nie ma co denerwować starych bogów. My Słowianie, nie Nordycy. Miałbym teraz płacić za te jego dziwactwa?

Heniek dźwignął się szybko podbudowany słowami Józefa. Stał pewnie na równych nogach. Wiedział, że jak zacznie się zastanawiać, to strach wywołany ewentualnymi konsekwencjami sparaliżuje mu członki. Że jeśli poda w wątpliwość prawdomówność wiły lub jego myśli pobiegną jakąś inną ścieżką, współczucia bądź racjonalizmu - to będzie koniec. Musiał działać szybko, niczym marionetka w rękach siły, której nie rozumiał, a którą wyczuwał, wyczuwał od zawsze. W rzece, w której się przeglądał i w lesie, za każdym razem, kiedy do niego wchodził. Zawsze, kiedy przestępował niewidzialną granicę pomiędzy światem ludzi a ciemnymi ostępami leśnej magii. Teraz albo nigdy. Drugiej szansy nie dostanie.

Niczym pociągana za sznurki własnej determinacji kukielka podbiegł do ambony, wspiął się po szczeblach drabiny i sięgnął po leżącą w kącie siekierkę. Zsunął się na trawę i równie szybko podbiegł do trupa. Serce niczym dzięcioł próbowało przebić się przez kości klatki piersiowej mocnymi, szybkimi uderzeniami, ale ręce zawieszane na sznurkach uwolnionej po długich latach samotności i żądzy pracowały niestrudzenie. Kiedy skończył, odrzucił siekierkę i podszedł do rzeczki. Nie patrzył na to, co trzyma w ręce. Zrobił zamach i przywołując w myślach wiłę cisnął w wodę pokrwawiony dar. Spojrzał gdzieś ponad wierzchołki drzew, a do jego

uszu doszedł oczekiwany plusk. Dopiero teraz, przełamując strach i zaspokajając ciekawość, spojrzął na rzekę, ale pomimo tego, że przejrzysta woda sięgała tutaj ledwo do kolan, zobaczył tylko żółty piasek poprzątykany gdzieniegdzie zielonymi wodorostami. Odwrócił się i na trzęsących się nogach ruszył z powrotem. Stał gwałtownie, jakimś zmysłem wyczuł, jak wyczuwa się przelatującą w ciemnościach sowę albo przepływającego tuż pod powierzchnią sumy, że coś rusza się w wodzie za nim. Dreszcz przeszedł po ciele, włosy zjeżyły mu się na głowie, a zimny pot wystąpił na rozgrzanym szaleństwem czole. Usłyszał ciche: Dziękuję. – I zwał się zemdlony na ziemię.

Obudziło go szarpanie. Otworzył oczy i zobaczył pochylonego nad sobą Pikułę.

– Nic ci nie jest? – zapytał Józef.

– Ciało zniknęło? – odpowiedział pytaniem Henryk podnosząc się z ziemi.

– Zniknęło – powiedział Józef. – Twoja wiła dotrzymała obietnicy. A może nigdy to się nie wydarzyło? Może to tylko pijackie omamy? Może jakaś leśna magia wywołała halucynacje i nikt nie zginął?

Jarl rażno szedł łąką. Wiedział, że jak tylko będzie trzymał się prawego brzegu rzeki, to żadna mgła, choćby i najgęstsza nie wywiedzie go na manowce i o brzasku będzie już na miejscu. Lubił chodzić po lasach, łąkach i szlakach turystycznych o wiele bardziej, niż pływać drakkarem, a oczerety, łęgi i leśne ostępy były mu bliższe niż morza i oceany. Po godzinach spędzonych na wodach zalewu, leśny spacer był obiecującą odmianą. Obiecującą nie przygodę, ale przede wszystkim obcowanie z przyrodą, z tryskającym życiem lasem, z wołającą łąką i szemrzącą wciśniętą pomiędzy nie rzeką. Ważne było też dla niego to nieodparte i towarzyszące mu od małego poczucie sprawdzenia się, przełamywania własnych lęków i ograniczeń, stawianych przez organizm. Jakże dobrym

sprawdzianem był, po kilkugodzinnym wiosłowaniu, samotny spacer w nieprzeniknionych mglistych ciemnościach, gdzieś na granicy strachu i podekscytowania!

Po przejściu pierwszego kilometra przekonał się, że otaczająca go mgła nadaje się nie tylko do przekopania łopata, ale nawet do przerąbania kilofem. Co chwila wyłaniały się z niej ciemne kształty, ale wypity alkohol robił swoje, niwelował strach w wystarczającym, zadowalającym stopniu. Pomyślał, że takie przedzieranie się przez mgłę przypomina szybką jazdę samochodem w nocy przez las. Człowiek nie może zastanawiać się nad tym, jakie stworzenia mogą wyskoczyć niespodziewanie z lasu prosto na maskę auta, w innym wypadku musiałby jechać bardzo wolno. On natomiast wypracował sobie sposób na omijanie niebezpieczeństw przewidując, co takiego może się wydarzyć. Był święcie przekonany, że imaginując sobie niebezpieczeństwa, niweluje je w zarodku, mając wpływ na dalszy bieg wydarzeń. Dochodząc do małej kaskady na rzece, którą słyszał od kilku chwil, zatrzymał się na chwilę, zmiarkował, że zaraz za nią są gęste krzaki, które będzie musiał przebyć, jeśli chce podążać wciąż blisko brzegu. Przypomniało mu się, jak kiedyś kręcił się w kółko w podobnej mgle nie mogąc dojść do brzegu Odry i wciąż wracał na wał. Lepiej będzie przedrzeć się przez zarośla – pomyślał ruszając. Znowu jednak przystanął wytężając słuch. Miał w pamięci to, że po drugiej stronie rzeki, w niewielkiej odległości od końca zarośli, stała ambona myśliwska. A jak będą tam jacyś podpici myśliwi, którzy wezmą mnie za dzikiego zwierza? – pomyślał. W takiej mgle nietrudno przecież o pomyłkę. Machnął ręką i zaśmiał się do swoich projekcji. Skoro o tym pomyślał, nie powinno się to wydarzyć. Już miał rozchylić pierwszą krzaczastą zawalidrogę, kiedy spod jego nóg wyskoczyła przepiórka, a za nią poderwało się do lotu całe wystraszone stadko. Serce w piersi zatłukło mu szybciej, zaklął pod nosem i ruszył torując sobie drogę łokciami. Z pobliskiego drzewa zakrzyknęła sójka.

Wychodził właśnie na drugą stronę zarośli, kiedy poczuł jak haczykowane kolce jeżyny ciągną go za nogawkę skórzanych spodni.

Wyszarpnął nogę i zwał się na ziemię oswobadzając się z krzaczastej przeszkody.

Zrobił dwa kroki na kolanach, gdy poczuł coś dziwnego. Świat jakby zatrzymał się na chwilę, doznał uczucia, że już kiedyś szedł tędy i wydarzyło się coś strasznego, coś co zakończyło wtedy jego życie, a teraz jakby ruszyło dalej, coś jak: „ciąg dalszy nastąpi”. Poczucił lęk połączony z jakąś niesprecyzowaną nadzieją. Tajemnicza siła zatarła szybko to uczucie. Podniósł się z kolan, przetarł rękawem mokre spodnie, zrobił kilka kroków, przystanął, spojrzał w majaczący się kształt samotnej ambony, w środku której ciemna pustka zapraszała suchym wnętrzem.

- Thor czuwa nade mną - powiedział dotykając młota zawieszzonego na szyi.

Doszedł do drewnianego mostku, stanął i odwrócił się w stronę zarośli. Wydało mu się, że widzi dwóch pochylonych w miejscu swojego upadku ludzi. A może to nie ludzie, lecz jakieś zjawy błakające się po uroczysku? Ponownie chwycił młot Thora żeby odpędzić złe moce, a silny powiew wiatru rozwiewający mgłę odsłonił dwie duże kępy trawy wyróżniające się wielkością od pozostałych. Zszedł z mostku i ruszył prostą, piaszczystą drogą do wsi.

WIEDŹMA

Nagle zrobiło się mokro. Wilgoć czułem wszędzie: na włosach, twarzy, dłoniach. Zarówno na drewnianym, polakierowanym łuku, jak i na nawoskowanej cięciwie zbierała się rosa. Dookoła nas, tam gdzie jeszcze przed chwilą widać było drzewa, teraz była mgła. Naraz zdałem sobie sprawę z tego, że ona już wie. Wie, że do niej celuję. To stąd ta wilgoć, ta mgła to jej sprawka. Ręce zaczęły mi drżeć. Nie powinno się trzymać napiętego łuku tak długo, jeśli strzał ma być celny. Powoli odwróciła się w moją stronę, jej ruchy były sprężyste i zdecydowane, niczym czającego się w gęstwinie kota. Przez chwilę uśmiechała się, po czym jej usta zaczęły wypowiadać jakieś słowa. Nie słyszałem ich, ale wiedziałem, że są to zaklęcia. Dla mnie, dla łuku. A może przyzywa jakieś siły na pomoc? Jeśli będę zwlekał, przepadnę. Zamknąłem oczy, wyrównałem oddech. Dociągnąłem cięciwę z tkwiącą w niej strzałą, której końcówkę zwieńczał kuty grot, przeznaczony tylko dla niej i pomału zacząłem podnosić pewną już rękę trzymającą rękojeść, a kiedy serce podpowiedziało, że kąt jest wystarczający, wypuściłem strzałę prawie pionowo w górę. Otworzyłem oczy. Stała w tym samym miejscu szepcząc słowa z coraz to większym pośpiechem. Nie patrzyła w górę, jej oczy utkwione w moje pytały: dlaczego? I kiedy strzała sięgnęła nieba i zaczęła wracać na ziemię, a ona szeptem próbowała zmienić trajektorię lotu, ja, usłyszawszy pierwszy szum wilgotnego powietrza w jej lotkach, całą siłą swojej woli, przekonany o słuszności swego czynu, wyobraziłem sobie, jak grot przebija skórę, żeby utkwić w jej sercu.

Tak oto dwie siły zderzyły się ze sobą spowalniając czas spadającej strzały.

Kiedy ją poznałem, był koniec czerwca. To ona zadzwoniła do mnie.

- Cześć - zagadała. - Jesteś wolny?

Do tego stopnia zdziwiły mnie te słowa, że nie wiedziałem, co mam powiedzieć, ale w tym samym czasie błysnęła mi w głowie myśl, która rozpogodziła moje zakłopotanie.

- Tak, nie mam jeszcze nikogo - odparłem podkreślając słowo „jeszcze”, jakby lada moment miało się to zmienić.

A potem było już w miarę normalnie:

- Nie znam cię. Skąd masz mój numer?

- Nie możesz mnie znać, dostałam go od koleżanki. Powiedziała, że może coś z tego wyjdzie.

- Od jakiej koleżanki?

- Niech to zostanie tajemnicą, przynajmniej na razie.

- Skoro tak chcesz... To co będzie dalej?

- To zależy od ciebie, ja zrobiłam pierwszy krok.

- Tak, to prawda... Spotkajmy się.

- Kiedy?

- Kiedy chcesz.

- Może dzisiaj, kończę pracę o siedemnastej i nie mam żadnych planów.

Było cholernie gorąco, byłem wykończony kilkugodzinnym porannym marszem szlakiem turystycznym biegnącym tuż obok mojego domu i nie miałem ochoty ruszać się nigdzie, więc zaryzykowałem:

- No to może wpadniesz do mnie?

- Ok, a gdzie?

- Straszyn - odparłem zdziwiony, gdyż szczerze mówiąc, nie spodziewałem się takiej odpowiedzi.

- A kursują tam jakieś miejskie autobusy? Nie posiadam samochodu.

- Osiemdziesiąt siedem.
- Zadzwoń, jak będę dojeżdżać. Wyjdiesz po mnie na przystanek?
- A mogę podjechać samochodem?
- Jesteś leniem?
- Nie, po prostu jest cholernie gorąco.
- To ja będę jechać w zatłoczonym autobusie.
- Wyjdę. Zadzwoń, jak będziesz dojeżdżać.

Rozłączyła się, a ja jeszcze kilka chwil stałem z otwartą gębą nie wiedząc, co ze sobą zrobię przez te kilka godzin dzielących mnie od spotkania. Miała bardzo miły głos, jej „r” było lekko niedociągnięte i delikatnie traciło o y w końcowej fazie wypowiedzenia. Taki głos wiele obiecywał. Młoda, niska, o francuskiej urodzie: kasztanowe loczki przykryte szarym beretem, może kilka piegów, ale nie za dużo, małe stopy z drobnymi paluszkami spozierającymi zza pasków zamszowych sandałów pomalowanymi na czerwono paznokciami. Tak sobie ją wyobrażałem umilając sobie to, jakże dokuczliwie upalne popołudnie, nie przywiązując większej wagi do charakteru. Pewnie dlatego, że te kilka zdań zamienionych z nią mówiło mi wszystko. Ona ma dokładnie taki charakter, jaki mi odpowiada.

Kiedy zadzwonił telefon, wycierałem się po wyjściu spod prysznic. Szybko założyłem ubranie, japonki na nogi, ciemne okulary, psiknąłem perfumami od Armaniego za uszy i wybiegłem z domu. Dochodząc do przystanku byłem na nowo zlany potem. Ona szła powoli w moją stronę. Nie widzieliśmy się wcześniej, a jednak się rozpoznaliśmy. Trafiłem ze wszystkim, oprócz koloru włosów – były rude.

- Miranda - powiedziała podając mi delikatną, chłodną dłoń.
- Olek. - Podałem jej swoją, spoconą.
- Mam czereśnie, lubisz?
- Jasne, że lubię.

Kiedy szliśmy, wzięła mnie za rękę, a ja nie czułem się skrępowany. Nie mówiliśmy nic. Ona rozglądała się na boki, a ja

wpatrywałem się w jej drobne stopy przesuwane nad chodnikiem. Dopiero, gdy dotarliśmy do mojego domu i usiedliśmy na zacienionej werandzie rzekła:

- Przepraszam, ale cię oszukałam, nikt nie dał mi twojego numeru. Po prostu wystukałam przypadkowe numery i zadzwoniłam, dzisiaj był jedyny odpowiedni na to dzień w całym roku.

Wiedziałem, że to nie żart, więc powiedziałem tylko:

- Es muss sein.

- Es muss sein - powtórzyła i uśmiechnęliśmy się jak na zawołanie.

Wpatrywała się we mnie, ale nie nachalnie. Było w tym coś urzekającego. Oczy miała zielone, a usta, nie wiem dlaczego, chyba od czereśni, wydały mi się chłodne i kiedy już miałem ją pocałować, zapytała:

- Mieszkasz sam?

Myślę, że wiedziała o moim zamiarze i uznała, że jeszcze nie czas, więc odpowiedziałem:

- Sam.

- Czym się zajmujesz, że stać cię na taki dom? Jeśli to nie tajemnica.

- Jestem pisarzem, ale dom zbudowali mi rodzice. Oni mieszkają w Toronto.

- A więc jesteś samotnym pisarzem.

Patrzyłem w jej oczy, były nieadekwatnie do sytuacji spokojne, bo we mnie aż wrzało. Czułem się tak, jakbym znał ją od bardzo dawna. Ta twarz, gdzieś ją widziałem na pewno, nie raz, po wielokroć. Może we śnie, a może w marzeniach, może ją wymyśliłem? Była przecież taka, jaką tworzyłem od dawna w wyobraźni, więc powiedziałem:

- Zamieszkać ze mną.

- Może - odparła uśmiechając się. - Może tak ma być, może nie dane będzie mi pomieszkać w mieszkaniu, które właśnie wyremontowałam.

Uśmiechnąłem się na te jej słowa, ale dopiero, gdy uciekłem wzrokiem gdzieś w bok. Gdybym zrobił to patrząc w jej oczy, dałbym tym samym aprobatę na coś, na co może nie byłem gotowy, pomimo moich wcześniejszych słów, wypowiedzianych chyba zbyt lekko i pośpiesznie.

- A ty? Czym się zajmujesz?

- Jestem wiedźmą.

Mgła zaczęła przeradzać się w drobny deszczyk. Stałem z łukiem w rękę i wpatrywałem się w jej szepczące usta. Czas się zatrzymał, gdzieś tam, w górze strzała zawisała w złowrogiej zadumie. A ja znowu poczułem się samotny i było to niezależne od tego, w który cel uderzy strzała. Ale, czy będąc z nią, czy będąc z kimkolwiek, nie jest się wciąż samemu? Gdzieś tam, wewnątrz, zawsze jesteśmy sami. Idziemy przez życie samotnie, a tłumem ludzi, którymi się pozornie otaczamy, próbujemy tylko zagłuszyć ten stan. Myśli moje biegły bardzo szybko, w ciągu sekundy przemierzyłem dwa okresy swego życia: bez niej i z nią i do takich wniosków doszedłem, a przynajmniej do takich chciałem dojść.

Obudziłem się wcześniej rano, ale jej już nie było obok. Była to nasza pierwsza noc spędzona razem, zasypialiśmy przytuleni do siebie, a teraz leżałem sam. Czyżbym chrapał? A może wyszła przed chwilą z pokoju, wstając wcześniej niż ja? Zszedłem na dół, w salonie też jej nie było. Znalazłem ją w małym pokoju, w którym najczęściej sypiała moja kotka. Spała w pozycji embrionalnej i wyglądała jak wyrzucony z gniazda pisklak, drobna i krucha. Wydawała się taka bezbronna. Już chciałem odejść, kiedy otworzyła oczy.

- Już wstaję - rzekła.

- Nie musisz - odparłem i dodałem klękając obok łóżka: - Dlaczego zeszłaś spać tutaj?

Nie odpowiedziała od razu, najpierw usiadła, oplotła mnie nogami i przytuliła moją głowę do jej rozgrzanego brzucha, a potem spojrzała mi w oczy odchylając głowę do tyłu. Była zaspana, jej dziewczęca

buzia wyglądała wtedy jeszcze bardziej niewinnie i szelmowsko niż zwykle, niczym twarz gombrowiczowskiej pensjonarki.

- Nie mogłam zasnąć, ty spałeś tak głęboko, a ja nie chciałam cię zbudzić ciągłym wierceniem, zesłam na dół i dopiero w tym pokoju znalazłam wytchnienie.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Nie jestem pewna - odparła. - Powiem ci wieczorem, muszę tylko porozmawiać z koleżanką po fachu - dodała po chwili zadumy. - Podrzucisz mnie po śniadaniu do miasta?

- Jasne, zrobię przy okazji zakupy.

Kiedy jechaliśmy zatłoczonymi ulicami niewiele mówiła. Nie licząc tego, że nie mogła wyjść z podziwu nad tym, że z takim apetytem jadłem śniadanie, kiedy ona zwykle nie może nic przełknąć od rana. Próbowiałem dowiedzieć się na czym tak naprawdę polega to jej „wiedźmowanie”, ale ona za każdym razem odpowiadała, że wieczorem o tym ze mną porozmawia.

- Jestem zmęczona - powiedziała, a ja zauważyłem, jak z każdą przejechaną przecznicą uchodzi z niej energia, staje się coraz bledsza i sprawia wrażenie, że gdyby nie pasy bezpieczeństwa, osunęłaby się na dywanik pod siedzeniem.

- Co ci jest? Co się dzieje? - pytałem zaniepokojony i gdy już zastanawiałem się, czy nie jechać na pogotowie, bo jej stan pogarszał się z minuty na minutę, ona wyszeptała:

- Tam, widzisz? Po drugiej stronie placu jest sklep „Pod Gwiazdami”. Tam wysiądę - mówiła coraz wolniej i kiedy okrążyłem plac z fontanną pośrodku i zatrzymałem się tuż obok kolorowej witryny, dodała: - Dam radę sama wysiąść, przyjedź po mnie, jak zrobisz zakupy. - I odwróciwszy się uśmiechnęła się do mnie - Nie spiesz się.

Wieczorem usiedliśmy do kolacji na tarasie. Tuż obok samica kosa skakała po żywopłocie głośno skrzecząc.

- Chyba ma tutaj gdzieś blisko gniazdo, bo za każdym razem, gdy tutaj siedzę, krzyczy na mnie. - Wskazałem ptaka ręką. - Obawia się o swoje młode.

- Pewnie masz rację - odparła. Po chwili dodała: - Masz w domu świeczki?

- A mogą być takie małe podgrzewacze?

- Mogą być.

- Teraz pewnie powiesz mi, dlaczego spałaś sama i opadłaś z sił?

Spojrzała na mnie zaniepokojona, najprawdopodobniej tym, co zaraz miała mi powiedzieć, a raczej moją reakcją na tę informację, po czym patrząc cały czas w moje oczy rzuciła szybko:

- Miałaś w domu, a konkretnie w swojej sypialni, bardzo nieprzyjemnego ducha.

Zamurowało mnie i dopiero po jakimś czasie spytałem:

- Ducha, w sypialni? - Coś mi tu nie pasowało, duchy zawsze kojarzyły mi się ze starymi domami lub zaniedbanymi cmentarzami. - Przecież mieszkam w nowo wybudowanym domu, nikt tutaj nie umarł i...

- To nie ma znaczenia - przerwała mi. - On mógł przyjść tutaj sam, mogłeś go przywlec z jakimś przedmiotem do domu albo być tutaj zanim ten dom powstał.

- Powiedziałaś: „miałaś”. Czyli już nie mam?

- Już nie masz, wczoraj zabrałam go od ciebie. To dlatego byłam taka słaba. To tak, jakbyś niósł na plecach ogromny ciężar. Jestem jak latarnia dla duchów, ciągnął do mnie, dlatego poszedł za mną. Ten ktoś był naprawdę zły.

Pomyślałem, że jeśli to prawda, mam do czynienia z dowodem na istnienie całego świata nadprzyrodzonego, życia po śmierci, istnienia duszy, Boga i wszystkiego tego, w co od dawna przestawałem wierzyć, ale powiedziałem tylko:

- A po co te świeczki?

- Nie wierzysz mi, prawda? - odparła i uśmiechnęła się. - Nie ma to znaczenia. Musimy usunąć z twojej sypialni złą energię, którą

pozostawił, żebyś mógł w niej normalnie funkcjonować. Trzeba to zrobić dzisiaj, jutro będzie już za późno. Księżyc jest w nowiu jeszcze tylko tej nocy, a oczyszczanie robi się podczas tej właśnie fazy księżyca. Po oczyszczeniu trzeba będzie spalić tam odpowiednie zioła, żeby wypełnić pokój pozytywną energią. Takie puste, jałowe przestrzenie łatwo mogą wypełnić złe moce. Albo zrobimy to razem, tylko musisz mi uwierzyć, albo zrobię to sama. Jak chcesz?

- Zróbmy to razem. - Nawet jeśli to brednie, to mogą być ciekawe brednie - pomyślałem.

Zaczęliśmy od odkurzenia całej sypialni w tradycyjny sposób, potem na środku pokoju zapaliłem dużą świeczkę, a od niej po kolei małe podgrzewacze, które kładliśmy w każdym rogu zaczynając od tego przy drzwiach wejściowych i podążając w przeciwnym kierunku niż wskazówki zegara. Ona coś szeptała, ale nie chciała mi powiedzieć co, napomknęła tylko, że to mniej istotne i bez szeptów rytuał też zadziała. Po wypaleniu ostatniego podgrzewacza zebraliśmy je zaczynając od zapalonego na początku, ale tym razem zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara.

- Daj jakąś nieprzezroczystą torebkę, zawiniemy wszystkie razem z zapałką, którą zapaliłeś główną świeczkę i zakopujemy tak, żeby nikt tego nie znalazł.

- To wszystko?

- Nie, teraz daj miednicę z ciepłą wodą i sól.

- Musi być ciepła? - zapytałem wychodząc do łazienki.

- W ciepłej sól się lepiej rozpuści.

Gdy wróciłem, wzięliśmy czyste szmatki i maczając je w wodzie z solą zaczęliśmy wycierać wszystkie przezroczyste powierzchnie w sypialni. Okna, blat biurka, monitor komputera, szklane elementy w nocnych lampkach po obu stronach łóżka. Najwięcej roboty było ze szkiełkami, z których wykonany był kolorowy żyrandol. Kiedy skończyliśmy, byłem mokry od potu, na szczęście na dworze była już szarówka i nadchodząca noc przynosiła upragnione ochłodzenie.

- Dlaczego woda z solą? - zapytałem, siadając zmęczony na werandzie.

- Sól ma właściwości oczyszczające i zabezpieczające - powiedziała siadając obok mnie. - Nie będziemy na razie wycierać z soli tego wszystkiego, niech tak zostanie.

- Co to był za duch. Czy może: kim był?

- Tego nie wiem, ale na pewno był to bardzo zły duch. Teraz powinno się tam cudownie spać, a i z twoim pisaniem będzie dużo lepiej. Wszystko się odblokuje, takie duchy jak on robią dużo złego dla domowników.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli to prawda, jest to dowód na istnienie życia po śmierci?

- Ty w to nie wierzysz, prawda?

- Staram się uwierzyć - powiedziałem, ale w głębi duszy zastanawiałem się, dlaczego odprawiłem ten rytuał, skoro nawet przez sekundę nie wierzyłem w to, że miałem ducha w domu, nie mówiąc już o skuteczności czynności oczyszczających, które wykonaliśmy. - Robiłaś już takie rzeczy?

- Wielokrotnie. Takie i inne. Pomagam ludziom, gdy tylko się o to zwrócą. Jest taka zasada: my, więdźmy, nie możemy interweniować nieproszone. Podstawą jest wiara, zarówno moja, jak i ludzi, którym pomagam, bez niej nic nie jestem w stanie zrobić.

- A więc możliwe, że to nie twoje zaklęcia i zioła to sprawiają lecz siła ludzkiego umysłu.

- Zaklęcia i rytuały są równie ważne, pomagają uwierzyć. Ludzie potrzebują tajemnicy, wtedy jest to bardziej wiarygodne.

Była to pierwsza od kiedy się poznaliśmy, rozmowa o jej profesji, a więc postanowiłem pociągnąć ją jeszcze za język, nie wiedziałem, kiedy będę miał następną okazję. Omijała ten temat jak mogła, a ja nie chciałem jej spłoszyć ani zniechęcić do mnie, zależało mi wtedy na niej i na związku, który miałem nadzieję, że stworzymy.

- Myślę, że gdyby teraz tutaj zmaterializował się jakiś duch, to ty na pewno byś go zobaczyła. Ja natomiast, nawet jeśli dostałbym od

niego prztyczka w nos, stałbym nieświadomy i jego obecności, i tego prztyczka.

Zaśmiała się tylko.

- Kiedyś byłam u koleżanki na wsi. Pojechałam tam z moją przyjaciółką, z tą, która teraz pomogła mi z tą złą duszą. Siedziałyśmy sobie trzy przed jej domem, jak my teraz, tylko że jej weranda wychodziła prosto na łąkę, pośrodku której stała samotna, uschnięta grusza. Na jednej z jej gałęzi siedział anioł. Ja i moja przyjaciółka widziałyśmy go tak samo wyraźnie jak to stare drzewo, natomiast nasza koleżanka widziała tylko suche gałęzie. Śmiałyśmy się z niej, a ona z nas. Jestem pewna, że do tej pory nie wierzy w anioły siedzące na drzewach.

- Tutaj też gdzieś są? - zapytałem rozglądając się po czereśniach.

- Nie na drzewach - odpowiedziała uśmiechając się. - Ale po mojej prawej stronie stoi mój anioł stróż.

Przeraziły mnie jej słowa. Wtedy po raz pierwszy, niestety nie po raz ostatni.

Deszcz przestał padać, ale nie w sposób naturalny, po prostu krople zawisły w powietrzu. Przestała szeptać. Wpatrywała się we mnie pytająco. Widziałem jej twarz, na którą opadały wilgotne, rude loki, przemoknięte od drgających kropel wody. Powietrze falowało zniekształcając okalające polanę drzewa.

- Moglibyśmy być szczęśliwi - powiedziała ledwo poruszając ustami.

- Nie moglibyśmy - odparłem. - Nie po tym, co zrobiłaś.

Budynek był remontowany. Ustawiono rusztowanie i od pierwszego piętra wszystko zakryto grubą folią, ale okna parteru i lwie twarze spoglądające znad każdego z nich były odsłonięte. Stała przy jednej z nich i wpatrywała się przekrzywiając głowę.

- Na co tak zerkasz spod różnych kątów? - zapytałem podchodząc do niej od tyłu. Objąłem ją w pasie i położyłem głowę na jej ramieniu.

- Zauważ, każdy z nich ma inny wyraz twarzy - powiedziała wskazując ręką lwie głowy i dodała, całując mnie na przywitanie: - A ta? Jest zła czy dobra?

- Moim zdaniem dobra.

- Ale każdy z tych lwów niesie jakąś tajemnicę.

- Lwów? - zdziwiłem się. - Na moje oko to diabły. Zobacz, ten obok ma rogi. Widziałaś kiedyś lwa z rogami?

- Masz rację, nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, a przecież przechodzę tędy prawie codziennie. To faktycznie są głowy biesów.

W jej głosie nie było jednak zdziwienia, raczej pewna wesołość, podszyta odrobiną sarkazmu. Odwróciła się i spojrzała w gwiazdy, które pomimo światła latarni były nad wyraz widoczne tej nocy. Poszedłem za jej przykładem. Niebo było nimi usiane, choć od zachodu nadchodziły chmury zwiastujące burzę, o którą parne powietrze prosiło od kilku już dni.

- Księżyc jest w pełni - powiedziała wskazując jego oblicze zasłaniane przez chmury. - Znów nie będę mogła spać. Spędzę noc na paleniu ziół. Trzeba wreszcie napełnić twoją sypialnię pozytywną energią, a pełnia to na to idealny czas.

- Dlaczego wy, wiemy wszystkie swoje rytuały odprawiacie w nocy, dlaczego księżyc tak na was działa?

- Księżyc ma potężną energię, większą niż słońce.

- Ale przecież w każdej religii noc i księżyc kojarzone są z diabłem i złymi mocami, a słońce jest uosobieniem dobra i Boga.

Nic na to nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko wpatrując się w diabelską głowę. Pierwsze krople deszczu zaczęły spadać na nas, przynosząc wyczekiwane orzeźwienie.

- Wejźmy do tej knajpki - zaproponowała.

Usiedliśmy przy małym stoliku na dwóch wygodnych fotelach pod szeroką kolumną, na której tuż nad nami był zawieszony obraz przedstawiający ukwiecony balkonik weneckiego budynku. Całość w pełni oddawała nastrój tego włoskiego lokalu. Przyglądała mi się

podejrzliwie. Nie odzywałem się. Chciałem, żeby to ona zaczęła, żeby nie powiedziała potem, że się czepiam.

- Myślisz, że jestem złą osobą? Patrzysz na mnie jak na złą czarownicę z „Jasia i Małgosi”.

- A zrobiłaś coś kiedyś złego? Skrzywdziłaś kogoś?

- Zło jest pojęciem względnym. Ten sam uczynek, który dla jednej strony jest zły, dla drugiej staje się wybawieniem.

- Powiedz mi, dlaczego gdy przebywam z tobą, cały czas wydaje mi się, jakby wewnątrz mnie toczyła się jakaś walka? Walka dobra ze złem, walka mojej wiary, której symbolem jest Chrystus wiszący na mojej szyi, z mocami, których nie rozumiem, a których atrybutem jest ta mała, mająca mnie strzec runa, którą od ciebie dostałem?

- Nie odpowiem ci na to pytanie. Wierzysz w moc tej runy?

- Pismo runiczne to po prostu pismo. To ludzie, którzy nie potrafili pisać ani czytać, przypisali mu magiczne właściwości. Na pewno dziwili się, że jakiś znak przedstawia na przykład zwierzę, przedmiot lub czynność. Uważali zapewne, że w znaku tym zaklęte są wszystkie te rzeczy i tak to powstało.

- To dlaczego wciąż ją nosisz?

- Nie wiem.

- W co ty tak naprawdę wierzysz?

- W nic. We wszystko. Która z tych odpowiedzi jest lepsza? A może to ta sama odpowiedź?

- Jesteś zagubiony. Mogę ci pomóc. Może właśnie po to się spotkaliśmy?

- A może to ja powinienem pomóc tobie, uświadomić ci, że świat, w który wierzysz nie istnieje, że duchy nie blakają się wśród żywych, że anioły nie przesiadują na drzewach, że zioła na miłość, które palisz u mnie w domu przynoszą odwrotny skutek...

- A jest tak? - przerwała mi.

- Nie wiem. W przeciwieństwie do ciebie, nie mam tak silnego daru wiary. To nie jest takie proste, ale z każdym wypalonym

kagankiem moje uczucie do ciebie – zawahałem się – może nie gaśnie, ale na pewno słabnie.

- Co mam zrobić? Odejść? Tego chcesz?

- Nie. – Tego na pewno nie chciałem, przynajmniej nie wtedy. – Jedźmy już do mnie, noc krótka, nie zdążysz ziół wypalić.

- Tylko, jeśli ty tego zechcesz.

- A jeśli nie zechcę?

- To tego nie zrobię, ale nie będę spać tam komfortowo. Nie wiem, czy w ogóle będę tam mogła zasnąć, czy co noc nie będziesz znajdował mnie w innym pokoju.

- To szantaż?

- Przecież wiesz, że nie.

Nie byłem jednak tego taki pewny. Było w niej tyle ciepła, tyle bezinteresownego niesienia pomocy, altruizmu wręcz. To się czuło patrząc na nią, w jej oczy, obserwując wyraz twarzy. Jednocześnie zadawałem sobie pytanie, czy to, co robi ma jakikolwiek sens? Czy świat w jaki wierzy, zdarzenia, które wywołuje, bądź którym stara się zapobiec, są faktyczne, realne? Przynoszą korzyści wierzącym w nie ludziom czy raczej wywołują zamęt lub rodzą lęki, które nigdy by nie powstały? Spojrzałem w jej zielone oczy zasłonięte częściowo rudymi lokami i powiedziałem:

- Myślę, że każdy z nas sam tworzy wszechświat, w którym żyje. W twoim wszystkie te rzeczy, w które tak silnie wierzysz są jak najbardziej realne...

- A jak wygląda twój świat? – zapytała wykorzystując moje zawahanie.

- Mój... – zamyśliłem się. – Mój dopiero tworzę.

Jechałem wolno nie dlatego, żeby być jak najpóźniej w domu, po prostu lubię jeździć po mieście nocą, szczególnie, gdy deszcz wygania snujących się po ulicach pieszych, a zmęczone korkami samochody stoją na parkingach i poboczach czekając na poranną gorączkę.

- Będę musiała wyjechać na kilka dni – przerwała zbyt długo trwającą ciszę. – Mam nadzieję, że nie będziesz tęsknił – dodała

z przekąsem.

- Dam radę - odparłem kątem oka odprowadzając niespieszącego się mężczyznę w długim, białym płaszczu. - Coś pilnego?

- Przyjaciółka ma jakiś problem z mężem. Prosiła, żebym przyjechała i w miarę możliwości pomogła jej.

- A gdzie mieszka?

- W Krakowie.

- Też więdźma?

- Nie - zaśmiała się. - To nie będzie zlot czarownic. Szybko załatwię sprawę i wracam.

Zostałem sam. Wyjechała porannym pociągim i kiedy wróciłem do domu, żeby na tarasie zacząć pisać, czego nie robiłem odkąd się pojawiła w moim życiu, a wokół nic już jej nie przypominało, poczułem się tak, jakbym jej nigdy nie poznał, jakby była tylko moim złudzeniem, jedną z bohaterek któregoś z moich opowiadań. Myśl ta szybko jednak minęła, a ja poczułem smutek, najzwyczajniejszy w świecie smutek i nadchodzącą tęsknotę, nie za nią, ale za towarzystwem drugiej osoby. Musiałem jednak skupić się na pisaniu, szybko odrzuciłem to uczucie i zabrałem się do pracy. Dopiero wieczorny głód oderwał mnie od komputera. Zrobiłem sobie kilka kolorowych kanapek, których wygląd i smak sprawiły, że przeniosłem się na chwilę w czas dzieciństwa, kiedy to matka przygotowywała mi kolację i siadając przy stole z niejednokrotnie brudnymi rękoma przyglądałem się takim właśnie kanapkom. Patrzyłem na sałatę, wędlinę, pomidora lub inne warzywo zastanawiając się, dlaczego muszę jeść te wszystkie rzeczy. Uśmiechnąłem się, ale uśmiech ten nie trwał długo. W miarę, jak słońce zachodziło, a kuchnię wypełniał mrok, mnie ogarniał dziwny niepokój, którego na początku nie potrafiłem zidentyfikować. Dopiero kiedy poszedłem na górę i położyłem się w łóżku z książką w rękę, a po moich plecach przeszedł zimny dreszcz, zrozumiałem. Bałem się. Wyczuwałem, że nie jestem w pokoju sam. To, co do niedawna było według mnie

niemożliwe, stawało się faktem. Duch, którego ona zabrała z sypialni nawiedził moje myśli. Coś, w co nie wierzyłem, nie dawało mi teraz spokojnie leżeć i poczytać przed snem. Zacząłem przebiegać wzrokiem po liniach tekstu, ale uczucie strachu nie pozwalało skupić się na tym, co przeczytane. Racjonalizm pryskał jak rozbita szklanka, którą nie sposób poskładać z powrotem do kupy.

Wiedziałem już, że nie zasnę tej nocy. Nie tutaj, w tym pokoju. Lęk był zbyt silny, a każdy szelest, każdy cień pogłębiał to uczucie. W pewnej chwili opętał mnie tak głęboki paroksyzm strachu, że gdy telefon leżący na półce wydał dźwięk powiadomienia o sms-ie bardzo realnym ludzkim gwizdem, którego wtedy nie poznałem, dla mnie to duch zagwizdał. Zerwałem się na równe nogi i zbiegłem po schodach. Serce waliło mi jak ogłupiałe. Pomyślałem, że przecież to niemożliwe, duchy nie istnieją, a nawet jakby istniały, to mało prawdopodobne, żeby jakiś miał interes w straszaniu mnie. Poza tym, to nie dam się wygonić z własnej sypialni nikomu, nawet umarłym. Wróciłem szybkim, pewnym krokiem na górę, ale kiedy przekraczałem próg pokoju zwątpiłem w swoją odwagę. Właśnie wtedy przyszła mi ta myśl po raz pierwszy. To przez nią, gdyby nie ona, nie bałbym się. Zawsze dobrze mi się tutaj spało i nigdy nie poczułem tego, co czułem teraz. Czyjaś obecność na powrót stała się nie do zniesienia. Spojrzałem na zegarek, była dopiero dwudziesta druga. Zadzwonię do niej, na pewno jeszcze nie śpi, plotkuje z koleżanką, może nawet o mnie. A nawet jak śpi, to co z tego? Sięgnąłem po telefon i zauważyłem symbol sms-a. A więc to nie gwizdał duch, to sygnał przychodzącej wiadomości, której dźwięk powiadomienia zmieniłem dziś rano zapominając o tym. Cały strach opadł w jednej chwili. Wiadomość była od niej, otworzyłem ją i zacząłem czytać, a miarę czytania strach paraliżował każdą część mojego ciała, wiadomość bowiem brzmiała:

„Wiem, że jesteś zagubiony. Wysłałam ci mojego anioła stróża, porozmawiaj z nim.”

Poczułem mrowienie w klatce piersiowej. Nie wierzyłem w anioły, a jednak mrowienie zamieniało się w ból, który dodatkowo

spotęgował uczucie strachu do niewyobrażalnych rozmiarów. Padłem na kolana. W oczach stanęły mi łzy. Nie wiedziałem co robić. Anioł, którego wysłała do mnie przemienił się w moim umyśle w demona, przez którego zaraz będę miał zawał. Drżącą ręką sięgnąłem po zawieszony na mojej szyi krzyżyk i mocno go ściskając zacząłem odmawiać Ojcze nasz. Pomogło, uspokajałem się, a ból znowu zmienił się w mrowienie, by po chwili ustąpić. Podniosłem się z klęczek, pospiesznie ubrałem, wiedząc, że to chwilowa poprawa i zabierając telefon zbiegłem na dół. W przedpokoju zabrałem klucz od samochodu i wyszedłem z domu.

Jadąc, zadzwoniłem do niej. Odebrała po kilku sygnałach.

- No hej - wyczułem wesołość w jej głosie. - Rozmawiałeś z nim?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie wiedziałem, czy chcę ją opieprzyć, czy się jej pożalić. Wtedy nagle słowa same wypłynęły ze mnie wrzącym potokiem, niczym lawa wypływana partiami z wnętrza ziemi:

- Jeśli jeszcze raz wyślesz do mnie anioła, zetrę go na pył!

Przez długą chwilę nie mówiła nic, a ja wyobrażałem sobie, jak z jej twarzy znika zadowolenie ze spełnionego, dobrego, jej zdaniem, uczynku.

- Kim ty jesteś? - zapytała wyraźnie zaniepokojona. Pytanie to wydało mi się w zaistniałej sytuacji tak niedorzeczne, że zaśmiałem się w odpowiedzi, przerywając połączenie.

Dopóki nie wróciła, nie spałem w swojej sypialni. Noce były ciepłe, spędzałem je więc na werandzie oszukując się, że na świeżym powietrzu śpi się najlepiej. Obiecowałem sobie, że będę sypiać tu całe lato. Zamontowałem nawet podwójne łóżko z moskitierą, żeby natrętne owady nie przerywały mi snu.

Powietrze wirowało, krople deszczu nieruchomo w nim wisały. Cisza niosła się od okalających polanę drzew, odbijała od nas i biegła z powrotem w wilgotny, pachnący połączeniem mokrej ziemi ze ściółką las.

- Zabijesz mnie? - zapytała bez lęku. - Naprawdę chcesz mnie zabić?

Nie odpowiedziałem.

- Pomimo tego, że jesteś chrześcijaninem, jak twierdzisz, wierzysz w reinkarnację, prawda? W wędrówkę dusz. Wiesz, że czas nie istnieje, jest tylko naszym wymysłem, a więc energia, którą jesteśmy, może odradzać się po naszej śmierci nie tylko w przyszłości, ale także w przeszłości. Dusza wędruje niezależnie od praw fizyki, które sobie wymyśliliśmy, a punkt narodzin wybiera bez względu na poprzednie wcielenia. Możliwe jest zatem spotkanie siebie samego w innym ciele. Dwie takie osoby, będące de facto jedną, bardzo do siebie pasują, dopełniają się, nie potrafią bez siebie żyć, odnajdują się wtedy dwie połówki - wypowiedziała wszystko na jednym oddechu, po złapaniu drugiego dodała: - Nie czujesz tego? Jesteśmy jednością, zabijając mnie zabijesz część siebie, już nigdy nie będziesz taki sam, a konsekwencje mogą być nieprzewidywalne. Przecież wiem, że to czujesz.

Patrzyła prosto w moje oczy, ja nie mogłem spojrzeć w jej, wiedziałem, że mogę zobaczyć tam coś, czego nie chciałem widzieć. Coś, co nie pozwoliłoby mi dokończyć tego, co zamierzałem zrobić.

Zadzwoił telefon. Drzemałem na werandzie i zanim wygrzebałem się spod moskitiery i doszedłem do kuchni, skąd dochodził dzwonek, nastąpiła cisza. Sprawdziłem listę połączeń. Mały. Oddzwoniłem.

- A ty co? Śpisz jeszcze? - rozległ się w słuchawce po pierwszym sygnale głos dawno niesłyszanego kumpla z dzieciństwa. Przyjaźń na całe życie, razem na podwórku, razem w podstawówce i technikum. Dopiero potem ja poszedłem na studia techniczne w Gdańsku, a on do szkoły policyjnej w naszym rodzinnym mieście. Sentymentalny głupiec, który nie mógł rozstać się z rodziną i resztą kumpli, a raczej współwyznawców, był bowiem poganinem przywiązany do miejsca swego urodzenia.

- Nie wyspałem się w nocy i musiałem trochę odespać - odparłem. - Co tam?

- Nie uwierzysz, czego się dowiedziałem.

- Na pewno zaraz mi powiesz.

- Nie byłeś na rocznicy śmierci Adasia, a obiecywaliśmy to sobie, mieliśmy spotykać się w tym dniu bez szukania wymówek. Jeden dzień w roku tylko dla kumpli...

- Nie mogłem - przerwałem mu. - Czego się dowiedziałeś? - spróbowałem szybko zmienić temat.

- To nie było samobójstwo - stwierdził po chwili milczenia.

- No przecież sam prowadziłeś tę sprawę - odparłem, a słowo „sprawa” wydało mi się w odniesieniu do mojego przyjaciela Adasia wręcz wulgarne i nie na miejscu. Adaś, niski, wiecznie wesoły grubasek, którego lubili wszyscy. - Co ty wymyśliłeś?

- To nie wymysł - powiedział cicho i dodał rozdygotanym głosem.

- Wyciągnąłem to od niej.

- Od kogo? - zapytałem wiedząc, o kogo mu chodzi. - Od Anki?

- Od Anki.

- Podrywasz żonę nieżyjącego kumpla?

- Nie podrywam, ale coś mi od początku nie pasowało, przecież i ty tak twierdziłeś. Dlatego wolałem to sprawdzić. - Odsapnął chwilę i dodał tłumaczącym się tonem. - Tylko nie pytaj mnie jak, bo nawet jak ci powiem, nie uwierzysz.

- Pogańskie czary mary?

- Coś w tym stylu.

- Powiedz, jestem bardzo ciekaw. Potraktuję to jak zbieranie materiału do kolejnego opowiadania.

Zawahał się, żeby po chwili powiedzieć, jakby recytował słowiański przepis na placki z kaszy jaglanej:

- Jak już zasnęła, położyłem jej rzekotkę na piersi i zapytałem, czy miała jakikolwiek związek ze śmiercią swojego męża.

- No proszę cię - powiedziałem spokojnie, ale po sekundzie uderzyło mnie to, że on nie żartuje i to, że musiał spać z nią, a może

doszło między nimi do czegoś, do czego dojść nie powinno. Nie chciałem się tego dowiedzieć, więc zapytałem tylko: - Dlaczego rzekotkę?

- To może być jakakolwiek żaba, prócz ropuchy, ale rzekotka nie ucieka, jest z nią najmniej kłopotu.

- I czego dowiedziałeś się dzięki żabie? - podkreśliłem ironicznie ostatnie słowo.

- Anka korzystała z pomocy wiedźmy. Chociaż ona nazywała ją wróżką, ja wiem że była to potężna wiedźma. Myślałem najpierw, że musiała skądś przyjechać, bo u nas takiej nie ma, wiedziałbym o tym. Zapytałem i okazało się, że to Anka jeździła do niej i tutaj niespodzianka. Jeździła do Gdańska. Dlatego też dzwonię do ciebie, choć wątpię, żebyś znał jakąś czarownicę z Gdańska.

W jednej chwili fala gorąca zalała mnie od stóp po czubek głowy.

- W jaki sposób ona jej pomogła?

- Adasiowi, jak wiesz, słabo szedł interes, a Anka była bardzo wymagająca. Pamiętam, jak spotkaliśmy się tydzień przed jego odejściem, powiedział mi, że niczego w życiu nie osiągnął. Olałem to wtedy, wypiliśmy trochę i pomyślałem, że głupio się żali, a powinienem poczuć, że jest coś nie tak. Już wtedy był pod wpływem czarów. One wykorzystały jego frustracje i popchnęły go do samobójstwa.

- W jaki sposób?

- Anka dostała jakieś zioła od tej wiedźmy i codziennie paliła wieczorem to świństwo, a Adaś wdychając je, wpadał w coraz głębszą depresję. W końcu podała mu jakiś halucynogenny wywar do wypicia, no i stało się. Bogowie jedynie wiedzą, co mu chodziło po głowie gdy stał na gzymsie swojego bloku. Myślę, że nawet wiedźma nie wiedziała w jaką paranoję go wepchnęła.

- Myślisz, że to działa? Że jakieś zioła i wywary mogą zabić człowieka? - powiedziałem to doskonale zdając sobie sprawę, że jest to jak najbardziej możliwe. LSD czy aya mogły być tu najlepszym przykładem.

- Rusz mózgownicą! Adaś i samobójstwo? Lepiej pomyśl, jak go pomścić, a nie podważasz fakty.

- Pomścić? Co ty chcesz zrobić?

- My, chciałeś powiedzieć, co my mamy zrobić. Ja zajmę się Anką, namierzę też wiedźmę i wtedy ty zajmiesz się nią, mieszka w końcu w twoim mieście - czekał, aż coś powiem, jakoś zareaguję, ale było to dla mnie tak niedorzeczne, że nie miałem pomysłu, co mu powiedzieć, więc on zaczął mówić: - Musimy to zrobić, dla Antosia, słyszysz? Był naszym przyjacielem!

- Co, teraz ty będziesz czary rzucał?

- Ankę załatwię w normalny sposób, gorzej będzie z wiedźmą, musimy najpierw ją znaleźć.

- Jak ją Anka przekonała? Przecież musiała jej coś powiedzieć - mówiąc to podświadomie zacząłem bronić Mirandy zakładając, że to ona jest wiedźmą z Gdańska, co było przecież prawdopodobne.

- Powiedziała jej, że Adaś ją zdradza, przychodzi pijany, bije ją, ale to jest nieistotne.

- Nieistotne! - oburzyłem się. - Moim zdaniem bardzo istotne, przecież jeśli jest tak, jak mówisz, to wiedźma jej tylko pomogła, czyli że jest niewinna. Nie знаła przecież prawdziwego powodu poczynań Anki, zakładając, że prawdą jest to, że Anka chciała się go pozbyć, bo za mało zarabiał.

- Wątpisz w to? - teraz on podniósł głos. - Znałeś go chyba lepiej ode mnie, w życiu nie podniósł na nią reki, kochał ją jak szalenciec, przecież doskonale o tym wiesz. A jeśli chodzi o wiedźmę, to na pewno wyczuwała prawdziwe zamiary Anki.

Przeraziło mnie to na tyle, że włosy dosłownie zjeżyły mi się na nadgarstkach. Miałem dosyć całego tego szajsu. Magii, duchów, oczyszczających rytuałów, zaklęć, palenia ziół, rzucania i odczyniania uroków. Nie mówiąc już o zemście na, możliwe że mojej, wiedźmie. Czułem, jak coś w środku buntuje się we mnie objawiając mi to silnym poczuciem lęku. Mały mówił do mnie, ale ja nie słuchałem, był

to chyba obronny zabieg mojej podświadomości. Powiedziałem więc tylko przerywając mu:

- Muszę kończyć, ktoś dzwoni do furtki, odezwij się do mnie wieczorem. - I rozłączyłem się. Do wieczora, z krótką przerwą na obiad, snułem się po ogrodzie. Czułem się tak, jakbym był wahadłem przesuwającym się pomiędzy paranoją Małego, a własnym rozumem. To, że Adaś nie popełnił samobójstwa było dla mnie więcej niż pewne, ale to że Anka maczała w tym palce, było wątpliwe, a przynajmniej naciągane. Przecież mogła go po prostu zostawić, no chyba, że obawiała się reakcji otoczenia. Dużo łatwiej odegrać rolę zdruzgotanej wdowy niż niewdzięcznej żony opuszczającej męża, a Anka należy do ludzi, którzy dużą rolę przywiązują do opinii innych. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, a przeczucie, że wiedźmą z Gdańska jest Miranda, przytłaczało mnie. Miałbym pomścić przyjaciela tylko dlatego, że Mały za pomocą żaby dowiedział się o występku Anki i co do diabła miałbym zrobić? Zabić ją? A co zrobi Mały z Anką? Jak ma zamiar się nią zająć? Przecież to przybiera już ramy niezdrowej psychozy, nieracjonalnej bzdury, przez którą mogą ucierpieć niewinne osoby. A co, jeśli Anka i gdańska wiedźma są niewinne, a przekonania Małego okażą się konfabulacjami?

O pisaniu tego wieczoru nie było mowy. Chodziłem od drzewa do drzewa, od siatki do siatki, od werandy do kuchni zerkając na stół kuchenny, gdzie leżał telefon. Obiecałem sobie, że jeśli Miranda zadzwoni z dworca, żebym po nią przyjechał przed telefonem od Małego, to nie będę brnął w tę kabałę, ale jeśli Mały da znać przed jej przyjazdem, będzie to znak, że powinienem zaangażować się w wendetę i zawierzyć przyjacielowi.

Podszedłem do krzaka agrestu, ująłem owoc w palce potwierdzając dotykiem jego twardość w momencie, w którym telefon wydał dźwięk przychodzącej wiadomości. Ruszyłem pomału w jego kierunku zastanawiając się, co szykuje dla mnie los. Przyglądałem się chwilę aparatowi, po czym przesuwając palec po ekranie rozświetliłem go odczytując wiadomość. Była to bezuczuciowa,

wyglądająca na przepisaną z policyjnego raportu informacja, że w dziś w wypadku samochodowym zginęła Anna G. i że prawdopodobną przyczyną było niedostosowanie prędkości do warunków panujących na drodze.

Nie zdążyłem pomyśleć, zadzwonił telefon, odebrałem:

- No hej.
- No hej - usłyszałem głos wydobywający się z mojej krtani.
- Za piętnaście minut będę na Głównym, wyjedziesz po mnie?
- Jasne - odparłem momentalnie trzeźwiejąc. - Już wyjeżdżam.
- Coś się stało?
- Pogadamy, gdy się spotkamy, ok?
- Ok, do zobaczenia w takim razie - powiedziała zaniepokojona.

Leżeliśmy w łóżku na werandzie patrząc w gwiazdy. Z zewnątrz wyglądaliśmy pewnie jak jeden organizm, ale dla mnie nigdy nie byliśmy dalej od siebie, nawet wtedy, kiedy jeszcze się nie znaliśmy.

- Jak poszło u koleżanki?
- Dobrze.
- Pomogłaś jej?
- Tak.
- Jak?

Nie odpowiadała. Przekręciła się na bok, chwilę wpatrywała się w mój profil, po czym ujęła w dłonie moją głowę i przekręciła tak, żebym musiał patrzeć w jej oczy. Wiedziałem, że rozważa czy i ile mi powiedzieć, a może tylko tak mi się zdawało. Może byłem już na tyle uprzedzony, że rzeczywistość została wypaczona. Przecież jeśli nawet była zamieszana w śmierć Adasia, to nie mogła wiedzieć, że ja też jestem z tym związany.

- Moja koleżanka była nieszczęśliwa ze swoim mężem, nie sypiali ze sobą od dawna, najprawdopodobniej on ma kogoś na boku. Ona bardzo go kocha, nie wyobraża sobie życia bez niego. No to pokazałam jej jak go odzyskać, jak sprawić, żeby znowu ją pokochał.

- Jak? - Wpatrywałem się w nią, żeby mówiła dalej.

- Popaliłyśmy zioła na miłość, zostawiłam jej paczuszkę, nauczyłam ją kilku prostych modlitw. Powinno wystarczyć, to silne zioła.

- A co, jeśli on tego nie chce? Co, jeśli nie był szczęśliwy z nią, a prawdzie szczęście znalazł w ramionach innej?

- W tym trójkącie zawsze jedno będzie nieszczęśliwe. Ja zadbałam tylko, żeby nie była to ona. O to mnie prosiła. Spełniłam jej prośbę.

- On też będzie szczęśliwy?

- Będzie.

- A gdzie wolna wola?

Zaśmiała się.

Krople deszczu wisiały w powietrzu delikatnie drgając. Patrzyłem przez nie w jej oczy. Gdy wszystko ruszy na powrót, a ruszy na pewno, nawet jej czary nie trwają wiecznie, strzała spadnie, zabierając życie któremuś z nas. Ona miała swoją magię, wiedzę przekazywaną z pokolenia na pokolenie przez wiedźmy czujące w sobie powołanie. Ja miałem swoją wiarę, wiarę w mojego Boga i prostą modlitwę. Byłem jednak uzbrojony w jeszcze dwie rzeczy. Pierwszą z nich była niezłomna wiara w słuszność mojego czynu, drugim wbite w ziemię tuż przede mną strzały.

Błyskawicznie wyrwałem jedną z nich, nie była przypadkowa. Opatrzona runami na cisowym drewnie zakończona kamiennym ostrzem. Nałożyłem ją na cięciwę, napiąłem łuk, wycelowałem i rozluźniłem palce.

Krople deszczu spadły na ziemię.

Schyliłem głowę. Z nosa zwisała kropla zniekształcając trawę poniżej. W momencie, w którym uderzyła o źdźbła, z nieba spadła zabłąkana strzała dosięgając celu.

PLEMIĘ

Mała dziewczynka biegła między chałupami. Księżyc, który je oświetlał dodawał jej zgarbionej postaci zagadkowości. Ciszę zakłócały cykady, a gdzieś, z nieprzebranej zieloności, dobiegał ptasi krzyk. Tej nocy w centralnym punkcie wioski odbywała się narada plemienna i chociaż zarówno kobiety, jak i dzieci nie mogły w niej uczestniczyć, a dziewczynka spełniała oba te warunki, zmierzała właśnie tam. Kiedy dobiegła do okazałego, drewnianego budynku, zatrzymała się na chwilę i zaczęła nasłuchiwać. Gdy do jej uszu nie dobiegł żaden podejrzany dźwięk, a zmrużone oczy, świdrujące ciemność nie dostrzegły nikogo, ani niczego, co mogłoby ją zaniepokoić, zaczęła pomału, z wielką ostrożnością wspinać się po ścianie budynku. Pomimo tego, że drewniane bale były śliskie od wilgoci, już po chwili dziewczynka znalazła się na dachu.

- No, wreszcie - przywitał ją ściszony głos.

- Nie mogłam wcześniej, musiałam pomóc mamie - odpowiedziała kładąc się obok małego chłopca. - Jesteś pewien, że nas nie zauważą?

- No jasne - odparł. - Bądź już ciszej, zaczęło się.

Obydwoje przysunęli się do otworu w dachu, z którego sączył się biały dym, oświetlany od dołu światłem palonego w pomieszczeniu ogniska. Dziewczynka poczuła jak dym ten gryzie ją w oczy i szybko odwróciła się, przewracając na plecy. Miliony gwiazd oświetlały niebo, a w momencie, w którym na niebie spadła pierwsza z nich pierwszy głos z wnętrza dobiegł na dach.

- Witam was - powiedział siedzący najbliżej ogniska stary mężczyzna. Jego siwe, zaplecione w setki warkoczyków włosy przykrywały szerokie plecy. Mówił patrząc prosto w ogień, pomimo tego, że za jego plecami, dookoła ogniska, siedziało około dwudziestu mężczyzn. - Witam zarówno was, obecnych - zatoczył dłońmi szerokie koło - jak i tych, którzy odeszli. - Wskazał gestem niebo widziane poprzez dym. - Od ostatniego spotkania minęły dwa pełne księżyce, czas poddać pod głosowanie wiadomą sprawę. Czy ktoś chce coś powiedzieć, zanim zaczniemy?

Młody wojownik wstał z miejsca, ukłonił się w stronę ognia i rzekł:

- Od tysięcy lat nasze plemię nie schodzi z góry, od tysięcy lat nasze plemię czeka. Ale na co czeka? Co, jeśli nasze legendy to tylko bajania? Może już czas opuścić górę? Może nasze stopy znowu powinny poczuć ląd? Może nasze dzieci powinny zobaczyć coś więcej, niż tylko wierzchołki drzew, które stąd widać? - Dzień, w którym obcy mają przybyć na naszą górę, jest bliski - wtrącił Szaman podzwaniając grzechotką. - Tak mówią runy.

- A jeśli runy się mylą? - zapytał drugi z młodych wojowników, choć widać było, że sam nie wierzy w to, co mówi.

- Nie bluźnij! - wrzasnął Szaman. - Runy wyznaczają nam ścieżkę życia od zarania dziejów i jak dotąd robią to nieomylnie.

- Może zapytajmy ich przed głosowaniem, czy coś się nie zmieniło? - wtrącił starszy, siedzący z tyłu mężczyzna. - Czy to uspokoi młodych?

- Tak - odparł wciąż jeszcze stojący młodzieniec po chwili zastanowienia. - Niech zdecydują runy...

Szaman sięgnął do woreczka przy pasku i wyjął runy. Uklepał ziemię pomiędzy swoimi nogami, wymieszał runy w dłoniach i zamasztywym ruchem wysypał je na klepisko. Te, zamiast rozsypać się naturalnie, jak zwykłe kawałki drewna, zaczęły przesuwać się tak, jakby były namagnesowane. Wreszcie przyjęły pewien wzór, może na dziesięć sekund, a potem, i było to zupełnie niespodziewane nawet

dla Szamana, wszystkie ustawiły się na sztorc. Starzec zawsze natychmiast przekazywał zainteresowanym, co mówią. Tym razem było jednak inaczej. Siedział oniemiały wpatrując się w rozrzucone patyczki. Potem jego wzrok pomału, wraz z dymem z ogniska przesuwał się do otworu w dachu, a kiedy spojrzał na gwieździste niebo powiedział:

- Na dachu jest dziewczynka, ona przemówi.

Przez ciało dziewczynki przeszedł prąd, serce zabiło mocniej, a w żołądku poczuła silny skurcz. Ale nie to było najgorsze. Całą jej głowę wypełnił szum, który narastał z taką siłą, że wydało jej się, że za chwilę jej czaszka eksploduje. W momencie, w którym zaczął krystalizować się w kilkanaście różnych dźwięków, zmieniając się w niezliczoną ilość głosów, pomyślała, że nie znieśie tego dłużej. Wstała szybko, zaczęła nerwowo podskakiwać, trzymając się drżącymi rękami za główkę, ale głosy nie ucichły. Podskakując przemieściła się do krawędzi dachu i nagle, kiedy już miała skoczyć w ciemność, poczuła dziwne mrowienie w nogach i z przerażeniem spojrzała na swoją prawą stopę. Ta oderwała się od dachu i przesunęła w tył, następnie lewa stopa podążyła za prawą. Ciało dziewczynki, wbrew jej woli, nieuchronnie, zaczęło na powrót zbliżać się do otworu. Kiedy lewa stopa dotarła na jego skraj, prawa nie zatrzymała się, oderwała się i przesunęła do przodu znikając w dymie, ciągnąc za sobą dziewczynkę, która runęła w dół. Przerażona zamknęła szybko oczy, ale zamiast uderzyć o klepisko, jak się spodziewała, wpadła w rozłożone ramiona młodego wojownika.

Młodzieniec postawił dziewczynkę na podłodze i wrócił na swoje miejsce między innymi wojownikami. Wszystkie oczy spoglądały na małą, a ona wodziła pomału, coraz to mniej obecnym wzrokiem, kolejno po zgromadzonych. Głosy w jej głowie zaczęły się uspokajać, już nie był to zlepek rozmów i krzyków, ale pojedyncze zdania, które teraz rozumiała doskonale. Już wiedziała, że musi je powtórzyć zgromadzonym i będzie znów bezpieczna, znów stanie się tylko sobą, małą dziewczynką.

- Mówią przeze mnie duchy naszych przodków - zaczęła. - One znają przyszłość, spoglądają w nią z zamierzchłej przeszłości. Zarówno czas, jak i przestrzeń dla nich nie istnieją, a to, co powiedzą, stanie się nieuchronnie.

- Mów zatem - odezwał się Szaman.

- Jak tylko księżyc znowu będzie w nowiu, obcy przybędą na naszą górę. Obcy, na których czekamy od tysięcy lat. Obcy, których świat uratujemy przed zagładą, przed nimi samymi. Wypełni się nasze posłannictwo na ziemi, legenda stanie się faktem, a nasze dzieci będą mogły zejść z góry - oznajmiła podniosłe i upadała zemdlna na ziemię.

Patrick White siedział posepny w swoim gabinecie. Jego przyprószone siwizną włosy opadały na czoło, a zamknięte oczy sugerowały, że drzemie. Były to jednak tylko pozory, ponieważ mężczyzna usilnie nad czymś myślał. Nagle zerwał się na równe nogi, podbiegł do drzwi i otworzywszy je krzyknął:

- Nowak! - I odszukawszy podwładnego wzrokiem, dodał miłszym już tonem - Pozwól do mnie.

James Nowak pomału wstał od biurka, przy którym wraz ze swoim zespołem pracował i ruszył w stronę gabinetu szefa. Był otyłym, młodym mężczyzną i każdy krok zraszał jego czoło kropelkami potu.

- Pracujcie beze mnie - rzucił tylko niedbale na odchodnym.

Przed drzwiami wziął głęboki oddech, poprawił pasek u spodni i nacisnął klamkę.

- Siadaj, proszę - powiedział White. - Jak idzie praca nad projektem?

- Pomału, szefie, ale wszystko będzie zapięte na ostatni guzik - odparł Nowak. - Największy problem mamy z obsadą...

Nie zdążył dokończyć. White powstrzymał go gestem dłoni, wstał z fotela, spojrzął z góry na podwładnego i zaczął przemawiać głosem monotonnym, niczym nauczyciel do swojego tępego ucznia.

- Słuchaj, James, chyba nie muszę ci mówić, że jest to najważniejszy z dotychczasowych projektów, zarówno w twojej karierze, jak i w tej firmie. I od tego, jak się z niego wywiążesz, w dużej mierze, zależy twoja kariera oraz przyszłość naszej firmy, a z tego, co mówisz wnoszę, że jeszcze nie znaleźliście odpowiednich ludzi. - Zrobił krótką pauzę. - A mówiąc: odpowiednich, mam na myśli oryginalnych, wnoszących świeżość. Świeżość i oryginalność, bez nawet cienia fałszu. Ty tymczasem próbowałeś przebrać kilku Afrykańczyków, którzy od kilku pokoleń mieszkają w Stanach, za rdzennych dzikusów. Słyszałem, doszły mnie słuchy. Nie rób takiej zdziwionej miny. Firma, która zleciła nam to zadanie to potentat na światową skalę i wierz mi, oni nie zadowolą się komedią, którą chcesz im zafundować.

- Zdaję sobie z tego sprawę, tylko skąd miałem im wytrzasnąć prawdziwych dzikich? Przecież nawet w Afryce pokazówki dla turystów robią czarni, którzy przyjeżdżają wypasionymi brykami do wioski na odludziu. Bunkrują samochody, przebierają się i odstawiają szopkę, po czym odjeżdżają do swoich domów - powiedział Nowak wstając i zmieniając wygląd twarzy z zakłopotanej na triumfującą. - Ale, szefie, mam to, czego nam trzeba. Otóż niech sobie szef wyobrazi, że dosłownie godzinę temu dzwonił mój serdeczny przyjaciel z mojego rodzinnego miasteczka w Polsce, który aktualnie przebywa w Ameryce Południowej na wyprawie badawczej. Zapytał, czy nie pomógłbym im znaleźć sponsora na kontynuowanie tejże wyprawy.

- No, słucham - zainteresował się White.

- Otóż, wyprawa prowadzona przez mojego przyjaciela, w skład której wchodzi trzech Polaków i trzech Wenezuelczyków zdobyła niedostępną i niezdobytą do tej pory górę Tramen Tepui znajdującą się w lesie tropikalnym na styku Wenezueli, Gujany i Brazylii. To była

ich drugie podejście. Dwa lata temu, z uwagi na bardzo trudne warunki atmosferyczne, nie udało im się nawet podejść pod górę. No i teraz bomba, o której do tej pory wie tylko kilka osób na całym świecie. Gdy dotarli na sam szczyt, okazało się, że mieszka tam totalnie odcięte od świata zewnętrzznego plemię Indian. Oni widzieli białych po raz pierwszy w życiu. No, to chyba bardziej oryginalnych ludzi do naszego projektu nie znajdziemy?

- Tylko pytanie: czy uda nam się ich ściągnąć do Seattle?

- Myśleliśmy właśnie o tym, gdy szef mnie zawołał. Jakbyśmy sypnęli kasą na wyprawę, to załatwię pierwszeństwo do tubylców. Uczestnikom tej ekspedycji tak naprawdę chodzi głównie o zdobycie szczytu i zebranie okazów fauny i flory.

- To może być to! Widzisz? Jak chcesz, to potrafisz.

- Ja myślę, że chyba raczej mieliśmy szczęście.

- A ja myślę, że chyba najlepiej byłoby trzymać rękę na pulsie od początku do końca i nie wypuścić ptaszka z klatki, dopóki dla nas nie zaśpiewa - powiedział White spoglądając z uśmiechem na Nowaka.

Ten wyczuł, co zaraz usłyszy z zadowolonych ust szefa. Nowak może i był człowiekiem pragmatycznym, ale jakiegokolwiek spontaniczne odruchy były mu obce. Od razu pomyślał, że żadne loty na inny kontynent nie wchodzą w grę. Musiałby zaplanować to co najmniej pół roku wcześniej, przemyśleć, rozważyć wszystkie za i przeciw, załatwić kogoś do opieki nad kotem. Zbierał się, żeby przedstawić alternatywne zakończenie tej pogadanki, kiedy usłyszał:

- Wysyłam tam Ciebie z dwóch względów. Po pierwsze, bo to twój przyjaciel ich znalazł i to jest najważniejszy powód. Po drugie, do ciebie mam największe zaufanie. Ty najlepiej sprawdzisz, czy oni nadają się do naszego projektu.

Noc była chłodna, zewsząd dobiegały jej odgłosy, powietrze było przesiąknięte wilgocią na tyle, że skroplona woda padała

z okolicznych drzew na ziemię. Wszyscy obecni skupili się przy dużym ognisku strzelającym snopami iskier w rozgwieżdżone niebo. Ludzie oblegali ogień szczelnym kołem, na razie wszyscy milczący i skupieni, ale dało się wyczuć atmosferę wyczekiwania. Wszyscy mieszkańcy wioski byli obecni. Głos mieli zabrać przybyli.

Adam odszedł na stronę i odwrócony plecami do biesiady spojrzał w górę. Takiej ilości gwiazd nie widział nigdy, wszystkie były na wyciągnięcie ręki. Doznał wrażenia, że gdyby tylko wyciągnął ją wysoko, mógłby ich dotknąć. Zastanawiał się tylko, czy byłyby gorące, czy zimne jak lód. Był tutaj i to było najważniejsze. Po dwóch latach przygotowań, miesiącu spędzonym w puszczy i trzech dniach wspinaczki na pionowej ścianie. Teraz wszystko było już przeszłością, stało się nieważne, bo był tutaj. Wśród ludzi, którzy pierwszy raz widzieli białych i którzy, miał wrażenie, czekali na nich. Problem stanowiło porozumienie, bo nawet ich przewodnik nie rozumiał słowa z mowy plemienia. Jednocześnie wiedział, że jest kierownikiem wyprawy i na nim spoczywa ciężar odpowiedzialności za ekipę, a to, że tubylcy są stosunkowo przyjaźni, mogło się w każdej chwili zmienić. Nie znali przecież ich zamiarów, nie wiedzieli, po co przybyli na ich górę, pomyślał, że powinien to wyjaśnić, choćby żeby zażegnać możliwe niebezpieczeństwo.

Wrócił do wszystkich i gdy już zajął wyznaczone mu miejsce, naprzeciwko najważniejszych w wiosce, zaczął mówić:

- Witamy was i dziękujemy za przyjęcie. - Patrzył przez płomienie na skupione oblicza obecnych, wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy, a zatrzymawszy się na wodzu uklonił się dotykając serca. Może tak, pomyślał, przekaże to, co myśli. Może gestami wyrazi wszystko, co chce powiedzieć. - Nie spodziewaliśmy się zastać na waszej górze ludzi, ale zapewniam, że mamy przyjacielskie zamiary.

Wtedy Wódz plemienia spojrzał na Szamana i przymykając powieki skinął głową dając znak. Szaman wstał, wykrzyknął coś do zgromadzonych i zaczął w powolnym tańcu okręzać ognisko. Na jego słowa matki zaczęły wysyłać swoje dzieci do domów, a kiedy ostatnia

pociecha zniknęła w ciemności, wysypał zawartość woreczka do ogniska. Proszek po zetknięciu z ogniem delikatnie zasyczał uwalniając słodki dym, który rozpraszał się, wolno pełzając. Najpierw ogarnął całą ubitą ziemię, na której stali, a potem pomału podnosił się w górę, wypełniając, wydawało się, całą przestrzeń. Przybyli, szczególnie Adam i pozostałych dwóch Polaków: Krzysiek i Czarek zaczęli się niepokoić i już mieli uciec, kiedy Antonio, jeden z wenezuelskich uczestników wyprawy szepnął:

- Musimy zacząć oddychać tym dymem. No, chyba Szaman nie chce wymordować przy okazji i wszystkich swoich.

Zaczęli ostrożnie wciągać hausty przesiąkniętego dymem powietrza. Ich oczy, lekko już łzawiące, zaczęły tracić ostrość widzenia. Adam poczuł, jak serce przyspiesza, próbując wyrwać się z piersi, już miał krzyknąć, że zaraz zemdleje, kiedy wszystko wróciło do normy. No, może prawie wszystko.

Nagle zorientowali się, że wszystko jakby uległo zmianie. Wilgoć zelżała, zrobiło się cieplej. Gdzieś tam, w puszczy, u dołu góry słychać było każde zwierzę, zarówno wydawane przez nich odgłosy, jak i żerowanie w liściach. Spojrzeli w górę na niebo, o dziwo zrobili to wszyscy razem - i przybyli, i tubylcy, a ich oczom ukazały się nie statyczne gwiazdy, ale dynamiczny spektakl. Gwiazdy zostawiały ślady na niebie tworząc niezliczoną ilość wzorów, niczym stado ptaków lub ławica ryb. Wszyscy wodzili wzrokiem kręcąc głowami w tym samym kierunku.

Adam poczuł potężną więź z ludźmi stojącymi wokół ognia oraz z całą otaczającą go przyrodą. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczał, był zafascynowany, urzeczony, spokojny i poczuł jeszcze coś. Wszechświat zaczął uśmiechać się do niego i do wszystkich obecnych, a i oni, uradowani, śmiali się w wypełnioną radością materię. I nagle od całości oderwał się Wódz, tak, jakby zrywał plaster swojej osoby, okrążył ognisko i stając naprzeciw przybyłym rzekł:

- Witamy was w naszym świecie, nasze plemię oczekiwało was, Bładawców, od pokoleń. Wreszcie jesteście! - ostatni wyraz wykrzyknął, a wraz z nim krzyknęli wszyscy.

- Bładawców? - odrzekł Adam, zdziwiony nie tylko tym, że świetnie rozumie Wodza, ale także użytym przez niego słowem. - Z Lema?

- Gdziekolwiek jest Lema, witamy na naszej górze - odparł Wódz. - Jesteśmy do waszej dyspozycji, gotowi wam pomóc.

- Już nam pomogliście oferując nam gościnę, za którą serdecznie wam dziękujemy - mówiąc to podszedł do Wodza. - A i my możemy pomóc wam, niosąc ogień cywilizacji.

- Ogień płonie u nas od wieków, bez przerwy, posiadliśmy także wiedzę, jak go pozyskiwać. Tak, jak nasi przodkowie zdobyli umiejętność budowania gór, jak ta, na której jesteście, Bładawcze z Lema.

- Ta góra to raczej twór natury... - rzekł Czarek

- Natury, której trzeba było pomóc - odrzekł Szaman. - Tak, jak teraz my chcemy pomóc wam, a raczej waszej całej cywilizacji.

- Dlaczego uważacie, że naszej cywilizacji należy się pomoc?

- Tak mówią nasze legendy, tak mówią duchy przodków, tak mówią runy. - Szaman podniósł się z klęczek, wyjął z woreczka garść suchych ziół i wrzucił je w ogień, którego paleniu się towarzyszyła nienaturalna ilość dymu snująca się przy ziemi. - Wierzmy, że posłannictwo naszego plemienia na tej ziemi jest ściśle ustalone i dotyczy wybawienia waszego świata od robaka, który was gryzie. My mamy go zgładzić, wtedy będziemy mogli zejść z góry i zamieszkać między wami, a wy przestaniecie być krwiożerczymi bęcwałami.

Dym z ziół, niczym ogromny, rozwleczony po ziemi wąż, wił się między nogami gości, podnosząc się coraz to wyżej. Szaman wszedł w biały obłok w momencie, kiedy ten pochłaniał już głowy przybyłych.

- Pokażę wam historię naszego plemienia - szepnął im do uszu Szaman. - Wtedy zrozumiecie.

Uczestnicy wyprawy będący pod wpływem poprzedniego specyfiku bez oporów i strachu poddali się działaniu ziół. Wszyscy złapali się za ręce, a kiedy Szaman chwycił rękę Adama poczuli, jak odrywają się od ziemi, nie wiedząc, czy faktycznie zaczynają unosić się nad drzewami, czy tylko ich dusze, bądź jaźnie uleciały w przestworza. Dziwna to była podróż, ni to stojąc między tubylcami, ni to unosząc się nad nimi, patrzyli jakby jednymi oczyma i czuli się jedną duszą, spowici przez dym i przez niego patrzący na zmieniający się świat pod stopami.

Pierwsze, co zobaczyli, to porośniętą trawą równinę w miejscu, w którym przed chwilą była gęsta dżungla, którą przebyli. Gęste trawy przemierzali ludzie kierując się do jej centralnego punktu. Następnie ludzie ci zaczęli budować skałę, ale co było niewiarygodne, zaczęli budować ją tak, jakby stawiali zamek z piasku. W skale drążyli tunele, jaskinie, a wąskimi kanalikami zaczynała płynąć woda doprowadzona z pobliskiej rzeki do chałup i podziemnych zbiorników wodnych. Kunszt inżynieryjny budowniczych był ogromny, a usytuowanie skały względem planet i gwiazd nieprzypadkowe. Kiedy góra była skończona, cywilizacja rozkwitła, zarówno kulturalnie jak i materialnie. Zaskoczyło ich światło, które zobaczyli we wnętrzu góry, było to sztuczne światło, świecące jaśniej niż słońce na niebie. W podziemnych halach kwitły plantacje roślin uprawnych, a w jeziorach pluskały się ryby. Harmonia trwała wiele stuleci, aż zaczął się chaos, ludzie zaczęli walczyć między sobą. Nie była to jednak zwykła walka, a walka dobra ze złem, ludzi dobrych, nieskazitelnych wewnątrz, ze złymi, wyzutymi z praw etycznych i moralnych, pozbawionymi empatii, nienadającymi się do życia w harmonijnym społeczeństwie. Potem wszyscy źli, naznaczeni czarnym dymem zepsucia, widocznym nad każdym z nich, opuścili górę i podążyli wykutymi w skale korytarzami do jej podnóża, żeby rozejść się po ziemi, z której przybyli. Pozostała garstka zaczęła od nowa budować idealnie dopasowane społeczeństwo, wyzbyte zawiści i dążenia do władzy. Wydalenie nieprzystosowanych zrodziło poczucie

winy, które z kolei dało początek legendzie, że kiedyś plemię zejdzie na dół niosąc pomoc cywilizacji stworzonej przez ludzi pozbawionych empatii, niosąc oświecenie i życie w harmonii nie tylko z przyrodą, ale przede wszystkim z samymi sobą.

James Nowak wsiadał do samolotu z poczuciem przygnębienia, nie pałał zamiłowaniem do tego typu środków transportu. Nie dlatego, że przerażała go ewentualność awarii, ale swoista niemoc, brak wpływu na rozwój wypadków w czasie zagrożenia, no i brak możliwości przerwania podróży w dowolnym momencie, co możliwe było w przypadku jakiegokolwiek innego środka transportu. Denerwowało go też to, że zamiast wysłać tam któregoś ze swoich pracowników, sam musi narażać się na niewygody związane z podróżą w nieznaną. Zdawał sobie sprawę z tego, że o ile samolot do Caracas, stolicy Wenezueli, którym zaraz wzniesie się wbrew prawom fizyki w powietrze, jest w miarę bezpieczny, to podróż samolotem z Caracas do Santa Elena de Uaien może się różnie skończyć, gdyż tamtejsze linie lotnicze, o ile można je tak nazwać, dysponują maszynami, które już co najmniej dwa razy odchodziły na zasłużoną emeryturę w krajach bardziej rozwiniętych.

O dziwo cały lot, zarówno pierwszym, jak i drugim samolotem, minął mu bezpiecznie i szybko. Zanim wyruszył w podróż, wziął taką ilość środków nasennych, że po siedmiu godzinach i pokonaniu prawie siedmiu tysięcy kilometrów stewardessy miały niebywałą przeprowadkę z dobudzeniem go. W drugim samolocie natomiast wdał się w dyskusję o twórczości Marqueza z pasażerem siedzącym obok, co pozwoliło mu zapomnieć o niewygodach wspólnego lotu ze zwierzętami hodowlanymi i podejrzanymi kolesiami w ciemnych okularach.

Po wylądowaniu w Santa Elena de Uaien, małej miejscowości oddalonej od Caracas o dziewięćset kilometrów i sto od góry Tramen

Tepui, James zadzwonił na satelitarny telefon Adama i z enigmatycznej rozmowy dowiedział się, że Indianie zbudowali przez jedną noc lądowisko dla helikoptera i że wszyscy czekają na niego w gorączkowym podnieceniu. Wydało mu się to bardzo dziwne, przekonany był bowiem, że czekają go niemałe trudności związane z przeprawą przez las deszczowy. O ewentualnej wspinaczce nawet nie myślał, sądząc, że to oni zejdą do niego, po obiecaniu Indianom paciorków, bądź członkom wyprawy dodatkowych pieniędzy na jej kontynuację.

Wioska z niemałym ociąganiem budziła się do nowego dnia. Po nocnym ognisku pozostała tylko czarna plama na wydeptanej ziemi i spuchnięte powieki uczestników. Słońce przebijało się charakterystycznymi snopami światła poprzez otulone mgłą drzewa, z koron których dobiegały śpiewy ptaków. Dwa drapieżniki szybowwały wysoko na niebie odbywając pierwszy tego dnia rekonesans. Adam wstał jako pierwszy, usiadł po turecku na trawie wiążąc włosy w kucyk i zastanawiał się nad wydarzeniami ubiegłej nocy. Ich chata stała na skraju wioski, tuż nad urwiskiem skały, po której jeszcze trzy dni temu z mozołem się wspinali. Uwielbiał chwilę, kiedy wszyscy jeszcze spali, bądź już zasnęli, mógł wtedy poprzebywać sam ze sobą, nacieszyć się chwilą przy dogasającym ognisku, bądź przywitać samotnie dzień, składając swoisty hołd wstającemu słońcu. Kiedy za plecami usłyszał hałas dobiegający z chaty, szybko wstał i podszedł do samej krawędzi urwiska. Ciesząc oczy zamglonym widokiem, usłyszał głos wychodzącego z chaty Czarka:

- Wcześniejszy niż skowronek!

- Właśnie o tym pomyślałem, wiesz? - odparł. - Do pełni szczęścia brakuje mi tylko zawieszzonego w powietrzu, śpiewającego skowronka.

- Nie można mieć wszystkiego - powiedział Czarek, podchodząc do urwiska.

- Niestety, nie można. Co sądzisz o nocnym ognisku, a raczej o tym, co się wydarzyło?

- Nie wiem, co mam o tym myśleć. Pół nocy zastanawiałem się, w jakim języku my z nimi rozmawialiśmy, nie wspominając o sposobie przekazu informacji przez tego starego Szamana. My mamy ich zabrać do naszego świata? Wszystkich, całe plemię?

- Z tym akurat nie będzie problemu, mojemu kumplowi ze Stanów bardzo na tym zależy. Także korzyść będzie tutaj obopólna - powiedział Adam wracając na trawę przed chatą. - Zastanawiam się tylko, jak oni chcą uzdrowić nasze społeczeństwo. To w ogóle jest jakieś takie patetycznie niedorzeczne.

- Tak samo jak wprowadzanie chrześcijaństwa przez pierwszych misjonarzy na tych ziemiach - zaśmiał się Czarek. - I co oni proponują w zamian? Globalną wioskę?

- No przecież zawsze chciałeś żyć w komunie. - Adam odwrócił się usłyszawszy wyłaniającego się z chaty Krzyska - O, Don Cristobal! Zapraszamy na poranną dysputę.

Krzysiek przetarł zaspane jeszcze oczy, po czym ochlapał twarz wodą pobraną z czegoś, co przypominało świńskie koryto.

- Oni naprawdę wybudowali lądowisko przez jedną noc? - zapytał.

- Raczej przez to, co zostało z nocy od końca ogniska do świtu - odparł Antonio. - Spaliście już, gdy wyszedłem na nocny obchód. Ciekaw byłem, czy to, co mówi Szaman, ma jakiegokolwiek przełożenie na rzeczywistość.

- I co? - wtrącił dołączając do rozmowy Gregorio.

- I to, że na południowym skraju góry jest teraz płaskie jak stół, idealnie okrągłe lądowisko.

- Jak oni to zrobili?

- Wyglądało to tak, jakby wylewali asfalt, ale chyba najważniejszy jest efekt końcowy. - Antonio wyraźnie poruszony podszedł do urwiska. - Zastanawiałem się, jak to jest, że nasza cywilizacja poszła

tak bardzo technicznie do przodu, a tutaj nic nie zmieniło się od dawna. Dlaczego tak się dzieje, że w jednym końcu świata człowiek wymyśla maszynę parową, samolot i kinematograf, a w drugim wystarcza mu motyka i siekierka?

- Ja myślę, że chyba właśnie trafiłeś w sedno z tym efektem końcowym - stwierdził wstając znowu Adam. - Przecież tutaj ludzie żyją i jest im dobrze, a o to chyba chodzi, efektem końcowym ma być szczęście i podtrzymanie gatunku. Poza tym oni osiągnęli to samo, co my, ale inaczej. My mamy medycynę, oni Szamana z jego magią roślin i zaklęć. My mamy maszyny i komputery, oni hydrauliką, której ja nie rozumiem, dostarczają wodę na górę i lepią skały, jakby były z plasteliny. Myślę, że jeśli do szczęścia potrzebowaliby maszyn i komputerów, pewnie by je mieli.

- Wierzycie w to, że ich legenda może się sprawdzić, że mogą uzdrowić naszą cywilizację? A jeśli uzdrowić, to z czego? - powiedział Czarek. - Nie chcę uchodzić za nihilistę, ale nie chce mi się w to wierzyć.

Śmigłowiec stał już od jakiegoś czasu w umówionym miejscu, silnik był wyłączony, a pilot przechadzał się wokół niego z wyraźnym zniecierpliwieniem. Kiedy James do niego podszedł, ten odezwał się łamaną angielszczyzną:

- Jeszcze chwila, a miałem odlecieć, senior.

- Przepraszam za spóźnienie, ale zasnąłem dopiero nad ranem i jeszcze dobrze się nie obudziłem.

- Płaci mi Pan za lot, nie za czekanie, senior.

- Za ile będziemy nad Tramen Tepui? - zapytał James, rozładowując niemiłą atmosferę.

- Godzina lotu - odparł pilot gramoląc się do maszyny. - Ale co dalej? Ja tam nie wyląduję, nie ma gdzie. No chyba, że mamy sobie tylko polatać.

- Podobno na szczycie jest małe lądowisko. - James usiadł obok pilota zakładając słuchawki w momencie, w którym maszyna oderwała się od ziemi.

Lecieli już dobre pół godziny, kiedy pod nimi z zieloności lasu zaczęła wydobywać się mgła, a nad nimi gęste chmury zaczęły otulać niebo. Na pilocie jednak nie robiło to najmniejszego wrażenia. W odróżnieniu od Jamesa, który z coraz to większym zainteresowaniem rozglądał się z nadzieją za błękitnym niebem. Ale wraz ze stresem poczuł fascynację niesamowitym zjawiskiem, które narastało z minuty na minutę w miarę, jak mgła i chmury zbliżały się do siebie, zostawiając im coraz to mniej przejrzystej przestrzeni.

- Da Pan radę wylądować w tych warunkach? - zapytał zakłopotany James.

- Szczerze, to nie wyobrażam sobie wylądować tam nawet w bardzo dobrą pogodę - odparł pilot. - Nad tą górą nikt nie lata, podobno zamieszkują ją duchy, a już na pewno nie ma tam lądowiska. Ale zobaczymy, może mgła się rozwieje, zapowiadali wiatr.

Lecz to, co działo się przed szybą nie zdradzało obecności nawet najdrobniejszego podmuchu. Co prawda nad nimi kłębiły się groźnie chmury, ale wyglądało to tak, jakby jedne rodziły drugie, coraz ciemniejsze. Drzewa natomiast ginęły we mgle tak gęstej, że nawet najgłośniejszy papuzi krzyk nie byłby w stanie jej przebić. W momencie, kiedy w powstałej szczelinie między żywiołami zamajaczył na horyzoncie ciemny kształt góry, do której lecieli, te dwie ciemne masy zaczęły zespalać się w jedną.

- Nie mam dokąd uciec - powiedział tylko pilot obracając głowę, a potem dodał coś nie swoim głosem w języku, którego James nie rozumiał i który na pewno słyszał po raz pierwszy w życiu.

Zatrwożony James patrzył tylko, jak pilot z głową złożoną na barku i niewidzącymi oczami wpatruje się w zamgloną scenerię, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa. Po chwili i on także zdał się na coś, co czuł, a czego nie potrafił pojąć.

Szaman jako pierwszy usłyszał warkot dochodzący z południa. Stanął przy kamiennym lądowisku patrząc w skupieniu w kierunku, z którego dobiegał. Mieszkańcy wioski jakby w zwolnionym tempie, nie wierząc uszom, że oto legenda staje się faktem, opuszczali swoje domostwa i gromadzili się wokół Szamana.

Adam z przybyłymi usłyszeli szum już w momencie, w którym wszyscy tubylcy zgromadzili się przy lądowisku. Pobiegli szybko do nich, mgła zgęstniała na tyle, że kiedy przybyli z drugiej strony kamiennej polany przygotowanej na przyjęcie maszyny, to pomimo niewielkich jej rozmiarów, zebranych było ledwo widać. Mgła zamieniła ich ciemne sylwetki w jedną zlepioną bryłę.

- Nie będzie mógł wylądować w tej mgle! - krzyknął Antonio.

- Ogień! - Adam pobiegł przez lądowisko, a stanąwszy przed zgromadzonymi dodał, przekrzykując narastający warkot maszyny: - Musimy otoczyć lądowisko zapalonymi pochodniami!

- Wykonajcie polecenie Bładawca - powiedział Wódz po tym, jak Szaman przetłumaczył słowa Adama stojącym za jego plecami młodym mężczyznom. Ci na początku nie zareagowali, a ich głowy wciąż zwrócone były w stronę, z której dobiegał warkot. Dopiero, gdy Wódz krzyknął ponownie, ich oczy go odszukały, a uszy, zaabsorbowane nieznanym odgłosem, musiały zgadywać, nim zrozumiały sens jego słów. Młodzi w podnieceniu pobiegli między domostwa, by po chwili wrócić z płonącymi pochodniami i równie szybko, jakby od tego zależało ich dalsze życie, ustawili się dokoła kamiennej polany.

- Miejmy nadzieję, że to wystarczy - powiedział Adam do Wodza.

- Duchy sprowadzą ich bezpiecznie do nas - wtrącił się Szaman i na potwierdzenie jego słów ujrzeli przebijające się przez mgłę dwa niewyraźne jeszcze światła.

Maszyna pomału, niczym zawieszony w powietrzu koliber zbliżała się. Dopiero w momencie, kiedy widoczne jako wirujący dym śmigła

dotykały skalistych brzegów góry, podbiła lot, by potem opaść miękko niczym dziecko, spadające w matczyne, pulchne ramiona i wylądować na kamiennym placu.

Zarówno z twarzy Jamesa, jak i pilota błogi spokój czmychnął w momencie, w którym śmigłowiec zetknął się z kamieniem. Płozy przesunęły się z głośnym chrobotem, silnik umilkł, łopatki wirowały coraz wolniej. Szaman wychodząc im na spotkanie klasnął w dłonie, na co mgła skropliła się w ułamku sekundy, żeby po chwili spaść w postaci wody, otrzeźwiając z niemego zachwytu obecnych.

- Co się stało? - ocknął się pilot, kiedy James wychodził już na zewnątrz. - Jak my się tutaj znaleźliśmy?

- Nie mam pojęcia - odparł Nowak, bardziej do siebie niż do pilota siedzącego w fotelu. Zbliżył się do powitalnej delegacji: Szamana, Wodza i Adama, zastanawiającego się, po co Szaman wywołał tak gęstą mgłę? Może żeby nie przestraszyć współplemieńców latającą maszyną? James natomiast wciąż rozglądał się na boki licząc w myślach, ile paciorków i lusterek będzie musiał ofiarować tubylcom, żeby ściągnąć ich do Seattle.

- Ani jednego - powiedział uśmiechając się do Jamesa Szaman. - Wsiądziemy do latającej maszyny, helikopterem zwanej, całkowicie bezinteresownie. Mało tego, zarówno Wódz, jak i starszyzna plemienna będą Ci, Jamesie, bardzo wdzięczni za okazaną pomoc w realizacji naszego posłannictwa na tej ziemi, a niewątpliwe zasługi zarówno twoje, jak i twoich przyjaciół - wskazał tutaj na Adama i jego kompanów - zapiszą się na wieki i waszej, i w naszej historii.

Jamesa zamurowało. Stał, nie mogąc nic powiedzieć i tylko wybałuszał oczy w niedowierzaniu. Zaskoczył go nie tyle dobór używanych słów, co to, że Szaman posługiwał się czystą angielszczyzną niczym profesor wykładający literaturę na uczelni w Oxfordzie. Polacy z Kolumbijczykami wymieniali tylko

porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy Szaman na nich wskazał, każdy z nich uzmysłowił sobie, że wszystkie sensne rozmowy z nim nie do końca były marą. W jakiś tajemniczy i niezrozumiały dla nich sposób, Szaman dostawał się do ich sennych marzeń i to do wszystkich naraz, ucząc się ich języków i poznając panujące w ich krajach zwyczaje.

- W imieniu Wodza, Starszyny i wszystkich tu obecnych witamy cię, drogi przybyszu, wśród naszego plemienia. Nasza legenda, za sprawą waszą, podróżnicy, staje się faktem, a rytuał przekazywany z pokolenia na pokolenie wreszcie posłuży uratowaniu waszej, chylącej się ku upadkowi, cywilizacji. Udajcie się teraz do gościnnej chaty, wypocznijcie przed wieczorną uroczystością. W nocy, z pomocą duchów przodków, poznasz historię naszego plemienia i legendy, która żyje w nas po dzień dzisiejszy.

Wszyscy przybyli, łącznie z pilotem, który odzyskawszy pełnię sił nad swoim ciałem wygrzebał się ze śmigłowca, udali się w licznej eskorcie tubylców do przydzielonej im chaty. Dopiero teraz James mógł podziwiać zarówno wspaniałość krajobrazu, jego niezmierną zieloność, jak i wszędobyłski ptasi gwar dobiegający z otaczających górę lasów. Kiedy dotarli do chaty, na szerokim pieńku przed nią czekały na nich kolorowe owoce i gotowane, parujące, zawinięte w liście warzywa.

- O jakiej legendzie mówił Szaman? - zapytał James, oglądając owoc, widziany pierwszy raz w życiu. - I skąd zna angielski?

- Podczas ogniska, które nam szykują, sam się dowiesz - odparł Czarek. - Tak będzie chyba najlepiej, ale moim zdaniem to stek bzdur. Szlachetnych, ale bzdur.

- Bałem się, że będą problemy ze ściągnięciem ich do Stanów - powiedział James smakując z zaciekawieniem owoc. - A tymczasem sprawa rozwiązała się sama, bo z tego, co usłyszałem, to oni od dawna na to czekają.

- Do czego oni są ci potrzebni? - spytał Adam.

- Do nowego projektu. - James cmoknął z zadowoleniem i dodał po polsku - Spadłeś mi z nieba, Adaś, z tą twoją wyprawą, moja

kariera wisiała na włosku.

Miał jeszcze coś dodać, kiedy przez tłumek gapiów przepchnął się Szaman z Wodzem i po kurtuazyjnym, ponownym powitaniu powiedział, żeby wszyscy przybyli poszli za nimi, bo mają im coś do pokazania.

Szli gęsiego między chałupami, z których spoglądały na nich roześmiane, przyjazne oczy. Przewodnicy szli szybko, więc musieli porządnie przebierać nogami, żeby dotrzymać im kroku. Największe problemy miał otyły James, który co chwila podbiegał, wzbudzając tym śmiech u naśladujących go dzieci. Zatrzymali się dopiero w centralnym punkcie wioski, na okrągłym placu, pośrodku którego znajdowała się monumentalna konstrukcja. Na czterech kolumnach spoczywał cokół, na którym stał kamienny orzeł rozpościerający z dumą swoje skrzydła. Wódz zapraszającym gestem wskazał zacienione miejsce pomiędzy kolumnami, a Szaman zawołał: - Poznajcie kunszt budowlany i moc zgłębioną przez naszych przodków!

Gdy już wszyscy znaleźli się pod skrzydłami orła dodał - My nazywamy ją mocą świetlnych dusz - mówiąc to napał na przycisk z jasnego kamienia znajdujący się w jednej z kolumn.

Cała konstrukcja, łącznie z podłożem, na którym stali, ruszyła powoli w dół. Wszyscy przybyli w zdumieniu oczekiwali na dźwięki zgrzytów czy trzasków, które miałyby świadczyć o pracy ocierających się o siebie kamiennych trybów. Jednak żaden taki odgłos do nich nie dobiegał, co świadczyło zarówno o precyzji wykonanej windy, jak i podejrzenie cichym napędzie.

Kiedy zjeżdżali pod ziemię, ich podziw rósł z każdym pokonywanym piętrem. Cała konstrukcja góry widziana z ich perspektywy przypominała bowiem wielkie centrum handlowe. Jej środek stanowiła pusta przestrzeń, pośrodku której poruszała się winda. Wokół usytuowane były poszczególne kondygnacje podtrzymywane przez masywne kolumny. Do każdego z pięter prowadziły kamienne mostki zawieszane luźno w powietrzu. Całe

wnętrze oświetlone było sztucznym światłem tak jasnym, że wydawać by się mogło, że we wnętrzu góry jest bardziej widno niż na jej powierzchni.

- Zaskoczeni? - zapytał Szaman.

- Nie przypomina to wizji, którą ujrzelśmy podczas ogniska - odparł Adam rozglądając się na boki, kiedy mijali kolejne poziomy. Ich oczom ukazywały się pola kukurydzy, sady drzew owocowych. Na trzecim od góry piętrze spacerowały różnobarwne ptaki i tłuste zwierzęta przypominające świnie. Pod nimi, na samym dole, różnorodność barw odbijała się w podziemnym jeziorze, w którego krystalicznie czystej wodzie pływały różnej wielkości ryby.

- Wizja, którą wam ukazałem, była sprzed tysięcy lat - wyjaśnił Szaman. - Obecny stan podziemi to efekt pracy, jaką wykonaliśmy przez ostatnie stulecia. Rośliny i zwierzęta, które tutaj widzicie są gatunkami endemicznymi, a tutejszy klimat sprzyja zarówno roślinom, zwierzętom, jak i nam, ludziom.

- A powietrze? - zapytał James.

- System wentylacji - tłumaczył Szaman - jest tak skonstruowany, żebyśmy swoją pracą nie zakłócili panującej wewnątrz harmonii.

- Oświetlenie, wentylatory, winda, zraszacze - wtrącił się do rozmowy Antonio uśmiechając się do pracujących w zieloności upraw ludzi - czym to wszystko jest zasilane?

- Czekałem na to pytanie. - Szaman wskazał palcem na górę. - Ogólnie rzecz biorąc, energia pobierana jest z kosmosu. Orzeł i cokół nad wejściem do windy stanowią odbiornik energii kosmicznej, która jest i będzie dostępna i obecna od początku do końca świata.

- Coś jak Tesla w naszym świecie - dorzucił Gregorio. - Energia z kosmosu i jej przesył bez użycia przewodów.

- Myślisz, że to była prawda? - zapytał James.

- Jeśli to ten sam sposób co tutaj, to mamy dowód - odparł Adam, a Gregorio dodał:

- Darmowa energia, dostępna dla wszystkich. To dlatego Tesli zdemolowali kilka razy laboratorium, a potem skonfiskowali wszystkie

wyniki badań.

Kiedy winda prawie dotknęła wody, Szaman nadusił kolejny kamienny przycisk, po czym ruszyli z powrotem ku górze. Turkusowy ptaszek plusnął w taflę wody, by po chwili wyskoczyć z impetem, trzymając w długim, ostrym dziobie małą rybkę. Zaraz potem przeleciało przy nich stado żółtozielonych papug. Po lianie dotykającej wody schodził, jakby w zwolnionym tempie, kudłaty, wyglądający na spragnionego zwierz, przypominający leniwca. Mijani ludzie pozdrawiali ich i machali trzymanymi w rękach roślinami.

Wreszcie winda wyjechała na powierzchnię ukazując im czerwone oblicze zachodzącego za ciemne drzewa słońca.

- Dużo macie jeszcze takich niespodzianek? - spytał James.

Szaman przetłumaczył słowa Wodzowi, po czym obaj uśmiechnęli się porozumiewawczo.

- Najważniejsze jest nasze posłannictwo na tej ziemi - tłumaczył słowa Wodza Szaman. - Dzięki wam legenda towarzysząca naszemu plemieniu stanie się faktem, a robak gryzący waszą cywilizację zdechnie. Sprawi to rytuał powtarzany przez tysiąclecia.

- Co to za rytuał? - chciał wiedzieć James.

- Wszystkiego dowiesz się podczas nocnego ogniska, kiedy nasze umysły przenikną się, a zespolone jaźnie nasze i naszych przodków odbędą podróż z terażniejszości poprzez przeszłość do przyszłości. Wszystko, co stanie się później, będzie oczywiste i zrozumiałe zarówno dla nas, jak i dla was. - Szaman powtarzał słowa wypowiedane przez Wodza. - Rytuał wyzwoli wasz świat i da początek nowej, lepszej cywilizacji, a nasze plemię spełniając swoją powinność wreszcie zejdzie z góry.

Na lotnisku w Seattle James przedzierał się przez tłum ludzi. Torował drogę pięciu Indianom podążającym za nim gęsiego. Malowane twarze nie rozglądały się wokół, w skupieniu szli za

przewodnikiem wzbudzając zainteresowanie rozstępującego się przed nimi tłumu. Prosto z lotniska udali się do hotelu, żeby następnego dnia rano firmowa limuzyna zawiozła ich do studnia nagrań. Po całym dniu zdjęć Indianie wrócili do hotelowego pokoju i zasnęli wyczerpani, ale szczęśliwi, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Tej nocy ich dusze powędrowały do plemienia, żeby na wieki połączyć się z duszami przodków.

Po dwóch tygodniach podczas przerwy w transmisji finału Super Bowl na ekranach telewizorów w prawie każdym amerykańskim domu pojawił się po raz pierwszy krótki filmik reklamowy. Pięciu Indian rytmicznie skakało po świecącej, drewnianej podłodze wyśpiewując doniosłym, przenikliwym głosem jakąś mantrę w nikomu nieznanym języku. Miękki męski głos w tle donosił:

- Naszą podłogę testują najlepsi!

Zakończenie dla naiwnych optymistów

Elijah Moodie, stolarz z wieloletnim stażem, wygrzebał się z rozkopanej pościeli, kiedy świecące intensywnie słońce nie dało mu już dłużej spać. I choć suszyło go niemiłosiernie, a głowę rozsadzał ból, uśmiech od wczorajszego meczu nie schodził mu z twarzy. Jego drużyna po raz pierwszy w historii zdobyła tytuł mistrza, ale zmieniło się nie tylko to. Coś, czego jeszcze nie rozumiał, wisiało w powietrzu. Myślał o tym przez chwilę, kiedy zadzwonił telefon.

- Słucham - rzucił od niechcienia do słuchawki.

- Może pan już odebrać samochód, panie Moodie - usłyszał. - Wymieniliśmy olej i wszystkie filtry.

- Czy ja wam płaciłem?

- Nie - w słuchawce zaległa chwilowa cisza. - Ale nie będzie to potrzebne.

Kiedy dojechał dopiero co odebrany fordem do swojego zakładu, przed jego drzwiami czekał zniecierpliwiony klient.

- Przepraszam za spóźnienie - rzucił, wychodząc z auta.

- Mam nadzieję, że moja szafa jest już skończona - odparł mężczyzna.

- Oczywiście - rzekł Elijah otwierając drzwi warsztatu i wprowadzając klienta do środka. - To bardzo ładny i solidnie wykonany mebel, praca przy nim była prawdziwą przyjemnością.

- Ile jestem panu winien? - spytał mężczyzna, zamykając drzwi od dostawczego samochodu, w którego wnętrzu zniknęła właśnie odnowiona przez Moodiego szafa.

- Nic - odpowiedział uśmiechnięty stolarz.

AERODROMOFOBIA

Samolot pomału zbliżał się do pasa startowego. Jego pasażerowie przypięci do foteli czekali. Jedni wspominali swój ostatni start, inni trwali w pierwszym podnieceniu. Kiedy maszyna znalazła pas kompatybilny dla siebie zatrzymała się, najprawdopodobniej po to, aby pokazać moc silników tkwiących na skrzydłach. Samolot chwilę jeszcze postał, aż wreszcie z impetem ruszył. Nikt nie pozostawał obojętny, niektórzy tylko udawali, że nie robi to na nich wrażenia. Wśród tych, których nie stać było na udawanie, siedział przeżywając wszystko każdym mięśniem swojej zatroskanej twarzy młody, aczkolwiek bardzo zasadniczy i nad wiek poważny, urzędnik państwowy o imieniu Władek. Leciał samolotem po raz pierwszy w swoim trzydziestotrzyletnim życiu i w momencie, w którym samolot wzbijał się w powietrze miał pewność, że jeszcze tylko wróci samolotem, bo musi, a potem już na pewno nigdy nie wsiądzie do tej piekielnej maszyny. Strach, który go dopadł, gdy samolot wystartował, odnosił się bowiem zarówno do tego, jak i powrotnego lotu, więc uderzył ze zdwojoną siłą. W pierwszej chwili nie potrafił zdefiniować samego uczucia strachu, ale z każdą minutą coraz bardziej mógł je doprecyzować. Zadał sobie pytanie czego zaczął się bać, przecież nie samego lotu. Samolot to przecież najbezpieczniejszy środek transportu i wsiadając do niego wiedział o tym, nie odczuwając lęku. Co się więc stało, skąd ten strach? Spojrzał przez okno na oddalające się zabudowania gdzieś za Warszawą i spojrzenie to przywołało wspomnienie. Przypomnił sobie otóż, jak jako mały

chłopiec, podczas pobytu na wakacjach u dziadków utknął w okienku piwnicznym i nie mógł się z niego wydostać oraz związane z tym niemiłe uczucie dyskomfortu. Chwilę później przypomniało mu się, jak przechodził z chłopakami przez ciasną rurę, w której ledwo się mieścił. Jak skrępowane ruchy w jej środku wywołały w nim wściekłość połączoną z lękiem. Już nigdy więcej nie wszedł do miejsca, w którym brakuje przestrzeni, a i okienka piwnicznego wystrzegał się jak ognia, narażając na docinki wakacyjnych kolegów.

- Czyżbym miał klaustrofobię? - pomyślał z przestraszeniem. - Ale dlaczego nie ujawniała się przez tyle lat, przecież tamte wakacje z oknem piwnicznym, które śniło mi się wielokrotnie później, były jakieś dwadzieścia pięć lat temu? Przez te wszystkie lata jeździłem przecież samochodem, mieszkałem nawet w małej dwójce z czterema kolegami w akademiku. No tak, tylko, że zawsze mogłem wyjść. Zatrzymać samochód i z niego wysiąść w dowolnej chwili, otworzyć drzwi pokoju i wyjść na korytarz albo przed akademik, a teraz o wyjściu nie ma mowy. No przecież nie wyskoczę z lecącego samolotu.

- Przepraszam. - Wyrwano go z toku rozumowania. - Puka pan palcami w moje kolano - odezwał się człowiek siedzący obok.

- Przepraszam pana - odparł nerwowo Władek, którego niepilnowana dłoń uderzająca w podłokietnik fotela zaczęła faktycznie stukać w kolano nieznanego. Czym prędzej schował ją do kieszeni spodni.

- Czy pan się denerwuje lotem? - zapytał sąsiad, może po to, aby go uspokoić.

- A pan nie? - odparł coraz bardziej zdenerwowany Władek.

- Mnie to bardzo ekscytuje, a jednocześnie zastanawia. Jak tak duża ilość stali może latać w powietrzu? - odpowiedział mężczyzna i dodał spoglądając w oczy Władka niczym psycholog podczas rozmowy z pacjentem: - Pan też na wakacje?

- Chyba wszyscy lecimy na wakacje, to przecież lot czarterowy - zauważył niezbyt uprzejmie, ale potem pomyślał, że może faktycznie

dobrym sposobem na przeżycie będzie rozmowa.

- Tak, to prawda - zaśmiał się mężczyzna. - Zmylił mnie pana strój, jako jedyny ubrany jest pan tak sztywnie - garnitur, krawat.

- Zaraz po wylądowaniu mam wygłosić wykład na temat ewentualnej integracji Turcji z Unią Europejską, na dwudniowym sympozjum, dopiero potem zaczynam obiecany wypoczynek. Wątpliwa nagroda od firmy...

Mężczyzna nie podtrzymał wątku i Władek szukał jakiegoś punktu zaczepienia, tarł dłońmi kartki sztywnego papieru. Wyjął trzęsącą się dłoń z kieszeni wraz z kartkami, które okazały się reklamówkami linii lotniczych.

- Jeszcze tylko prawie cztery godziny lotu - powiedział patrząc na zegarek. - A w drugą stronę lot trwać będzie tylko dwie godziny. Pewnie wracać będziemy inną trasą.

- Nie, wynika to z godzinnej różnicy czasu między Polską a Turcją. Wylądujemy w Antalyi o szesnastej ich czasu, na pana zegarku będzie piętnasta, lot potrwa trzy godziny zarówno w jedną, jak i w drugą stronę.

- Jasne - odparł Władek, ale nie poczuł się przez to ani trochę lepiej. Obiecał sobie, że nie będzie patrzył przez okno, a tymczasem spojrzawszy kątem oka na białe chmury i odbijające się od skrzydła samolotu majowe słońce. Korki w uszach stawały się coraz bardziej uciążliwe. Przełknął ślinę, ale nic to nie dało. Zatkanął nos i zaczął dmuchać w zaciśnięte na nim palce, aż uszy odkorkowały się. Usłyszał wtedy pytanie sąsiada:

- W jakiej miejscowości wakacje?

- W Karaburum. To jakieś czterdzieści kilometrów od Alanii - odparł pośpiesznie i zobaczywszy, że mężczyzna trzyma w dłoni kobiecą dłoń dodał: - A Państwo?

- A my w samej Alanii...

Mężczyzna mówił coś jeszcze, ale Władek nie słyszał go, korki w uszach wróciły ze zdwojoną siłą, a do tego doszedł narastający huk w głowie połączony z panicznym strachem, z którym niestety

przestawał sobie radzić. Rozmowa, która miała pomóc, zawiesiła się gdzieś między siedzeniami i został sam na sam ze swoją na nowo odkrytą fobią.

- Muszę wysiąść - pomyślał. - Muszę, kurwa wysiąść.

Ale zamiast tego wstał energicznie i objął się o kolana sąsiada i jego żony szybko udał się do toalety. Po drodze minął stewardesę, którą lekko przesunął na bok. Zdziwiona patrzyła, jak znika za małymi drzwiczkami toalety. Przekręcił zamek drzwi i usiadł na zamkniętym sedesie. Schował głowę w dłoniach i kiwał się raz w przód, raz w tył przestępując z palców na pięty. W uszach huczało mu coraz bardziej. Wyprostował się nagle czując, jak z sekundy na sekundę zaczyna brakować mu powietrza.

- Już po mnie - powiedział na głos nie dając sobie rady z samym sobą. Zaistniały paroksyzm parł go nieprzerwanie w nieuniknione już teraz szaleństwo. Wstał, po czym wskoczył na sedes, dusząc się nie na żarty, miotając się kręcąc głową na boki i wtedy dostrzegł tuż za sobą, na wysokości klatki piersiowej, okienko. To było jak wybawienie. Przemknęło mu przez myśl, że może wysiąść z przeklętego samolotu właśnie tym oknem. Przekręcił się i ukląkszy przed nim wciągnął wreszcie w płuca powietrze, histerycznie szukając czegoś, czym mógłby otworzyć okno. Wstał z klęczek i waląc w akcie desperacji dłońmi o ścianę wetknął głowę w okrągłą wnękę. Spojrzał przez szybę w dół i nagle ni stąd, ni zowąd zobaczył samolot - ten, którym właśnie leciał, jak sunie prosto w dół. Samolot oddalał się od niego coraz to szybciej, aż wreszcie trzasnął o ziemię stając w płomieniach, a chwilę potem płomienie te z kłębamii gęstego, gorącego dymu zaczęły wznosić się w górę, aż uderzyły w niego falą gorąca rozpalając twarz i odrzucając głowę w tył. Złapał oddech, gorące powietrze paliło go w płucach. Ponownie spojrział przez szybę okna chcąc upewnić się, że nie było to przywidzenie, ale tym razem zobaczył widok z drugiej strony, jakby stał na ziemi. Była to jego własna, spanikowana twarz wciśnięta w szybę okienka w lecącym samolocie. Poczował wiatr rozwiewający włosy, zaczynał już miarowo oddychać, serce uspokajało

się. Huk powstały na skutek silnego stresu w głowie zmienił się w przyjemny odgłos wiejącego wiatru. Chcąc zatrzymać towarzyszące widokowi uczucie zamknął szybko oczy i zaczął wyobrażać sobie, że siedzi nie w łazience samolotu, a w łazience autokaru, z którego w każdej chwili może wysiąść. Z zamkniętymi oczyma zszedł z sedesu, namacał klamkę, otworzył drzwi i pomału wyszedł na zewnątrz, gdzie czekała na niego zaniepokojona stewardesa.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała z troską w głosie.

- Napakowałem sobie mydła do oczu - skłamał uspokojony. - Czy mogłaby mnie pani zaprowadzić na moje miejsce? Nie mogę ich otworzyć.

- Może wrócimy do łazienki i przemyję panu oczy? - zaproponowała.

- Zaraz przejdzie - odparł pośpiesznie. - Tylko muszę usiąść.

Stewardesa zaprowadziła go na miejsce. Ściskając mocno powieki prześlizgnął się między nogami sąsiadów a tyłem foteli, po czym usiadł pomału na swoim miejscu. Myślami cały czas był w autokarze, czuł nawet nierówności drogi, ale gdzieś tam, w podświadomości pomyślał, że jeśli mężczyzna siedzący obok odezwie się do niego, to momentalnie wróci do samolotu i znowu będzie cierpieł na swoją fobię. Założył więc rękę na rękę, zwiesił głowę i udał, że zasypia. Jechał w ten sposób autokarem wyobrażając sobie mijane po drodze krajobrazy.

Minęła godzina lotu, kiedy zabrzmiał mu w uszach głos pilota informujący pasażerów o zbliżających się turbulencjach. Czym prędzej zapiął pasy wyobrażając sobie, że autokar wjechał gdzieś w górską boczną drogę. Ale kiedy zaczęło nim rzucać raz w górę, raz w dół, świadomość z autokaru zaczęła przenosić się nieugięcie do samolotu. Otwierając oczy zdążył jeszcze pomyśleć, że musi czym prędzej wysiąść i stanąć na ziemi, poczuć nad sobą niczym nieograniczoną przestrzeń. Huk w głowie wrócił, paniczny strach wypełnił całe jego ciało. Samolotem zaczęło bujać coraz bardziej.

I kiedy znowu zaczęło brakować mu powietrza, usłyszał za plecami płacz dziecka.

- *A więc jest ktoś, kto boi się tak samo jak ja, a może nawet jeszcze bardziej* - pomyślał z nieukrywanym zadowoleniem, które pomogło mu przeżyć kolejne chwile i pośpiesznie złapać kilka haustów powietrza.

Niestety dla niego, matka zaczęła uspokajać dziecko, które po chwili przestało płakać. Wraz z dzieckiem uspokoił się i samolot opuszczając strefę nieprzyjemnych turbulencji. Jego strach nie minął jednak, wręcz przeciwnie, z każdą kolejną minutą narastał, zaciskając mu gardło i popychając trzęsącego się Władka w lepkie macki obłędu. Tracąc świadomość usłyszał głos pilota i chociaż biegle władał angielskim, nic nie mógł zrozumieć. Słowa zlewały się, tworząc niezrozumiałą gmatwaninę.

- Co... co on mówił? - wybąkał z trudem odwracając głowę w stronę sąsiada.

- Będziemy lądować - usłyszał, jakby dźwięk dochodził zza okna. - Gdzieś w Rumunii.

- Na pewno?

- Tak - przytaknął mężczyzna i dodał jakby zmienionym, nieswoim głosem: - To normalna procedura. Tak jest zawsze na tej trasie.

Samolot gwałtownie obniżył lot, co Władek dokładnie poczuł w żołądku. Uczucie to w ostatniej chwili wyrwało go z obłędu zawieszając gdzieś w połowie drogi. Przelecieli przez chmury, nad którymi unosili się wcześniej. Świadomość pomału wracała, co dało mu odwagę, by spojrzeć przez okno. Lecieli nad górami cały czas tracąc wysokość. Widziany z góry, coraz to bliższy łańcuch górski ustępował pomału miejsca zieloności zalesionych pagórków z wysokimi, nagimi skałami, poprzecinanych błękitem wąskich jeszcze rzek.

- Może uda nam się kupić butelkę kwasu chlebowego. Co, kochanie? - usłyszał dochodzący już teraz bardzo wyraźnie do jego uszu głos żony sąsiada.

Słowa te natchnęły go nadzieją, że może uda mu się wysiąść wcześniej, a jego męki nie potrważą już zbyt długo. Jego wzrok przyciągnął widok zbliżającego się lasu, nad którym lecieli teraz tak nisko, że Władek mógłby przysiąc, że widział rudą wiewiórkę, zrywającą szyszkę z czubka wielkiego świerku. Pagórki kończyły się, ustępując miejsca samotnym skałom wystającym z zieloności lasu, kiedy samolot znalazł się nagle pomiędzy wysokimi blokami skalnymi lecąc nienaturalnie wolno. W normalnych warunkach Władek pewnie zdziwiłby się mając do czynienia z tak niecodzienną sytuacją, ale teraz tylko jedna myśl zaprzętała jego umysł – jak najszybciej wysiąść z samolotu. Oczom jego ukazywały się coraz to niższe partie mijanych kolejno skał, gdzieniegdzie porośniętych małymi sosenkami. Władek spojrział na sąsiada, ale nie dostrzegając w jego oczach żadnego zdumienia, odwrócił się w stronę okna w momencie, kiedy mijali spływający z urwiska strumyk, tworzący urokliwy wodospad. Wreszcie maszyna miękko usiadła na niewielkim pasie startowym i ujechawszy może sto metrów zatrzymała się gwałtownie.

Drzwi otworzyły się z lekkim sykiem i nadmiar emocji, a wraz z nim strach Władka, uleciały z samolotu wprost w niepowtarzalną przyrodę gór Rumunii. Ludzie pomału gotowali się do wyjścia. Władek nachylił się jeszcze zerkając przez okienko, kiedy sąsiad klepnął go w plecy:

- Wysiadka, panie kolego! - Ton wypowiedzi nie pasował do jego poważnego wyglądu.

- Gdzie dokładnie jesteście? - spytał.

- W jakimś folkowym skansenie w Valahii - odparł pośpiesznie mężczyzna, po czym odwrócił się i czule gładząc żonę po wydatnych tylnych krągłościach ruszył do wyjścia. Władek stał opierając się łokciami o siedzenia i czekał, aż stłoczeni ludzie przemaszerują środkiem samolotu. Idąc jako ostatni zastanawiał się, czy dobrze usłyszał nazwę krainy, bo Valahia kojarzyła mu się bardziej ze Skandynawią niż z Rumunią. Wreszcie stanąwszy zadowolony w drzwiach samolotu odetchnął z ulgą. Powietrze było rześkie, niebo

czyste, bezchmurne. Na wprost, między pojedynczymi skałami rysowały się szczyty gór, patrząc na lewo widział solidny mur, uzbrojony w cytadele i wieżyczki. Władek wpatrzony w jedną z nich dał krok do przodu i od razu poczuł pod nogami niepewny grunt. Okazało się, że stoi na drewnianych, chybotliwych schodach. Zszedł uważnie, nie ufając spróchniałej na pierwszy rzut oka poręczy. Czuł, jak cała konstrukcja trzeszczy ze starości. Uśmiechał się jednak w duchu pamiętając lęk, jaki zostawił na fotelu. Kiedy tylko jego nogi dotknęły stałego lądu, obiecał sobie, że choćby miał dostać się do Warszawy na pieszo, nie zbrata się ponownie z klaustrofobicznym strachem panującym wewnątrz piekielnej maszyny.

Na chodniku tuż przed nim znajdowała się prowizoryczna odprawa paszportowa składająca się ze szlabanu, pośrodku którego widniało godło Valahii – złoty smok na czarnym tle. Obok stała mała drewniana budka, z której uśmiechał się gruby celnik.

- Następny! - krzyknął celnik, a zobaczywszy ubranego w garnitur człowieka dodał nieco zmieszany: - Proszę do mnie.

Podszedł jako ostatni. Jedni turyści siedzieli już na drewnianych ławach wystawiając twarze wprost w stronę słonecznych promieni, inni przechadzali się wzdłuż murów robiąc zdjęcia.

- Witamy w Tirgoviste, pradaawnej stolicy Transylwanii - powiedział miłym głosem celnik.

- Transylwanii? - zapytał szeptem. A na głos dodał: - Długo potrwa to międzylądowanie?

- Jakąś godzinkę - odrzekł pytany. - Poproszę o paszport.

- Proszę - odparł Władek i wyjął z czarnej skórzanej aktówki paszport. Podał go celnikowi, a ten zobaczywszy okładkę rzekł wielce zdumiony:

- Jak to możliwe? Jest pan Polakiem i mówi tak dobrze w pradaawnym języku rumuńskim. Tylko mieszkańcy Tirgoviste jeszcze go znają. - Otworzył pulchnymi palcami na stronie z danymi personalnymi i zaczął czytać:

- Wład... Tepes... - Ręce zatrzęsły mu się, paszport wyleciał na ziemię.

- Władysław Tepesz - poprawił go Władek. Usłyszał nie Władysław, a Vlad i nie Tepes, a Palownik. Zastanowiło go to. Czyżby zaczął rzeczywiście mówić po rumuńsku?

Celnik tymczasem na czworakach, mocno sapiąc, szukał zguby, wyraźnie zdenerwowany. Paszport wpadł w jedną ze szpar między starymi deskami i zsunął się tuż pod nogi Włodka, który go podniósł.

- Tego pan szuka? - powiedział pukając paszportem w szybkę okienka. Znowu usłyszał i dokładnie zrozumiał rumuńskie słowa wypowiedane przez siebie. Teraz nie miał już wątpliwości - mówił płynnie po rumuńsku. Co więcej, myślał także w tym języku. Tymczasem grubas z wybałuszonymi oczyma wpatrzonymi w niego oddalał się od okienka idąc ostrożnie tyłem.

- Gospodar wrócił! - wołał celnik wybiegając z budki i udając się w stronę murów starego miasta.

Do Włodka podszedł jeden z pasażerów i zaczął o coś go pytać po polsku, ale ku zdziwieniu obojga, Władek nic nie rozumiał. Próbował wytłumaczyć się, ale bezskutecznie, mówił przecież po rumuńsku, a nikt z pasażerów nie mówił w tym języku. Usiadł skołowany na ławce, wszyscy patrzyli na niego podejrzliwie. Co dziwne, dookoła nie było ani jednego z tubylców, którzy to wcześniej przechadzali się tuż obok samolotu. Czyżby przestraszyli się czegoś? I właściwie dlaczego ten celnik nazwał go gospodarzem? A co miał na myśli mówiąc, że wrócił? Przecież on był tu pierwszy raz. Widocznie wzięli go za kogoś innego - myślał rozglądając się dookoła.

Za jego plecami stały posępne skały, które zdawały przyglądać się mu badawczo. Zielone lasy, obrastające niższe partie ośnieżonych na wierzchołkach szczytów, kontrastowały ze stojącymi obok ławek latarniami w sposób zgoła naturalny. Z punktu widzenia siedzącego na ławce, krajobraz bez latarni byłby niekompletny. Tuż za najbliższymi skałami słychać było płynącą rzekę, wycinającą we wzniesieniach dolinę o stromych zboczach. Na najwyższym ze

wzniesień, zakończonym pionową skałą, stało stare zamczysko, spoglądając z góry na obwarowane miasteczko. Pionowe wzniesienie od strony rzeki wraz ze stojącymi skałą i ścianą zamku tworzyły jedną linię dochodzącą aż do powierzchni rwącej niespokojnie w tym miejscu rzeki. Od strony miasteczka wiła się stromo w górę jasna, wybrukowana idealnie gładkimi kamieniami droga, łącząca zamek z bramą starego miasta. W miejscu, w którym droga wchodziła do lasu, stała duża tablica informacyjna.

W momencie, w którym odbijający się od tablicy promień słońca trafił wprost w oczy Władka, stewardesa stojąca w otwartych drzwiach samolotu zaczęła zapraszać z powrotem na pokład. Ludzie ustawili się w kolejce i pomału znikali we wnętrzu czekającej na nich maszyny. Władek siedział jednak niewzruszony odprowadzając wzrokiem ostatnich pasażerów. Stewardesa krzyknęła coś do niego, ale on wstał i odwróciwszy się do niej tyłem, ruszył po brukowanej drodze w stronę tablicy informacyjnej. Szedł stukając miarowo lakierkami o kamienie, słyszał jak drzwi samolotu zamykają się, a silniki zaczynają coraz głośniej pracować. Samolot ruszył z miejsca, obrócił się niczym traktor, w stronę, z której przyleciał i ruszył. Władek zatrzymał się na chwilę, odwrócił i spojrzał na samolot, zobaczył jeszcze zdziwione twarze spoglądających na niego pasażerów, gdy maszyna oderwała się od ziemi. Samolot zatoczył koło i kiedy znalazł się nad nim, Władek wyobraził sobie, a może naprawdę zobaczył siebie w małym okienku, spoglądającego przestraszonymi oczami w stronę ziemi.

Zadowolony, oddychający pełną piersią, popatrzył na znikający, błyszczący punkt na niebie, po czym ruszył do tablicy z nadzieją, że dowie się czegoś konkretnego o miejscu, w którym niespodzianie się znalazł.

Na drewnianej, pomalowanej na biało tablicy widniał wypisany czarnymi, gotyckimi literami napis: „Zamek Poienari nad rzeką Arges – siedziba Włada III Tepesa z zakonu Dracul – hospodara wołoskiego, prawowitego władcy Valahii”. Czytając odpowiednio słowa: Tepes –

słyszał Palownik, Dracul – smok, a Valahia – Transylwania. Wszystko stało się jasne. Wysoko nad nim stał zamek sławnego na cały świat wampira Drakuli, za którego niewątpliwie wziął go celnik, czytając z paszportu zamiast właściwego Władysław Tepesz – Wład Tepes. Pomimo tego, że w jego myślach przebiegały obrazy zapamiętane z filmów o Drakuli, śmiał się głośno, pamiętając trzęsący się gruby tyłek uciekającego przed nim celnika. Postanowił iść do miasteczka, wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie i postarać się o jakiś transport do Polski.

Idąc pomału z powrotem starał się przemyśleć jednak zaistniałą sytuację. Stosunek do niej zmieniał się na ambiwalentny. Zadowolenie z tego, że nie musi już siedzieć w samolocie gryzło się z obawą o los w tym tajemniczym miejscu, a nagła znajomość rumuńskiego wytrącała go z równowagi. Przez chwilę nawet podejrzewał się o eskapizm. Podejrzenie to szybko jednak oddalił z obawy przed myślą, że może popadł w obłęd na skutek doznanych w samolocie przeżyć. Zamyślony podszedł pod bramę starego miasta zapominając o pozostawionej na ławce aktówce. Przypomniawszy sobie o niej stanął w bramie i odwrócił się, ale teczki już nie było. Ktoś niezauważenie musiał ją zabrać, kiedy Władek szedł w stronę zamku.

Pomyślał, że może warto wykorzystać sytuację i poudawać trochę Drakulę, pozwoliłoby mu to szybciej wrócić do kraju, jakimś naziemnym transportem, rzecz jasna. Z tym przekonaniem przekroczył granice miasta. Szedł brukowaną uliczką między starymi kamienicami w stronę centrum, nigdzie nie spotykając żywej duszy. Zarówno wszystkie drzwi, jak i okiennice były zaryglowane, gdzieś w oddali słychać było szczekanie psa, a chwilę potem żalosne skomlenie, pewnie tego samego zwierzęcia. Słońce chowało się pomału za szczyty kamienic malując niebo czerwonym odcieniem zachodu. Od momentu przekroczenia solidnego muru czuł się tak, jak gdyby przeniósł się w czasie o jakieś czterysta lat wstecz. Nigdzie nie było widać śladów współczesności. Żadnych pojazdów mechanicznych, rowerów czy anten wystających z dachów. W jednej

z mijanych przecznic stała bryczka, od której ktoś naprędce odczepił konie, zostawiając wiszące lejce i pusty dyszel. Wszystkie domy były odrestaurowane, wąskie chodniki były wyłożone kamieniem innego koloru niż ulice, nigdzie żadnych śmieci, słowem – mieszkańcy dbali o wygląd swojego miasta z prawdziwym pedantyzmem, czego dowodem mogły być chociażby rzeźbione wykończenia budynków, jak również malowidła na ścianach. Władek szedł rozglądając się uważnie na boki, z nadzieją, że może wreszcie zobaczy jakiegoś tubylca i tak doszedł do centralnego punktu miasta. Był to duży, okrągły rynek, do którego dobiegały cztery drogi, idealnie pasujące. Między nimi stały cztery budynki tworzące swoiste ściany rynku, jednym był ratusz ze strzelistą wieżą, na której okrągły zegar o złotych wskazówkach odmierzał czas. Naprzeciw niego dumnie wznosił się kościół z dzwonnica, na czubku tkwił żelazny krzyż, najwyższy w całym miasteczku. Na wprost siebie stały dwa bliźniacze, niskie budynki, z sukiennicami, które były wykończone łukami, a w nich najprawdopodobniej tutejsi kupcy mieli swoje kramy. Niewątpliwego splendoru dodawało osiem niezwykle kunsztownie wykonanych latarni stojących na rogach ulic. W centralnym punkcie rynku stała metrowej wysokości kolumna, na której tkwił sobie samotnie złoty kielich. Ale nie on przykuł wzrok zauroczonego wyglądem rynku Władka, a czarny przedmiot leżący obok – była to jego skórzana aktówka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że musiała mu się zawieruszyć i cały czas był bez niej. Podeszedł czym prędzej i podniósł z ziemi swoją własność. Wydała mu się znacznie cięższa niż ją zapamiętał. Otworzył ją i ku swojemu zdziwieniu wyjął z niej złoty, gruby łańcuch wraz z krzyżem, w którego ramionach widniała smocza głowa.

Obrócił kilka razy krzyż w dłoniach, po czym nie wiedzieć czemu, zawiesił łańcuch na szyi i w momencie, kiedy krzyż z głową smoka uderzył o jego pierś, otworzyły się wszystkie drzwi i okiennice w miasteczku, a zewsząd zaczęli schodzić się jego mieszkańcy. Szli pomału, z niedowierzaniem patrząc na stojącą przy kolumnie postać.

Jedyną myślą, jaka towarzyszyła całej zbliżającej się masie, było to, czy rzeczywiście i jak to możliwe, aby stojący mężczyzna był ich hospodarem, prawowitym ich władcą, panem ich życia i śmierci, księciem panującym tutaj pięć wieków temu, Vladem III Tepesem, zwanym Drakulą. Nigdy przecież w monasterze Snagov, na wyspie jeziora o tej samej nazwie, gdzie został pochowany, nie znaleziono trumny z jego ciałem. Fakt ten nie dawał spać nie tylko im, mieszkańcom Tirgoviste, ale mieszkańcom całej Transylwanii, a krążące po świecie legendy napawały ich zarówno strachem, jak i dumą. Szli pomału, najpierw mężczyźni, potem kobiety i uczipione do ich spódnic, szlochające dzieci. Nikt nie wiedział, czego można spodziewać się ze strony słynnego władcy, który teraz stał i wpatrywał się w nich z nieukrywaniem zainteresowaniem, sam nie wiedząc jak się zachować, udając Włada Palownika.

Stłoczona ciżba stała zwartym pierścieniem na około Władka i stać tak mogłaby pewnie jeszcze długo, nie wiedząc co robić, kiedy nagle ogólną konsternację przerwał donośnym krzykiem zgarbiony starzec, przedzierający się gdzieś z tyłu:

- Twoi wierni poddani padają na kolana przed twoim majestatem, o panie! - I wszyscy, jak na komendę, zwalili się na kolana zwieszając uniżenie głowy, a starzec powtarzał szeptem: - Factum est, factum est...

- Powstańcie wszyscy! - krzyknął Władek na tyle głośno, aby być słyszalnym przez stłoczonych poza rynkiem ludzi. - Chcę rozmawiać z kimś z władz miasta.

Wszyscy wstali z kolan i patrząc jeden na drugiego nie wiedzieli, co odpowiedzieć, aż wreszcie jeden z mieszkańców nieśmiało wystąpił przed szereg. Był to człowiek słusznej budowy, o niezwykle przyjaznej twarzy, z blond lokami na okrągłej głowie, ubrany w biały fartuch opasający ogromny brzuch.

- W naszym mieście od dawna nie ma władzy.
- Żadnej? - zapytał z niedowierzaniem.
- Żadnej - odparł niewinnie grubas.

- Tam macie ratusz? - pokazał palcem Władek i wszyscy naraz odwrócili się we wskazanym kierunku w sposób tak zsynchronizowany, jak robi to ławica ryb.

- Tak - odparł gruby. - Tam organizujemy sobie biesiady, gdy na dworze jest za zimno.

- Wybierzcie trzech spośród was. Ja udam się do ratusza i tam na nich poczekam - powiedział władczy tonem, oswajając się ze swoją rolą i ruszył w stronę dużych, mosiężnych, wykwintnie zdobionych drzwi ratusza. Ludzie rozpierzchli się na boki tworząc korytarz usługnie pochylonych głów.

Ratusz w środku okazał się wielką salą taneczną, wysoką na około dziesięć metrów. Z sufitu podtrzymywanego masywnymi kolumnami zwisały złożone żyrandole, w dwóch z nich tliły się dogasające świece, których blask w połączeniu z promieniami zachodzącego słońca dawał wystarczającą ilość światła na odbycie rozmowy. Dookoła stały rzędy dębowych stołów, w jednym z rogów znajdował się podest, zapewne dla muzykantów. Władek podszedł do niego i odłożywszy teczkę, wyciągnął jedno z drewnianych krzeseł spod stołu. Wskoczył z nim na podest i postawił krzesło. Pomyślał, że siedząc wyżej będzie budził większy respekt. Poczucie władzy, którego doznawał, uszczęśliwiało go, a sytuacja, w której się znalazł, była dla niego wyborna. Wyścig szczurów, w którym uczestniczył w Polsce, tutaj przestawał się liczyć. Bez brudnej polityki, bez kopania dołków pod kolegami, stał się w jednej chwili władcą, prezydentem, premierem, królem i wszystkim, do czego zawsze dążył. Miał władzę, a przynajmniej mógł ją mieć do czasu, w którym opuści to miejsce lub ktoś podważy jego autentyczność. Na razie jednak miał wielką ochotę pobawić się we władcę, załatwiając sobie w ten sposób szybki transport do Polski.

Do sali niepewnie weszło trzech mężczyzn. Jako pierwszy szedł stary człowiek o lasce, ten sam, który zadeklarował uległość mieszkańców, za nim grubas przepasany fartuchem, a na końcu szczupły, ubrany w nienagannie skrojony garnitur mężczyzna

w średnim wieku o twarzy pociągłej, z przyprószonymi siwizną włosami. Starzec przystanął na chwilę, wyteżył wzrok i zobaczywszy Władka siedzącego w rogu sali udał się w jego stronę, a za nim podążała pozostała dwójka.

- Śmiało, podejdźcie proszę - zakomenderował, a kiedy podeszli pod podest dodał: - Przedstawcie się na początek.

- Mircea Eliade - rzekł starzec podtrzymując się na lasce. - Uczę w tutejszej szkole filozofii i historii.

- Valeriu Butulescu - powiedział grubas. - Miejscowy piekarz i cukiernik.

- Miron Costin, poeta i kronikarz - odezwał się człowiek w garniturze.

- W jaki sposób można dostać się stąd do Warszawy, stolicy Polski? - zapytał Władek.

- A więc nie zostajesz, panie, z nami? - odpowiedział pytaniem starzec. - Czekaliśmy na ciebie od dawna z nadzieją, że przybędziesz.

- Do chwili wyjazdu będę sprawował rządy w Tirgoviste, lecz ważne sprawy zmuszają mnie do wyjazdu - odparł, a po chwili milczenia dodał, uśmiechając się nieznacznie: - Ale może kiedyś wrócę na stałe do mojej pradawnej ojczyzny. To kiedy i jak można...

Nie dokończył jednak, bo Miron Costin przyglądając się badawczo Władkowi, powiedział:

- Za dwa tygodnie będzie lądował samolot, którym zechciałeś, panie, do nas przybyć. Kolej tutaj nie dochodzi, a jedyna brukowana droga, która prowadzi do nas, została dawno temu zniszczona przez wezbrane wody Argedu.

- Jak daleko jest do najbliższej drogi bądź kolei?

- Około pięciu dni drogi, ale ze względu na watahy wilków i strome urwiska, trasa ta jest bardzo niebezpieczna. Nikt z nas nigdy nie został poza murami miasta po zmroku - odpowiedział Butulescu przestępując z nogi na nogę i wpatrując się w swoje białe trepy. Zasepiony Władek zaczął nerwowo stukać palcami w kolano, zastanawiając się, czy lepiej zaryzykować podróż przez góry, czy

wsiąć znowu do samolotu i przeżyć gehennę lotu, kiedy przez uchylone drzwi dobiegł ich gdzieś z daleka przeciągły wilczy skowyt, a w tle czyjś przeraźliwy krzyk. Żywo zainteresowany Władek popatrzył na delegatów pytająco.

- To Titu Maiorescu - odpowiedział stary Mircea Eliade. - Wczoraj, za dopuszczenie się krzywoprzysięstwa, starym zwyczajem został nabity na pal między ruinami zamku Poienari. Teraz zapewne wilki próbują się do niego dobrać. Władek usłyszawszy wydobywające się z pomarszczonych ust starca słowa poczuł naraz, jak zimny pot występuje mu na karku. - *Czyżbym trafił z deszczu pod rynnę?* - pomyślał i nie dając poznać po sobie strachu, który mógłby go zdradzić i wydać niechybnie na - *o zgrozo!* - nabicie na pal, powiedział:

- Tak, to jedyna słuszna kara, jaką można było wymierzyć za taką zbrodnię. - A w myślach dodał: - *Teraz to ja jestem przecież Palownik, ale mam nadzieję, że...*

Nie dokończył jednak, ponieważ Eliade powiedział:

- Jutro w południe zaplanowane są dwie kolejne egzekucje, niech to będzie uroczystość na przywitanie naszego gospodarza - mówiąc to skłonił się na tyle, na ile pozwalał mu jego zaawansowany już wiek.

- Wybornie - rzekł gospodarz próbując nie wypaść z roli. Myślał jednak już tylko o odpoczynku, który miałby uchronić go od obłędu, o ile jeszcze w niego nie wpadł. Dodał więc: - Ale teraz chciałbym udać się na spoczynek, lot niezmiernie mnie wykończył.

- Zamku niestety nie udało nam się jeszcze odbudować - rzekł Eliade i wskazując na drewniane schody prowadzące na górę dorzucił: - Lecz twoje dawne komnaty zostały w nienaruszonym stanie.

- Świetnie, a więc teraz pójdę odpocząć, a jutro z rana obejdę włości szykując się do uroczystej egzekucji. - Tu zwrócił się do piekarza i rzekł: - Zadbaj proszę o strawę dla mnie, wygłodniałem po podróży.

- Daj nam panie godzinę, a wszystko będzie gotowe - odrzekł starzec i cała trójka kłaniając się zaczęła oddalać się w stronę wyjścia.

Nim minęła godzina, przepełniona coraz głośniejszym wyciem wilków i krzaniem śpieszących się mieszkańców, zarówno sypialnia, jak i jadalnia z suto zastawionym stołem były przygotowane. Wnętrza rozświetlone palącymi się na ścianach pochodniami były imponujące. Władek czując się jak na planie filmowym obrazu o Drakuli, usiadł za mahoniowym stołem i rzekł surowym głosem do zebranych kilku osób czekających na dalsze rozkazy:

- Możecie odejść.

Wsluchiwał się, jak schodzą po schodach, przemierzają salę biesiadną i zamykają za sobą potężne drzwi. Rozejrzał się wokół. Na przeciwległej ścianie, tuż nad ziejącym czarną dziurą kominkiem, wisiał obraz, a z niego patrzył wprost w jego oczy złowrogi mężczyzna o kruczoczarnych, długich włosach i grubych wąsach. Na bordowej szacie ze złotymi wykończeniami lśnił łańcuch. Ten sam, który teraz wisiał na jego szyi. W jednej chwili ogarnął go paraliżujący strach, trzęsącymi się rękoma zdjął ciężący nagle łańcuch i odłożył na stół.

- *O kurwa!!!- zakrzyknął w duchu z paniką. - W co ja się wpakowałem!*

Strach, który go ogarnął, był jednak inny, niż ten z samolotu. Wydawał się być bardziej namacalny i cały skierowany na postać spoglądającą z obrazu. Ale był to strach, z którym, przynajmniej tak mu się wydawało, potrafił sobie poradzić. Nigdy nie przeraził go żaden horror oglądany samotnie w pustym domu tuż przed spaniem, jednak tutaj film, który przeżywał na jawie był jak najbardziej realny i budzący grozę. Obraz, przyciągając jego wzrok, pociągnął za sobą paroksyzmy strachu.

- To tylko malunek - powtarzał na głos, dodając sobie animuszu i podnosząc się na duchu. - To tylko malunek, nic więcej.

Zastanawiał się, na ile wystarczy mu ta pociecha, kiedy zza okna dobiegło pojedyncze wilcze wycie, a w chwilę za nim - urwany

gwałtownie krzyk.

Czyżby człowiek nabity na pal dokonał żywota? – pomyślał. – Wilki będą dziś ucztować nad ludzkim truchłem.

Wilki zaczęły wyc donośniej, a jemu zdało się, że to wycie jest jemu przeznaczone, że to tęskne wycie psa za swoim od dawna wyczekiwany panem. Otworzył okno, nocne powietrze wtargnęło łąpczywie do środka owiewając rozgrzaną twarz i niosąc odgłosy nocy. Do samotnego wilka dołączyły inne z watahy otaczającej skazańca, a w parę chwil, z każdej już strony dobiegały pojedyncze wycia niczym wilcze echa. Z domów poniżej słychać było odgłos zamykanych okiennic. Wilczy nastrój potęgował wyłaniający się zza chmur łyśy księżyc.

- Spokój! - wrzasnął w rozwytą przestrzeń, sam dziwiąc się swojej stanowczości i nagle wszystko ucichło. W jego głowie powstał obraz tysięcy wilków z podkulonymi ogonami i pyskami nisko przy ziemi.

Wtedy po raz pierwszy poczuł w sobie tę niewyobrażalnie potężną siłę. Wszystkie lęki odeszły precz. Oddech z chaotycznego stał się naraz równy i miarowy. Pierś uwypukliła się, plecy wyprostowały. Serce zaczęło bić szybciej tłukąc się między żebrami i w coraz to szybszym rytmie pompowało jakby nie jego krew w wytęsknione żyły i arterie. Czuł, jak cała płatanina żylna jego organizmu wypełnia się krwią niosącą moc, tajemnicę i życie otaczających go murów, ludzi, lasów i zwierząt. Tak, jakby wraz z krwią przyswajał otaczający go świat, żeby nim naprawdę wreszcie zawładnąć. Mięśnie napięły się niesamowitą siłą, umysł rozjaśnił się, jakby ktoś zdjął noszoną przez lata, przytępiającą mgłę spod czaszki.

Poczuł, jak jego penis rośnie i twardnieje tak mocno, że musiał zsunąć napletek z żołądźcia, bo ten za chwilę rozdarłby go bez problemu.

- Dziewicę! - wrzasnął do otwartych okiennic zdzierając z siebie obcisłe teraz ubranie.

- Dziewicę! - krzyknął ponownie. Niepotrzebnie. Słuch, który czulszy był niż słuch sowy, poinformował go, że po schodach wspina

się pomału młoda dziewczyna. Potrafił, słuchając tylko, określić wiek, wagę i wzrost idącej istoty.

- Wejść! - powiedział, zanim zdążyła uderzyć podniesioną pięścią w drzwi.

Drzwi otworzyły się wolno ukazując jego oczom czarnowłosą piękność. Stał nagi na tle tarczy świecącego księżyca. Jego cień padał tuż obok dziewczęcia, które lustrowało go ciekawskim wzrokiem pozbawionym lęku.

- Panie... - rzekła pochylając nieśmiało głowę.

- Suko! - odparł władczo wskazując palcem łożę znajdujące się w rogu komnaty. Nie zabrzmiało to wcale wulgarnie, wprost przeciwnie, jej wydało się to najmiłszą pieśczętą.

Spojrzała za palcem i uśmiechem wyraziła aprobatę. Pomału odwróciła się do niego plecami i kołysząc biodrami podeszła do krawędzi łóżka. Delikatnie przeciągnęła palcem po śliskiej, zimnej fakturze drewna. Odwróciła się i spojrzała w jego pałające pożądaniem oczy.

Błyskawicznie, a jednocześnie miękko doskoczył do niej. Stał chwilę wyprostowany. Patrząc z góry napawał się pięknem dziewczyny i nieuchronnym aktem który, wiedział to, za chwilę nastąpi. Jej ciało lekko drżało pod cienutką sukienką trzymającą się na dwóch sznureczkach, które on rozwiązywał patrząc w jej czarne oczy, świecące niczym oczy wilczycy. Puścił sznurki. Sukienka bezgłośnie opadła na kamienną posadzkę odsłaniając nagie, oliwkowe ciało. Niewinność i świeżość bijąca od niej owładnęła nim i przepełniła krwią pulsujące żyły.

Rozchylił usta i dmuchnął w rozpaloną twarz. Zamrugła zamykając oczy i nienaturalnie, niczym jesienny liść odrywany od macierzy, oderwała stopy od posadzki unosząc się lekko tuż nad nią. Przechylając się do tyłu zaczęła opadać na śnieżnobiałą pościel. On też zamknął oczy, uniósł się nad podłogę i pomału sunął aż pod sufit pochylając ciało do przodu. Wyprężony niczym szczupak, który wyskoczył z wody, zawisł pod sufitem. Potem opuścił się głową w dół

i przesuając się tuż nad nią wciągnął zachłannie rozszerzonymi nozdrzami cały jej zapach, od stóp, poprzez wilgotne łono aż po rozłożone na boki włosy. Czuł zapach mokrej ziemi zmieszanej z rosą porastającej ją trawy, po której szła z rana, jej podniecenie, agrest zrywany w ogrodzie i jaśmin, którym pachniały włosy. Zawisł tuż nad nią, kiedy ich usta spotkały się, podciągnęła kolana dotykając jego podbrzusza, a kiedy rozchyliła zapraszająco nogi, wszedł w nią. Wszedł w nią tak głęboko i tak mocno, że wygięła się jak gotowy do strzału łuk. Bez żadnego ruchu tkwił w niej w mocnym podnieceniu, tak długo, aż oboje zaczęli wyc jak wilki osiągając niebywałą rozkosz, niedostępną dla śmiertelnych. Doznanie było tak silne, na samej granicy śmierci, że jak tylko skończył, zamknęła oczy i momentalnie mdlejąc zapadła w drzemkę.

Obudziło ją wycie dobiegające z za okna. Wpatrywał się prosto w jej oczy.

- To naprawdę ty, panie? - zapytała.

- Jam jest Vlad Palownik, gospodar wołoski, pan życia i śmierci - odpowiedział.

- Powróciłeś z martwych, panie?

- Z żywego - powiedział gładząc jej stojący sutek, a kiedy jego wzrok znowu trafił na jej brzuch dodał: - Dasz mi potomka.

- Już rośnie w moim brzuchu. - Czy mógłbyś uciszyć wilki, panie?

Spojrzał na nią zaskoczony jej śmiałością. Może zaczęła czuć się już jak jego małżonka, jak pani na włościach? I już miał ją skarcić przybierając władcą minę, kiedy nagle złagodniał i odwrócił się od niej. Spojrzał na otwarte okiennice i ciężkie zasłony dotykające posadzki po dwóch stronach okna. Wstał szybko i jednym skokiem znalazł się na szerokim parapecie. Stał nagi w oknie wciągając noc w nozdrza. Zamknął oczy, duszą był już wśród wyjących zwierząt. Poczul ich zapach, podniecenie nocnym polowaniem, smak świeżej krwi na języku. Dreszcz przeszedł mu po ciele. Wilcza, dzika żądza oładnęła jaźnią. Każdy mięsień i każde ścięgno jego ciała napięły się w oczekiwaniu. Z okna do brukowanego placu było około dziesięciu

metrów, spojrział w dół i uśmiechając się pod nosem skoczył w ciemność na spotkanie stóp z kamieniem. Miętko dotknął bruku, zawył i jak sprinter wystrzelił w stronę lesistego wzgórza za miastem, z którego dochodziły coraz to nowe wycia. Biegł tak szybko, że mijane domy zlały się w jedną całość, a gwiazdy nad nim tworzyły pojedyncze, jasne kreski. Zapach nie był już jedną plątaniną, ale sumą wyraźnych zapachów poszczególnych wilków. Jednym susem pokonał okalający miasto mur. Pędząc po wilgotnej trawie czuł dziką namiętność i zadowolenie z własnej siły, ze sprężystości swoich mięśni. Kiedy dobiegł do pierwszych drzew zwolnił, a wilki, które stały między nimi zaczęły biec za nim. Po chwili cała wataha była już przy palu.

Samce alfa z poszczególnych stad stały najbliżej wyprostowanego, nagiego mężczyzny i z pochylonymi łbami i podkurczonymi ogonami skomlały ze strachu i uradowania zarazem. Reszta wilków ze ślepiami utkwionymi w ziemię stała w bezpiecznej odległości. Pal stał osamotniony, ciemna, wyschła krew świadczyła o dokonanych.

Stał tak przez chwilę napawając się swoją władzą nad zwierzętami, kiedy największy z samców podszedł i zaczął lizać nieśmiało jego stopy. Wyciągnął rękę i zmierzwił sierść na łbie zwierzęcia. Wilk podniósł głowę i jak pies zaczął z zadowoleniem skomleć. Wtedy właśnie spojrział w ciemne niebo, na którym wiatr rozwiął już całkowicie chmury. Wypatrywał księżyc, żeby wszystkie elementy kompozycji były na swoim miejscu. Nadaremnie, bo zza drzew nieśmiało wychynął pierwszy, bardzo delikatny jeszcze blask nadchodzącego świtu. Otrzeźwiło to go tak gwałtownie, jak wylane na rozgrzane ciało wiadro zimnej wody.

- Gdzie ja... - powiedział Władek i spojrział na szczerzącego kły ogromnego wilka stojącego tuż przy nim. Odskoczył oszołomiony.

Wszystkie dzikie bestie zgromadzone na wzgórzu w jednej chwili podniosły łby i wrogim spojrzeniem oblepiły spocone gwałtownym strachem ciało mężczyzny. Najbliżej stojące samce zrównały się

z największym i obnażając kły zacieśniły krąg wokół niego. Nie było ucieczki. Zdał sobie z tego sprawę błyskawicznie. To koniec, zginie rozszarpany przez te bestie, a jego kości zostaną rozwleczone i pogruchotane w ciągu kilku chwil. Zamknął oczy pełne od łez i padł bezsilny na kolana. Zdążył jeszcze złożyć ręce do modlitwy, kiedy pierwsze zęby dosięgły jego gardła.

- Proszę się ocknąć - usłyszał uprzejmy głos stewardesy, która delikatnie potrząsała jego barkiem. - Proszę zapiąć pasy, będziemy lądować.

- To już Turcja?

- Nie, mamy międzylądowanie w Targoviste w Rumunii...

WYPADEK

- Mówiąc kolokwialnie, wczoraj znalazłem się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze - powiedział nagle Manfred wpatrując się z wielkim zaciekawieniem w unoszące się bąbelki w złotym piwie.

- To znaczy gdzie? - odrzekł Ralf pomalą, wydobywając z siebie słowa, jak gdyby wypluwał okazałych rozmiarów orzechy.

- W zasadzie to nie wychodziłem z domu. Cały dzień i całą noc medytowałem.

Manfred przerwał na chwilę, zrobił duży łyk piwa. Na twarzy Ralfa pojawił się irytujący uśmiezek.

- Tobie, Młody, to już całkiem odbiło, co?

- Możesz się śmiać, ale uwierz mi, nie ma z czego. Widzisz, ja wczoraj zaszedłem za daleko. Ja... - zawahał się, żeby dodać po chwili ściszone głosem - ja wszedłem na najwyższy z możliwych poziom świadomości, nie wiem czy nie jako pierwszy, oczywiście po Buddzie, który pod drzewem Bodhi medytował czterdzieści dziewięć dni, żeby stać się tym, kim jest teraz.

Na chwilę zapadła cisza. Od strony baru dochodziła cicha muzyka zagłuszana przez wszędobylski gwar. Ralfa mało obchodziło to, co Manfred do niego mówi, jeśli nie mówił o piłce nożnej, więc nie pytał o nic więcej. Chciał tylko siedzieć i sączyć piwo, a co do niestworzonych historii miał od dawna już wyrobione zdanie, które mówiło krótko: w nic nie wierzę, gadaj zdrów. Manfreda zawsze traktował, jak zresztą wszyscy z pracy, jak dziwaka, który całymi dniami siedzi po ciemku w domu, pali jakieś zioła, słucha dziwnej

muzyki, na szyi nosi wisiorki, nawet zimą chodzi w sandałkach i nie je mięsa. Zdziwiło go wielce, że nagle zaproponował mu piwko, czego nigdy nie robił, twierdząc że nigdy w życiu się nie upił i nigdy tego nie robi. Dlatego właśnie z nim poszedł, był ciekaw, co takiego skłoniło tego odludka, by zaprosić go do baru.

- Widzisz, ludzki mózg to zadziwiający instrument - mówił powoli Manfred wlepiając wzrok w obracaną w palcach szklankę. Wypite piwo wyraźnie dawało znać o sobie w jego oczach. - Chociaż niektórzy twierdzą, że to niemożliwe, ja wczoraj osiągnąłem fale delta - zająknął się lekko.

- Jakie fale?

- Mózg pracuje zwykle na częstotliwości fal beta czyli między piętnaście a trzydzieści herców, a ja zwolniłem je do około jednego herca.

- Tak cię wzięło po jednym piwie z wkładką? - zakpił Ralf.

- To nie ma z tym nic wspólnego, możesz mnie wysłuchać? - zapytał Manfred zdając sobie sprawę, że zwierzenie się Ralfowi to jednak nie najlepszy pomysł. - Ja muszę o tym komuś powiedzieć, bo czuję, że zobaczyłem zbyt wiele - dodał ciszej. - Dotarłem do początku i końca świata zarazem. Na chwilę poznałem odpowiedzi na wszystkie pytania, rozumiesz?

- A co takiego tam zobaczyłeś, na tym najwyższym poziomie? - drwił dalej Ralf, ale Manfred głuchy na jego słowa, wyraźnie zaniepokojony, rozejrzawszy się bacznie sprawdzając, czy nikt go nie podsłuchuje, ciągnął dalej swój, teraz już monolog.

- Zobaczyłem czarną przestrzeń. Tak czarną, że się przeraziłem, ale to przerażenie wnet minęło, a zamiast niego pojawiła się ekstaza, połączona z zaciekawieniem. W tej mrocznej materii zaczęły rysować się coraz to wyraźniejsze, bardzo cieniutkie linie, tworzące siatkę pionowych i poziomych prostych. Nagle, w samym ich środku, na przecięciu środkowych, pojawił się jasny punkt, który zaczął nagle rosnąć, wchłaniając wszystkie linie po kolei, żeby wreszcie zająć całą czarną przestrzeń, przeradzając ją w jasną jaskrawość. I ten błysk!

Tak, to ten błysk, to wraz z nim przyszła odpowiedź jak grom mnie porażając i wraz z nim znikła. Krótki przeblysk boskiej świadomości. Pamiętam tylko, że zdążyłem tylko krzyknąć: WIEM!, kiedy już nic nie wiedziałem, pozostawiony na pastwę domysłu. Spojrzałem boskim okiem na świat, po czym Bóg jak najprędzej mi je wybił, rażąc gromem. Błyskawica wiedzy i koniec. Ale przez ten jeden krótki moment byłem alfą i omegą, było mi dane wiedzieć. Teraz, pomimo tego, że bardzo chciałbym sobie przypomnieć, wiem, że nic takiego nie nastąpi. Nie można osiąść tej wiedzy na stałe, to nazbyt niebezpieczne. Nie dla naszych umysłów, groziłoby to szaleństwem. A może, gdy sobie przypomnę, Bóg zgładzi mnie w jednej chwili, wskazując mnie boskim palcem?

- To ty wierzysz w Boga czy w Budę? A zresztą wszystko jedno, pójdę po drugą kolejkę.

Manfred nie słyszał. Zatracił się na tyle, że pomimo tego, iż jego towarzysz pomału wstał i poprawiając koszulę odchodził rozmazując się w papierosowym dymie, by w końcu zniknąć gdzieś przy barze, mówił dalej, teraz już sam do siebie:

- Tak, pozostały już tylko domysły. Może to, co widziałem jest kluczem, kluczem do wszechświata, do odwiecznych tajemnic, do wszystkich zagadek. Może wszystko, tak jak te linie, biegnie do jednego punktu, do jakiegoś centrum, gdzie wszystko ma swój początek i koniec zarazem. Życie zaczyna się i kończy w tym punkcie. Czas i przestrzeń mają w nim swoje zarzewie, jak proste, które widziałem. Człowiek rodzi się i umiera w tym właśnie miejscu, a śmierć równa jest jego narodzinom. Tak, to wysoce prawdopodobne! Czasoprzestrzeń wychodzi z jednego punktu, by za miliardy lat, równe jednej chwili, do niego wrócić, a punktem tym jest... Bóg. Każde istnienie, jak i cały wszechświat ma w nim i swój początek, i koniec. Wszystkie umysły wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek byli i będą na ziemi skomasowana jest w tym właśnie punkcie. Cała przestrzeń, wszechświat w jednej lśniącej drobinie,

której czas lśnienia to miliardy lat zamknięte w miliardowej części sekundy. Mgnienie oka Boga, które jest nim samym.

- No to na drugą nogę, coby się nie obalić - powiedział nachylając się nad Manfredem Ralf i uderzywszy otwartą dłoń w stół postawił przed nim ociekającą pianą szklanę. Martin spał twardo, kiedy nagle zadzwonił telefon. Zerwał się na równe nogi i w pierwszej chwili nie wiedząc, co się dzieje, ani gdzie jest i co właściwie dzwoni, podbiegł do drzwi wejściowych swojego mieszkania. Kiedy jednak jego mózg zlokalizował właściwe źródło hałasu, dopadł telefonu i podniósł słuchawkę, w której zabrzmiał pospieszny, kobiecy głos.

- Porucznik Bleschke. Łączę kapitana, panie poruczniku.

Po krótkiej przerwie usłyszał równie zaspany, co własny, głos swojego przełożonego.

- Spałeś, co, Martin? No, przepraszam, że kazałem cię obudzić, ale mamy nietypową sytuację, a ty do takich nadajesz się wyśmienicie - mówiąc to, zaśmiał się. - Był wypadek samochodowy i chcę, żebyś rzucił na niego okiem.

Martin w pierwszej chwili pomyślał, że to żart albo, że jednak nie obudził się do końca, kiedy kapitan powiedział znowu:

- Jesteś tam? - I powtórzył już bardziej władczym głosem: - Obudź się wreszcie, Bleschke!

- Nie śpię. Myślę tylko, dlaczego miałbym oglądać wypadek samochodowy, to przecież nie moja działka? A poza tym, miałem mieć dziś wolne.

- Ten to niestety twoja. Wysłałem już po ciebie samochód, także przemyj oczka i sturlaj się na dół. Kierowca pewnie już czeka, zawiezie cię na miejsce wypadku.

Martin usłyszawszy szybki, przerywany sygnał odłożył słuchawkę i pomału udał się do łazienki, gdzie po podłodze biegały bezgłośnie rybiki. Zgniół jednego dla przykładu, poprzyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Ściągnął gumką długie, siwe włosy i porządnie wysmarkawszy nos wyszedł z łazienki.

Pod blokiem wsiadł do starego opla, który natychmiast ruszył. Kierowca rzucił tylko do niego szybkie: „dzień dobry” i mocno docisnął pedał gazu.

- Nie dadzą się wyspać, co?

- Taka praca - odparł porucznik.

- Niestety.

- Gdzie ten wypadek?

- W lesie, na drodze z Hainesdorf do Schwedt. Podobno niezła jatka. Czołowe zderzenie, ale po co pana porucznika wezwali, to nie mam pojęcia.

- Pewnie znowu ktoś widział ufo - zamruczał pod nosem Bleschke.

- Coś pan mówił, poruczniku?

- Nie, nic - odparł porucznik, kiedy samochód opuścił miasto i we wstecznym lusterku majaczyły ostatnie przebłyski miejskich latarni.

Jechali szybko, nie bacząc na co chwila mijane przy drodze znaki z ograniczeniem prędkości do 60 kilometrów na godzinę. Ledwo zgubili światła miasta, a już z ich prawej strony przebijały się przez czarne o tej porze dnia, drzewa, płomienie, wydobywające się z rafineryjnych kominów. Samochód swoim pędem rozdmuchiwał ścielącą się w lesie mgłę.

- Zaraz dojedziemy - powiedział kierowca ścinając zakręt za zakrętem.

Zatrzymali się zaraz za migoczącym w ciemności policyjnym wozem zaparkowanym na skraju drogi. Porucznik wysiadł i podszedł do funkcjonariusza, który już czekał na niego.

- O, witam, Martin - przywitał go policjant. - Przepraszam, że musiałeś wstać, ale sytuacja jest nietypowa.

- Powiedz wreszcie o co chodzi, Herman. Co to za dziwny wypadek samochodowy? Statek kosmiczny zderzył się z samochodem czy co?

- Ha ha ha! Zaraz ci przestanie być wesoło - odpowiedział Herman. - Chodź, sam zobacz.

Przeszli pod rozciągniętą wszędzie biało-czerwoną taśmą i znaleźli się na środku drogi oświetlonej z dwóch stron przez policyjne samochody.

- Tutaj doszło do czołowego zderzenia - zaczął tłumaczyć Herman. - Oba samochody jechały z przeciwnych kierunków z prędkością około sto kilometrów na godzinę i oba ścięły zakręt, na którym teraz się znajdujemy. Siła uderzenia była tak ogromna, że to, co zostało z tych aut znajduje się teraz w dwóch różnych miejscach w lesie. Jeden jest po lewej stronie drogi w tamtych sosnach, a drugi po prawej stronie, w krzakach. Do wypadku doszło około godziny pierwszej, czyli pięć godzin temu. Najdziwniejsze jest to, że oba samochody miały włączone długie światła, czyli w nocy widziały się z dużej odległości. Mimo to, żaden z kierowców nie zdjął nogi z gazu, nie ma tutaj ani jednego śladu hamowania. Szosa jest sucha, a więc jakikolwiek poślizg nie wchodzi w grę. Te samochody wpadły na siebie jadąc z przeciwka z premedytacją, jak gdyby kierowcy umówili się, że uderzą w siebie. Ale nie dlatego prosiłem, żeby cię wezwano, najciekawsze jeszcze przed nami. Teraz chodź, obejrzysz to, co zostało z wraków.

Weszli do lasu. Między krzakami, około piętnastu metrów od drogi, leżała zbita masa dziwnie wyglądającego żelastwa. Masa ta w niczym nie przypominała samochodu, a dwa ustawione obok niej reflektory, w świetle których opadająca mgła rozmywała obraz, potęgowały uczucie niecodzienności. W widoku tym było coś, co nie dawało się skupić i logicznie pomyśleć. Trudno było wyobrazić sobie, że jeszcze kilka godzin temu był to sprawnie jeżdżący samochód.

- A to na pewno jest samochód? - zapytał Bleschke.

- Dobrze go sobie obejrzyj, bo zaraz przejdziemy do następnego.

Po drugiej stronie drogi sytuacja była podobna - kupa złomu leżąca na połamanych młodych świerkach, oświetlona dwoma reflektorami.

- Przyznaję, wypadek straszny, ale czekam na wyjaśnienia. Nie zauważyłem nic oprócz tego, że te samochody są tego samego koloru,

a najprawdopodobniej są też tej samej marki.

- Dokładnie tak, Martin. Ale cały pic polega na tym, że to te same samochody. Numery rejestracyjne są dokładnie takie same.

- Fałszerstwo - wtrącił porucznik.

- I ja tak pomyślałem, ale po sprawdzeniu numerów podwozia i silnika, co nie było takie łatwe, stwierdzić można, że to te same numery.

- Ktoś zrobił kopię? Po co?

- Za długo już w tym siedzę, żeby nie poznać fałszerstwa. Żaden z tych samochodów nie miał przebitych numerów, daje za to uciąć sobie głowę. Aha, przy wyciąganiu denatów, a raczej tego, co z nich zostało, stwierdzono, że byli dokładnie tak samo ubrani, mieli włosy takiego samego koloru.

- Tak... A więc mamy tutaj dwa te same samochody i dwóch takich samych ludzi - zastanowił się porucznik.

- Tego nie powiedziałem, na pewno byli tak samo ubrani. A teraz chodź, pokażę ci coś jeszcze - powiedział policjant prowadząc kolegę znowu w stronę ulicy.

Podeszli do stojącego na poboczu dużego samochodu policyjnego. Herman otworzył tylne drzwi i wyjął z nich dwie przezroczyste torby z grubego plastiku.

- To są rzeczy wyjęte z samochodów przy wstępnych oględzinach - zaczął mówić Herman trzymając torby przed oczami Martina. - I tu, i tu jest papierowa teczka, długopis w nią wpięty, cążki do drutu, jakaś plombownica i kłębek drutu w białym oplocie. No i oczywiście rzeczy te są dokładnie takie same.

- Tak też pomyślałem - powiedział Bleschke biorąc jedną z toreb w ręce i przyglądając się zawartości. - Zaczyna być ciekawie.

- Dokładnie - przytaknął Herman.

- Trzeba będzie określić, do czego służą te przedmioty. Torby trzeba oddać do ekspertyzy, niech zdejmą odciski palców z tych rzeczy. Ale najważniejsze jest to, żeby ustalić kim byli kierowcy

i dokąd jechali. – Nie zdążył dokończyć, kiedy podbiegł do nich młody policjant, w ręce trzymając dwie małe torebki.

– Otwarto schowek w jednym z aut. Były tam dokumenty wozu wraz z książką przejechanych kilometrów – zaczął mówić lekko zdyszany, grubszy policjant. – Od razu sprawdzili drugi schowek i oto jego zawartość – powiedział podając dwie plastikowe torebki swojemu przełożonemu. – Na moje oko są identyczne.

– Dobra – powiedział Bleschke. – Pojadę teraz na komisariat i oddam te rzeczy do ekspertyzy. Rozumiem, że ciała są w kostnicy, gdzie będzie przeprowadzona sekcja zwłok?

– Dokładnie – odparł Herman, oddając wszystkie torby porucznikowi.

– Informujcie mnie na bieżąco o wszystkim, co znajdziecie – mówiąc to Bleschke odwrócił się i poszedł w stronę samochodu, którym przyjechał.

W biurze Martin usiadł wygodnie w fotelu, oparł ręce na biurku i pukając rytmicznie w blat próbował zrozumieć to, co widział dwie godziny wcześniej. Zakładając, że Herman się nie mylił i że nie mają do czynienia z fałszerstwem samochodowym, sprawa ta wydawała się na pierwszy rzut oka co najmniej zagadkowa. Każdy pomysł, na jaki wpadł, wydawał się mu bezsensowny każdy zakrawał o niemożliwe, a z doświadczenia wiedział, że z rzeczami nadprzyrodzonymi ma się do czynienia jedynie w książkach i kinie, w realnym świecie wszystko wcześniej czy później można w łatwy sposób wytłumaczyć. Owszem, za każdym razem, gdy zaczynał jakąś nietypową sprawę miał nadzieję, że wreszcie wpadnie na coś niewytłumaczalnego prawami nauki i nieraz odwlekał rozwiązanie, bo łudził się, że będzie świadkiem czegoś, co pozwoli mu uwierzyć, że na świecie jest jednak miejsce na szeroko pojmowaną metafizykę. Nic takiego jednak mu się nie zdarzyło, zawsze znalazł logiczne wytłumaczenie dla spraw z pozoru wyglądających na nadprzyrodzone. Tak myślał i tym razem wpatrując się w przedmioty ułożone po dwóch stronach biurka. Były to rzeczy z rozbitych samochodów, które przeszły już wstępną

ekspertyzę. Bleschke wiedział już, że na wszystkich, zarówno z jednego, jak i z drugiego auta, widnieją odciski palców jednego człowieka, a linie papilarne nie mogą powtórzyć się nawet u identycznych bliźniąt. Fakt ten lekko go przerażał i powstrzymywał przed przejrzeniem dwóch identycznie wyglądających zbiorów. Bał się, ale jednocześnie pragnął, aby okazało się, że są faktycznie takie same, a co za tym idzie, aby mógł stwierdzić, że są to te same przedmioty, znajdujące się w dwóch różnych miejscach naraz.

Założył okulary i zaczął przyglądać się poszczególnym dowodom obracając je w palcach. Najpierw cążki z lewej strony, czyli pochodzące z jednego samochodu, potem z prawej strony, pochodzące z drugiego auta. Następnie wziął obydwie w dwie dłonie i porównywał je ze sobą. Dokładnie tak samo zrobił z drutem nawiniętym na czerwone plastikowe kłęбки i z plombownicami. Mrówki zaczęły chodzić mu po plecach, kiedy stwierdzał, że przedmioty wyjęte z identycznych aut są dokładnie takie same, że mają zarysowania dokładnie w tych samych miejscach. Chciał znaleźć jakąkolwiek różnicę, ale daremnie. Nagle uzmysłowił sobie, że z jednej szpulki wystaje krótszy kawałek wolnego drutu, niż z drugiej. W dwóch szpulkach końcówki drutu przetknięte były w ten sam sposób przez dziurki, żeby drut się nie rozwijał, ale w jedna z nich była o dobry centymetr krótsza od drugiej. Już miał dokładnie zmierzyć wystające kawałki drutu, kiedy do gabinetu weszła młoda kobieta w błękitnym fartuchu.

- Przyszłam osobiście, bo to, co mam panu do zakomunikowania nie nadaje się na rozmowę przez telefon - powiedziała od progu. Była wyraźnie zdenerwowana.

- Proszę usiąść. - Uśmiechnął się do niej, dodając tym samym otuchy zarówno jej, jak i sobie.

- Otóż, jakkolwiek dziwnie to zabrzmie - zaczęła laborantka przecierając rąbkiem fartucha szkła okularów, uprzednio zdjętych ze spoconego czoła - po nader dogłębnych badaniach, z całą pewnością zmuszona jestem stwierdzić, że zwłoki dwóch mężczyzn z porannego

wypadku należą do tego samego człowieka - zająknąwszy się włożyła okulary ponownie na czoło poprawiając nimi włosy. - To znaczy, chciałam powiedzieć, że zarówno badania krwi, jak i DNA niezbicie stwierdzają fakt, że - znowu się zająknęła - że... Jak to powiedzieć... Mamy dwa ciała tego samego mężczyzny. Co prawda DNA będzie identyczne u jednojajowych bliźniąt, ale nie linie papilarne ani zęby. Ja wiem, że to nie możliwe, ale to fakt. To ten sam człowiek - krew, DNA, linie papilarne, rentgen szczęki, wszystko to samo.

Zadzwoił telefon. Bleschke lekko zmieszany tym, co usłyszał od laborantki przeprosił ją i podniósł słuchawkę. Zniecierpliwiony głos mówił szybko, przerywając co chwilę, by złapać oddech.

- A więc tak. W kurtkach obydwu denatów znaleziono identyczne portfele z identycznymi dokumentami. Obydwa dowody osobiste wystawione są na nazwisko Manfred Zauski, obywatel Niemiec, urodzony dwunastego stycznia siedemdziesiątego dziewiątego roku w Gliwicach, w Polsce. Zamieszkały na stałe w Schwedt. Jeden z tych dokumentów musi być chyba podrobiony...

- Proszę przynieść mi te portfele - przerwał porucznik i odłożywszy słuchawkę, powoli wstał z fotela, przeszedł obok siedzącej kobiety i otworzywszy drzwi gabinetu powiedział:

- Panno Decker, dziękuję za informacje. Muszę niestety prosić o powtórzenie wszystkich badań i przesłanie mi ich faksem. Nie muszę chyba mówić, że sprawa ta jest ściśle tajna. Proszę nikomu nie zdradzać o wynikach badań.

Panna Decker nie zdążyła jeszcze przejść przez próg, kiedy stanął w nich młody policjant z dwoma portfelami w ręce.

- Oto te portfele panie poruczniku - powiedział oddając je. Odwrócił się i odszedł, a za nim podążyła, wyraźnie zaniepokojona, laborantka.

- Proszę dowiedzieć się wszystkiego o denacie. Przede wszystkim tego, czy miał rodzeństwo, a konkretnie brata bliźniaka! - zawołał Bleschke za odchodzącym.

Wrócił do swojego biurka, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamknawszy oczy zaczął głęboko oddychać. Musiał przyznać, że ostatnie informacje zbiły go z pantałyku. Nie bardzo wiedział, co ma teraz robić, bo wszystko wskazywało na to, że wreszcie zdarzyło się coś, co wytłumaczyć będzie mu bardzo trudno. Zakładając oczywiście, że informacje te są prawdziwe i nie ma do czynienia z serią dziwnych pomyłek, które mogły się zdarzyć albo po prostu natura w tym przypadku pomyliła się, wynikiem czego były dwa identyczne bliźniaki.

Odłożył na chwilę portfele i wrócił do przeglądania przedmiotów pochodzących z samochodów. Chciał znaleźć choćby jedną różnicę, jeden mały szczegół, który mógłby obalić absurdalną tezę, że ma do czynienia z cudem. Zostawił na chwilę sprawę nierównych końcówek drutu i wziął się za szczegółowe oględziny papierowych teczek. Oglądał je z zewnątrz, delikatnie obracając w palcach. Miały te same zagięcia, otarcia papieru i nie-dodruki w tych samych miejscach. Otworzył pierwszą z nich - była pusta. Otworzył drugą i ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że w środku są dwie kartki formatu A4. Wyjął je ostrożnie cały czas mając przeświadczenie, że w każdej chwili mogą zniknąć mu sprzed nosa. Nic takiego jednak nie miało miejsca, były jak najbardziej materialne. Obrócił je, na rewersach, od góry widniały takie same napisy: „PROTOKÓŁ ODBIORU ZBIORNIKA”. Na jednej był to zbiornik numer 12, a na drugiej - 21. Pod spodem były stany zbiorników podane w milimetrach i w metrach sześciennych, gęstości, temperatury i dwa podpisy. W górnym prawym rogu widniała dzisiejsza data i godzina: 00:30. Miał więc wreszcie coś, co różniło te dwa identyczne zbiory. Po zastanowieniu stwierdził jednak, że niewiele mu to tak naprawdę daje, bo cała reszta jest dokładnie taka sama, łącznie z samochodem i denatem, niejakim Manfredem Zauskim. Odłożył teczkę i zaczął przeglądać zawartość portfeli, kiedy rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł Herman. Herman Riedel, policjant, który pokazywał porucznikowi miejsce wypadku, usiadł wygodnie w fotelu jeszcze niespełna pół godziny temu zajmowanym

przez laborantkę, zdjął lekko zaparowane okulary i przecierając je chusteczką powiedział:

- Widzę, że analizujesz. No i co? Takie same, czy te same?

- Pewnie masz coś dla mnie - odparł Bleschke. - Coś o denacie, czy denatach. Wolałbym coś o denatach.

- O niejakiem Manfredzie Zauskim wiemy już wszystko - powiedział Herman i po namyśle dodał - Wszystko, co związane jest z wypadkiem. Otóż Zauski Manfred, dane personalne już znasz, zatrudniony na stałe w rafinerii w Schwedt, wyjechał ze swojego biura około północy, co potwierdza portier zatrudniony przy bramie wjazdowej do rafinerii. Około godziny 00.10 wjechał na teren bazy surowcowej w Heinesdorfie, co także potwierdził portier z budki przy bramie w bazie. Następnie zmierzył dwa zbiorniki za pomocą taśmy pomiarowej, którą znaleziono zarówno w jednym, jak i w drugim bagażniku, oczywiście są takie same. Potem zaplombował zasuwę używając leżących tutaj narzędzi. O godzinie 00.30 w biurze w bazie podpisał dwa protokoły odbiorcze, o czym poinformowali nas pracownicy tegoż biura i wyjechał przez bramę, co potwierdza portier, około godziny pierwszej. Jechał z powrotem przez las do rafinerii, kiedy nagle wpadł czołowo na jadący z przeciwka identyczny samochód, który kierowany był przez tego samego, a przynajmniej identycznego, Manfreda Zauskiego.

- A czy pół godziny po nim, z rafinerii nie wyjechał drugi, taki sam samochód? - Bleschke zdawał sobie sprawę, że pytanie to jest bezsensowne, ale próbował łapać się wszystkiego, choćby i brzytwy.

- Nie, tej nocy, do godziny zerowej wyjechał tylko jeden samochód marki Nissan Almera. W ogóle rafineria posiada tylko jedno auto tej marki, jeżdżą nim pracownicy biura, w którym pracował Manfred Zauski. A teraz najlepsze - powiedział Riedel wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki dwie małe plastikowe torebki i kładąc je przed porucznikiem na biurku. - Oto dwa dowody rejestracyjne znalezione w rozbitych samochodach, w małych schowkach po lewej stronie kierownicy. Możesz oglądać, odciski palców z okładek są już zdjęte.

Bleschke sięgnął po nie, rozwinął i przyglądał się im dokładnie, kiedy niemal jednocześnie zadzwonił telefon, a faks dał znak krótkim dzwonkiem o przyjmowaniu wiadomości. Dzwonił policjant, z informacjami o denacie, faks z kolei odebrał wyniki badań przesłane przez laborantkę Decker. Z rozmowy telefonicznej, której się przysłuchiwał, Riedel dowiedział się, że Manfred Zauski miał rodzeństwo. Była to starsza o cztery lata siostra, która mieszkała w Gliwicach, w Polsce i jak twierdzi, nie utrzymuje z bratem kontaktów odkąd ten wyjechał na stałe do Niemiec, co miało miejsce dziesięć lat temu. Z całą pewnością nie miał brata bliźniaka, a przynajmniej nie odnotowano faktu jego istnienia w żadnych dokumentach. Poza tym denat nigdy nie był karany, nigdy nie wszedł w konflikt z prawem i nie widnieje w policyjnej ewidencji. Kawaler bezdzietny, mieszkający samotnie w wynajętym mieszkaniu, w bloku przy ulicy Marii Curie. Posiada prawo jazdy i zarejestrowany na swoje nazwisko samochód marki Ford Mondeo, na który to wziął kredyt w Deutsche Bank.

Porucznik patrzył na dwa dowody rejestracyjne, ale nie czytał ich treści. Raczej przyglądał się zagięciom, zadrapaniom, ogólnemu zużyciu materiału. Nie miał wątpliwości - miał w rękach ten sam dowód rejestracyjny, tylko że w dwóch egzemplarzach.

- Tak... - zaczął mówić, kiedy do gabinetu wszedł kapitan, jego bezpośredni przełożony, ten sam, który wysłał go do nieszczęsnego wypadku.

- No, i jak się sprawy mają?

- Nie za wesoło, szefie - odparł porucznik.

- Wstępnie znam sprawę, ale proszę o konkrety.

- Konkrety leżą na biurku - odparł Bleschke wyjmując kilka kartek z faksu i kładąc je na blacie obok dowodów rejestracyjnych. - Otóż mamy dwóch... - zawahał się i po chwili milczenia kontynuował - mamy jeden samochód i jednego denata, tylko, że w dwóch egzemplarzach.

- Jak to? - zaśmiał się kapitan i usiadłszy na wolnym krześle zaczął przeglądać materiały i przedmioty leżące na biurku.

W tym czasie Bleschke patrząc na padający za oknem deszcz informował przełożonego o tym, co sam już wiedział, a co wydawało mu się coraz bardziej niemożliwe i nie do wytłumaczenia przy użyciu standardowych metod śledczych. Miał wrażenie, że za chwilę obudzi się we własnym łóżku, a wydarzenia, których jest świadkiem, zostaną w sferze snów. Był do tego stopnia sfrustrowany, że powoli podniósł prawą rękę do góry i będąc cały czas tyłem do rozmówców pociągnął się silnie za krótką brodę. Nie obudził się jednak. Zastanowił się przez chwilę, czy we śnie też mógłby doznać bólu, który właśnie sobie zadał. Kiedy skończył mówić, odezwał się kapitan:

- Czy te badania są wiarygodne?

- Panna Decker twierdzi, że ponad wszelką wątpliwość, niestety tak.

- Interesujące, ale chyba da się to jakoś wytłumaczyć, co? - spytał lekko błagalnym tonem i dodał z dziwnie maniakalnym uśmiechem - No, przecież jest to absolutnie niemożliwe. A może to jakaś bardzo udana mistyfikacja? Przecież wszystko, co tutaj leży można podrobić w sposób idealny. Czego to ludzie nie wymyślą, żeby zakpić z policji! To tylko kwestia tych wyników, przecież mogła nastąpić pomyłka, trzeba zlecić dodatkowe badania.

- Problem w tym, szefie, że to są właśnie te dodatkowe badania.

- Wiecie panowie, co jest dziwne w tym wypadku? - wtrącił Riedel. - Otóż zdarzył się on w nocy, w środku lasu. Zarówno jeden, jak i drugi samochód jechał na długich światłach i pomimo tego, że zderzenie nastąpiło na zakręcie, kierowcy powinni widzieć z daleka reflektor nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. A po zbadaniu miejsca zdarzenia, wszystko wskazuje na to, że nie widzieli się, albo zobaczyli się na sekundę przed zderzeniem. Nie ma śladów hamowania, żaden z nich nie wyłączył długich świateł, co przecież robi się, kiedy z przeciwka jedzie samochód, żaden z nich nie zjechał

na swoją stronę drogi, tylko pędzili środkiem ścinając zakręt i pewnie nie zdejmując nogi z gazu.

- Tak, to rzeczywiście dziwne... Może samobójstwo dwóch bliźniaków?

- Tylko, że nawet jednojajowi bliźniacy mają inne linie papilarne, a tutaj wszystko jest identyczne.

- Dobra, podsumujmy fakty. Martin, proszę.

- Faktem zatem jest, że niejaki Zauski Manfred jechał przez las z rafinerii w Schwedt do bazy surowcowej w Heinesdorfie zmierzyć i zaplombować zbiorniki z ropą naftową. Co potwierdzają zeznania świadków zarówno w rafinerii, jak i w bazie. Ale nie tylko świadkowie, spójrzcie panowie na to - powiedział Bleschke wyjmując z jednej z teczek dwie kartki papieru. - Jedna teczka jest pusta i pochodzi z samochodu, którym denat jechał do bazy, natomiast w drugiej, pochodzącej z tego, którym wracał do rafinerii, znajdują się dwa protokoły odbiorów zbiorników, które to protokoły są potwierdzeniem zmierzenia tychże zbiorników przez denata. Reasumując fakty, jakie one by nie były, mówią o tym, że denat wracając przez las do rafinerii wpadł na siebie jadącego z rafinerii w Schwedt do bazy w Heinesdorfie.

- Tak, tylko że to jest raczej niemożliwe - zawyrokował kapitan. - Musisz, Martin, wymyślić coś bardziej realnego. Póki co, trzeba powiadomić rodzinę denata, że zginął w wypadku. No i najważniejsze, prasa nie może nic zwęszyć. Przecież wersja wydarzeń, którą podałeś, nie może wydostać na zewnątrz. Dopiero wywołałaby drwiny z policji, a tylko tego nam brakuje. Mam nadzieję, że znajdziecie w tym jakąś pomyłkę, mistyfikację. Chyba za bardzo cię poniosło, Martin. Jesteś policjantem, a nie jakimś wróżbitą.

- Tak, to prawda, ale te dowody są bardzo przekonujące.

- Trzeba jeszcze raz logicznie to wszystko przemyśleć i znaleźć coś, co obali twoją niedorzeczną tezę.

- Może jednak mamy do czynienia z dwoma takimi samymi bliźniakami, którym znudziło się życie, a którzy chcieli zejść z tego

świata pozostawiając po sobie tajemniczą zagadkę? – wtrącił Herman.

- No, już lepiej – odrzekł zadowolony kapitan. – A wszystkie próbki ze zwłok denatów trzeba zlecić do analizy miejskiemu laboratorium. Dysponują lepszym sprzętem, a niezależne badania też się przydadzą. Musimy ponad wszelką wątpliwość stwierdzić identyczność wyników, jeśli oczywiście są identyczne. Niech te badania będą priorytetem.

- Ustalę, czy byli jacyś świadkowie wypadku, chociaż na razie nikt taki się do nas nie zgłosił – powiedział Herman poprawiając się w fotelu.

- A ja mimo wszystko zamknąłbym tę leśną drogę między Schwedt a Heinesdorfem, tak na wszelki wypadek, może to kolejny swoisty Trójkąt Bermudzki. Co będzie, jak Bogu ducha winna gospodyni domowa z Heinesdorfu pojedzie do Schwedt po zakupy, a wracając wpadnie na siebie jadącą na zakupy?

- A ten znowu swoje! Najpierw skoncentruj się na śledztwie, trzeba ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że to jakiś pieprzony cud, a potem zamykać drogę i wzywać fizyków, geologów i kogo tam jeszcze, może egzorcystów? – mówiąc to kapitan wstał podszedł do drzwi. – Czekam na rezultaty – dorzucił wychodząc.

- Popieprzona sprawa – stwierdził po chwili ciszy Herman. – Na mnie czas, będziemy w kontakcie.

Jak tylko Herman wyszedł, Bleschke zadzwonił do laboratorium i poprosił o zlecenie dodatkowych badań na denatach w trybie pilnym i przesłanie mu ich, gdy tylko będą gotowe. Podszedł znowu do okna, krople deszczu uderzały rytmicznie w parapet. Przyglądał się im zupełnie wyłączony, niczym hinduski fakir. Jego myśli błędziły gdzieś w przeszłości. Coraz jaśniej rysował mu się obraz za oknem rodzinnego domu w Bawarii, a do jego uszu docierał coraz to wyraźniejszy dźwięk pianina, na którym grała jego matka. Deszcz padał na rosnące w ogrodzie z dzieciństwa dwie duże lipy, zabarwiające krajobraz na zielono, a matka mówiła do niego grając Mozarta. „To dla ciebie, synku, tylko dla ciebie gram, dzięki temu

jeszcze żyję, słuchaj, słuchaj uważnie, bo gdyby nie ty...” I zaczynała szlochać.

To wspomnienie z przeszłości pociągnęło za sobą następne i następne... Biegł myślami przez dzieciństwo, aż do czasów, kiedy był na studiach i wielokrotnie zastanawiał się, co by zrobił widząc siebie sprzed dziesięciu minut, gdy wchodzi na przykład do biblioteki po książkę, z którą właśnie z niej wychodził. Naraz uświadomił sobie, że młodsze fantazje, o których zupełnie zapomniał, mogą być przyczyną potraktowania właśnie w taki, nadprzyrodzony sposób tej zagadkowej sprawy. Owe zaślepienie miało najprawdopodobniej właśnie w nich swoją genezę. Przeświadczenie to, że zaraz zobaczy siebie sprzed kilku minut, wielokrotnie powracające w różnych sytuacjach, spowodowało najprawdopodobniej natychmiastowe skierowanie toku myśli o śledztwie na właśnie taki tor i uniemożliwiło racjonalne wnioskowanie.

Stojąc tak stwierdził, że totalnie nie wie, co teraz zrobić, jak się do tego zabrać. Nigdy dotąd nie zajmował się wypadkiem samochodowym. Postanowił wreszcie, że rozpatrzy tę sprawę na nowo, zupełnie pod innym kątem, a do czasu otrzymania wyników badań przejrzy jeszcze raz wszystkie znajdujące się na jego biurku dowody wyzbywając się poczucia obcowania ze sprawą z pogranicza science fiction.

Przeglądał wszystko po raz kolejny. Dokumenty samochodów, opisy denatów. Rozwinął i zmierzył druty do plombowania z obu szpul. Na jednej brakowało około metra, czyli tyle, ile potrzebne jest do zaplombowania zasuw przyzbiornikowych, o których dowiedział się dzwoniąc do biura, w którym denat odebrał i podpisał leżące teraz przed nim dwa protokoły. Szukał motywu podrobienia, w sposób tak perfekcyjny, leżących przed nim dowodów, niestety bez rezultatów. Jedyne uporczywa myśl o swoistym przeniesieniu w czasie wracającego do rafinerii denata nie dawała mu spokoju. A zamykając oczy widział, jak nagle z mgły wyłania się samochód i z impetem wpada na identyczny, jadący z przeciwka. Odrzucił natychmiast

mistyczny obraz i próbował skupić myśli na empirycznych rozważaniach, kiedy zadzwonił telefon.

- Panna Decker z tej strony - usłyszał w słuchawce zadowolony głos laborantki. - Dzwonili z laboratorium. Wykonali badania dwukrotnie i stwierdzili, że musiała zajść pomyłka, bo wyniki są takie same, co świadczy o tym, że pochodzą od tej samej osoby. Twierdzą, że wysłaliśmy im zamiast próbek dwóch osób dwa razy próbki tej samej osoby. Pytają, czy prześlemy im jeszcze raz materiały do badania, bo niedługo kończą pracę.

- Niech pani ich przeprosi. Powie, że faktycznie zaszła pomyłka i że na dzisiaj już im dziękujemy. Niech tylko jeszcze prześlą nam wyniki tych badań.

Bleschke szedł korytarzem w kierunku gabinetu kapitana zastanawiając się nad tym, że dopiero teraz trudno będzie się dobrać w jakiś logiczny sposób do tej zagadki, skoro sam wypadek jest jak najbardziej nielogiczny. Kiedy wszedł do kapitana, ten siedział przy biurku przeglądając jakieś dokumenty. Był wyraźnie zatroskany.

- Albo to jakiś większy spisek, albo mamy do czynienia z pierwszym w historii kryminologii przypadkiem, kiedy dwie osoby mają identyczne wyniki badań identyfikacyjnych. Nie dopuszczam myśli, że twoja teoria zaczyna się sprawdzać... Właśnie przyszły do mnie wyniki badań z laboratorium.

- Jeśli rzeczywiście moja teza o przesunięciu w czasie jest faktyczna, sami sobie nie poradzimy - pomyślał Martin, a na głos powiedział:

- Trzeba zasięgnąć opinii ekspertów, czy jest to możliwe.

- Tak, to chyba jedyne rozsądne rozwiązanie. Sprawdź to.

Bleschke wstał i chciał już wyjść, kiedy kątem oka zauważył wiszący na ścianie kalendarz z fotografią Dolly Parton. Stał, zaczął się przyglądać zdjęciu i po chwili zastanowienia usiadł z powrotem w fotelu i powiedział:

- A może ten drugi to klon tego pierwszego?

Kapitan odwrócił się, popatrzył na biust Dolly i odparł wyraźnie rozpogodzony:

- To może być to, Martin. To może być rozwiązaniem, ale skąd wpadłeś na... - Nie dokończył, bo przed oczami stanęła mu owca Dolly, pierwszy sklonowany przez człowieka ssak.

- Tylko, czy klon ma takie same linie papilarne, tak samo ukształtowaną górną i dolną szczękę? - zastanowił się porucznik.

- Sprawdź to wszystko - powiedział kapitan. - Masz wreszcie jakiś logiczny trop.

Chociaż sprawa zyskała nazwę Trójkąta Meyenburdzkiego, Bleschke poszedł tropem klona Zauskiego i przez resztę dnia studiował w internecie opracowania poświęcone klonowaniu ludzi. Niestety fakty wskazywały, że klonowanie raczej nie wchodzi w grę. Musiałoby odbyć się w roku 1979, a wtedy nauka, przynajmniej ta oficjalna, nie dysponowała taką wiedzą. Nie mógł jednak wykluczyć istnienia jakiegoś tajnego laboratorium zajmującego się klonowaniem. Myśli kłębiły się w jego umyśle jedna za drugą. O ile mógł założyć, przynajmniej intuicyjnie, bo w internecie nie mógł znaleźć na ten temat informacji, że sklonowany człowiek mógł mieć identyczne linie papilarne, o tyle sprawa uzębienia nie pasowała, gdyż układ zębów powinien być u klona inny niż u pierwowzoru. Układ ten kształtuje bowiem sposób odżywiania się i indywidualne upodobania, a nie genetyka.

Wychodząc z biura zadzwonił jeszcze do panny Decker i poprosił o sprawdzenie wszystkich medycznych aspektów tej sprawy lub ewentualną konsultację z ekspertem. Ona na pewno miała w tej kwestii większe rozeznanie.

Wracając do domu postanowił więc, że wtajemniczy w sprawę swojego kolegę z technikum, fizyka z Uniwersytetu w Berlinie, Jiona Tichego. On na pewno, z jego doświadczeniem, popartym wiedzą i zamiłowaniem do tajemnic, będzie w stanie podać mu kilka tez dotyczących tego przypadku.

Był już pod domem, kiedy się zawahał. Zawrócił spod drzwi i postanowił pojechać na miejsce wypadku. Odszukał kluczyki od swojego auta w wewnętrznej kieszeni kurtki i poszedł na parking. Dochodząc do samochodu wyobraził sobie, jak właśnie odjeżdża z parkingu, a za kierownicą siedzi on sam. Przez chwilę pomyślał, jak mógł się czuć Manfred Zauski tuż przed wypadkiem. Wsiadł do auta i odjeżdżając spojrzął w stronę, z której jeszcze przed chwilą szedł do parkingu, ale nie było tam go, chodnik był pusty. Przejechał przez miasto, skręcił w stronę rafinerii, dojechawszy do jej bramy zawrócił i udał się w stronę Heinesdorfu. Chciał przebyć dokładnie taką samą trasę, jaką pokonał Zauski kilkanaście godzin wcześniej, wcielić się w jego rolę i zobaczyć to jego oczami.

Jechał setką przez las, ścinając zakręty. Minał owe felerne miejsce nie zatrzymując się. Dojechał do Heinesdorfu i zawróciwszy pojechał z powrotem. Jadąc znowu przez las wyglądał, czy z przeciwka nie jedzie on albo jego sklonowany po kryjomu pięćdziesiąt lat temu klon. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Zawrócił ponownie i dojechawszy do miejsca wypadku wysiadł z samochodu. Wraki zostały już usunięte z miejsca, w których się wcześniej znajdowały, były zabezpieczone przez rozciągniętą na drzewach policyjną taśmę. Na dworze było chłodno i padał delikatny deszczyk. Coś po drugiej stronie drogi poruszyło się w krzakach i po chwili wyszedł z nich jakiś mężczyzna w średnim wieku, z zapalonym zniczem w prawej ręce. Zobaczywszy Bleschkego przestraszył się, zgasił znicz i powoli ruszył w jego stronę.

- Tam nie wolno chodzić - powiedział Bleschke do nieznanego.

- Nie zauważył pan taśm?

- Przepraszam - odparł tamten. - Ja chciałem tylko zapalić światło koledze z pracy, zginął gdzieś tutaj dziś w nocy. Pan z policji?

- Tak.

- To na pewno wie pan, po której stronie drogi zginął Manfred Zauski.

- Tak - odpowiedział niepewnie Bleschke i dodał stanowczym tonem wskazując na las za nimi. - Po tej, ale przynajmniej na razie niech pan tam nie wchodzi. Zapali pan znicz koledze, gdy zdejmujemy taśmy.

- Tak, oczywiście.

- Mówi pan, że był kolegą Zauskiego. Czy moglibyśmy porozmawiać? - zapytał Bleschke pokazując swoją legitymację i przedstawiając się. Po chwili dodał rozglądając się na boki: - Przyszedł pan tutaj pieszo?

- Tak, chciałem się przejść. Mieszkam niedaleko, w Meyenburgu. Nazywam się Stefen Dieske.

- Jeśli pan pozwoli, odwiozę pana do domu.

- Oczywiście - odparł mężczyzna wsiadając do auta.

Meyenburg to była wioska, tuż za lasem, oddzielona od Heinesdorfu dwoma kilometrami łąk, poprzecinanych niskimi, drewnianymi płotkami, na których latem pasły się owce. Gdy dotarli pod dom, tuż za nimi podjechał drugi samochód, z którego wysiadł niski, grubawy mężczyzna. Mężczyzna ten podszedł do Dieskego i powiedział:

- Ja już skończyłem zmianę i wolny jestem.

- Pan z policji - powiedział Dieske wskazując Bleschkego. - Chciał porozmawiać o Manfredzie.

- Pan też był kolegą Zauskiego Manfreda? - wtrącił Bleschke przedstawiając się.

- Tak - odparł pod nosem mężczyzna i dodał - Ralf Scholz.

Dieske otworzył drzwi domu i zapraszającym gestem wskazał ciemne wnętrze. Po chwili siedzieli w kuchni, Dieske gładził czarnego kota siedzącego mu na kolanach i w samych superlatywach opowiadał o niezłym koledze. Głos miał łagodny i widać było po jego twarzy, że należy do tych osób, które nie skrzywdziłyby muchy, poczciwość biła od niego na kilometr.

- A moim zdaniem był z niego niezły świr - wtrącił ostro Scholz.

- Dlaczego pan tak uważa, panie Scholz? - zapytał porucznik.

- Jeździł jak wariat na Heinesdorf, kiedyś z nim jechałem i mówiłem mu, że nie dość, że siebie zabije to jeszcze kogoś innego. No i proszę, nie trzeba było długo czekać. A kim była ta druga osoba, jeśli można wiedzieć?

- Ustalanie tożsamości właśnie trwa - powiedział Bleschke i dodał: - Który z Panów widział go ostatni?

- Ja - odparł od niechcienia Ralf Scholz. - Przekazał mi zmianę, jak co dzień.

- Może mi pan o tym więcej powiedzieć, może jakoś dziwnie się zachowywał, mówił coś niezwykłego, cokolwiek?

Ralf udał, że coś sobie przypomina, po czym spuścił na chwilę głowę, podrapał się po kolanie i powiedział:

- Widzi pan, tamtego wieczoru skończyłem wcześniej pracę, gdzieś około dziewiętnastej, podjechałem po Młodego, bo tak go nazywaliśmy w robocie, odstawić mu samochód. Mieszkam obok, więc nie musimy się odwozić. Miałem iść do domu, ale Młody chciał wstąpić do baru, więc wstąpiliśmy, wypiliśmy po dwa piwka i rozeszliśmy się do domów. Młody powiedział, że musi się odświeżyć przed pracą. Potem pojechał do roboty. Wiem, bo dzwonił do mnie za piętnaście dziesiąta z biura.

- Zachowywał się jakoś dziwnie?

- On zawsze się dziwnie zachowywał, a wtedy jeszcze wypił sobie, jak twierdził - pierwszy raz. No i wygadywał jakieś brednie. Nie wiem dokładnie, o co mu chodziło, myślałem zupełnie o czym innym. Córka wychodzi za mąż i sam pan rozumie... Teraz mam ważniejsze rzeczy na głowie. A Młody zawsze opowiadał różne dziwne rzeczy. Dziwak był i tyle.

- To był inteligentny chłopak - wtrącił Dieske, puszczając kota na podłogę.

- O jakich dziwnych rzeczach mówił? - zapytał porucznik Dieskego gładząc w tym czasie kota, który podszedł do niego i ocierał się o jego nogi.

- O wszystkim. On w Polsce skończył jakieś studia, chyba filozoficzne, mówił mi kiedyś jakie, ale wyleciało mi z głowy. A rozmawiał na wszystkie tematy, miał gadane, jak to się mówi. Można było z nim dyskutować i o religiach, i o UFO, dużo wiedział też o ludzkim mózgu. Gadał, że ludzki mózg może wszystko, że nie ma barier, a jedyne granice wyznaczamy sobie sami.

Na ostatnie słowa Dieskego porucznik poruszył się w fotelu, ale szybko udał, że coś go uwierało, więc poprawił się i zapytał, tym razem Scholza:

- A tamtego wieczoru nie mówił nic o Bogu, UFO albo o innych dziwnych rzeczach?

- Dokładnie nie pamiętam, ale mówił coś o Buddzie, że przez chwilę poznał jego tajemnice, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania i o jakiś poziomach świadomości jeszcze mówił.

- Niech sobie pan przypomni, to ważne dla śledztwa, może mówił coś jeszcze?

- Mówił, że to niebezpieczna wiedza, ale że wszystko zapomniał. Naprawdę, nie pamiętam nic więcej, ja mam za tydzień wesele córki i tylko o tym teraz myślę.

- Rozumiem - powiedział porucznik wstając i żegnając się położył na stole swoją wizytówkę. - Jakby miał pan coś do powiedzenia, to proszę zadzwonić, panie Dieske. A pana, panie Scholz, pozwoli pan, że odwiozę do domu, jadę właśnie teraz do Schwedt.

Scholz zostawił Dieskemu kluczyki od służbowego, zastępczego samochodu i wyszedł za porucznikiem.

W drodze do Schwedt porucznik jeszcze raz próbował się dowiedzieć czegoś o Zauskim, ale Scholz mało miał do powiedzenia. Mówił samymi ogólnikami i był raczej mało przychylnie nastawiony do zmarłego. Dopiero kiedy dojechali pod dom Scholza, ten, wyraźnie zmieszany, zaczął mówić przerywając co chwila, jakby ważąc każde słowo:

- Powiedział... Jak zadzwonił wtedy do mnie z pracy, przed dziesiątą... Że jak mu się coś stanie... To będzie to znaczyło... Że

osiągnął nirwanę... I że dotarł do jakiegoś punktu w centrum wszechświata... Tak dokładnie powiedział. Ja wiem, że nie powinienem tak mówić o zmarłym, ale to był naprawdę niezły świr.

Po powrocie do domu Bleschke, zanim zdążył się rozebrać, zadzwonił na prywatny numer laborantki i zlecił wykonanie dodatkowych badań na obecność alkoholu i narkotyków we krwi denatów. Dopiero potem rozebrał się, usiadł wygodnie w fotelu i wykonał telefon do swojego kolegi – fizyka Jiona Tichego. Naświetlił mu całą sprawę, ze wszystkimi szczegółami i na pytanie, czy może liczyć na pomoc przyjaciela, usłyszał tylko krótkie: „Jutro jestem”. Wiedział, że Tichy to zapaleniec, pomimo tego, że był cenionym, w całym kraju fizykiem, zawsze interesowała go parapsychologia i jej powiązania ze ścisłą fizyką. To powiązanie jako nieliczny wśród fizyków potrafił dostrzec i wykorzystać.

Bleschke szedł przez cmentarz. Tu i ówdzie paliły się pojedyncze znicze, padał lekki deszczyk. Alejka nagle skręciła, a on razem z nią. Tuż za zakrętem z marmurowego grobowca spojrzął na niego biały anioł stojący na cokole. Bleschke w pierwszej chwili przestraszył się, lecz po chwili zmierzył się z jego dobrotliwym spojrzeniem bez większego lęku, przyjmując żywe oczy w martwym posągu za rzecz naturalną. W tym samym momencie anioł zamknął oczy i pochyliwszy głowę wskazał mu ręką kobietę siedzącą dwa groby dalej. Kobieta w długim czarnym płaszczu, z peleryną na głowie, siedziała na przygrobowej ławeczce. Bleschke podszedł do niej i dopiero teraz zobaczył, że tuż za nią siedzi mały chłopczyk w krótkich spodenkach i kraciastej koszuli. Chłopiec wychylił się zza kobiety z uśmiechem na twarzy i Bleschke od razu rozpoznał w nim siebie sprzed wielu, wielu lat. Chłopiec szepnął coś kobiecie, ta odwróciła się i zdjawszy kaptur wzięła chłopca za rękę, a porucznik od razu ją rozpoznał. To była jego matka. Spojrzała zapłakanymi oczami w oczy Bleschkego i powiedziała patrząc raz na chłopca, a raz na mężczyznę stojącego przed nią: – Chodź, Martin, chodź, syneczku, zagram ci na pianinie.” Po czym wraz z chłopcem zaczęła odchodzić. Bleschke chciał pobiec

za matką, ale jego wzrok przykuł napis na grobowcu: „Martin Bleschke zm. 11 maja 2006 roku”. Kiedy spojrzął za matką, tej już nie było. Ruszył się w kierunku, w którym zniknęła. Biegł alejką między grobami, lecz ta zaczęła się zwężać, stając się coraz to węższa i węższa, potykał się o krawędzie mogił, aż alejka zwęziła się do tego stopnia, że musiał biec po grobowych płytach. Nagle dojrzał, że pod nogą nie ma już płyt i po chwili zdał sobie sprawę, że spada w czarną otchłań. Leciał tak krzycząc, aż obudził się w swoim łóżku zlany potem. Zegarek na szafce wskazywał dziewiątą, a więc zasnął do pracy. Szybko wstał, umył się, ubrał i zjadł śniadanie naszykowane wieczorem poprzedniego dnia. Przed wyjściem zerwał kartkę z kalendarza, odkrywając następną, na której widniała data 11 maja 2006. Przypomniał sobie napis na grobowcu ze snu i wzdłuż kręgosłupa przeszły go ciarki. Wyszedł z mieszkania przypominając sobie strzępy snu i rozmowę z Dieske. Naraz do głowy zaczęły przebijać się różne myśli ze studiów o hipnozie, częstotliwościach drgań fal mózgowych, o rzekomych wyższych stanach świadomości, prekognicji, telepatii, jasnowidzeniu... Widział obrazy siedzącego Buddy i medytujących mnichów, a wśród nich Manfreda Zauskiego. Zdał sobie sprawę, że wszystko to strasznie gmatwa mu rozwiązanie i tak bardzo zawiłej sprawy i że wchodzi pomału w dziedziny życia, o których nie ma pojęcia, których nie rozumie i nawet nie wie, czy takie rzeczy naprawdę istnieją. Nagle, nie wiedzieć kiedy, był już w samochodzie i dopiero dźwięk uruchomionego silnika wyrwał go z letargu. Pomyślał, że tak samo denat mógł prowadzić auto, ale jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. Może szukał swojego centrum wszechświata gdzieś w zupełnie innym wymiarze albo na innym poziomie świadomości?

Zadzwoił telefon, wyrywając go z głębi myśli na powierzchnię świadomości. To Tichy, był na dworcu kolejowym w Schwedt i chciał, żeby Martin po niego przyjechał. Na pierwszym skrzyżowaniu zawrócił i udał się w stronę dworca. Przed małym, oszklonym

zielonymi szybami budynkiem stacji stał samotny mężczyzna, a obok niego kanciasta walizka.

- Witam profesorka! - wykrzyknął Martin wysiadając z samochodu. - Nie zdążyłem dobrze się obudzić, a ty już jesteś!

- Miałem pociąg o siódmej z Berlina, staruszkule! - odkrzyknął Kloze.

- Pojedziemy najpierw do mnie, rozpakujesz się i zjesz śniadanie.

- Możemy przejść od razu do rzeczy, jadłem w pociągu, a poza tym muszę jeszcze dziś wieczorem wrócić do Berlina. Jedźmy na miejsce wypadku, a po drodze wszystko jeszcze raz dokładnie mi opowiesz. Dobra?

- Dobra.

Darowali sobie pytania w stylu: „Co słyhać?”, obaj wiedzieli, że nic, co by mogło zainteresować drugiego nie miało miejsca. Ich drogi zawodowe biegły swoimi torami, raz na jakiś czas krzyżując się, kiedy porucznik potrzebował pomocy fizyka. Na prywatne tematy nie mieli zbyt dużo czasu i ochoty, zanadto zajęci pracą.

Jechali wolno przez miasto, słońce świeciło im prosto w oczy, kiedy telefon komórkowy porucznika dał znać o sobie.

- Dzwoniła panna Decker z laboratorium, z informacją o wynikach badań krwi - powiedział porucznik po zakończonej rozmowie telefonicznej. - Otóż w obydwu surowicach stwierdzono 0,149 promila alkoholu.

- A więc mamy następny dowód świadczący o identyczności zwłok.

- Wszystko na to wskazuje.

- Opowiedz mi to jeszcze raz od początku, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów.

Zanim dojechali na miejsce wypadku, porucznik zdążył skończyć swoją opowieść i kiedy wysiedli Tichy zapytał:

- No i co policja ciekawego wymyśliła?

- Mam dwa tropy. Pierwszy, bardziej prawdopodobny, jest taki, że denat miał swojego klona albo brata bliźniaka z takim samym DNA,

liniami papilarnymi i innymi szczegółami, co jak obaj wiemy, nie zdarza się w przyrodzie. Drugi, znacznie bardziej nieprawdopodobny: nastąpiło półgodzinne przesunięcie w czasie, na skutek którego denat zderzył się ze samym sobą. Dowody rzeczowe, jakie posiadamy, bardziej potwierdzają drugą wersję wydarzeń, chociaż jest ona niemożliwa. Zobaczysz potem w moim biurze, te przedmioty wyglądają identycznie. Nie, to za mało powiedziane. To te same przedmioty, pochodzące z dwóch identycznych samochodów, o tych samych numerach, nawet książki serwisowe są identyczne. Moi ludzie sprawdzali w serwisie Nissana, oba samochody mają te same numery części, ten sam udokumentowany przebieg, te same zamki otwierane z pilotów o dokładnie tej samej częstotliwości, klucze z tymi samymi immobilizerami. Mało tego, w miejscach niezniszczonych podczas wypadku są te same znaki użytkowania.

- Tak... To naprawdę interesujące - powiedział zastanawiając się nad czymś Tichy. - Nauka zna przypadki przeskoku w czasie, chociaż ich nie potwierdza. Sama podróż w czasie, przynajmniej teoretycznie, także jest możliwa. Jednym z miejsc, gdzie doszło do takiego przeskoku jest Trójkąt Bermudzki. Latem 1972 roku samolot pasażerski lecący nad tym miejscem zniknął z radarów na dziesięć minut. Kiedy szczęśliwie wylądował na lotnisku w Miami, nie stwierdzono uszkodzenia żadnego z systemów, tylko wszystkie zegarki z samolotu późniły się o dziesięć o minut.

- Czyli zakładając, teoretycznie jedynie, że gdyby ten samolot zawrócił, mógłby zderzyć się z samym sobą?

- Trzeba by się nad tym zastanowić - odparł Tichy wyjmując z walizki kilka przyrządów pomiarowych. Badania zaczął od znalezienia północy za pomocą zwykłego kompasu mówiąc przy tym, że w rejonie Trójkąta występuje wyraźna anomalia magnetyzmu ziemi. Zakładając, że znika o godzinie 12.00 - pomyślał chwilę - no nie, bo gdyby się nie zderzyły, gdyby nie zawrócił, mielibyśmy dwa samoloty lecące na lotnisko w Miami z tymi samymi ludźmi na pokładach, a tak się nie stało. Na lotnisku wylądował tylko jeden

samolot. Tam samolot zgubił 10 minut cały czas lecąc lub inaczej, cały nasz układ przyspieszył nagle o dziesięć minut w stosunku do czasu samolotu. Czyli samolot wleciał w teren, w którym czas zwolnił o dziesięć minut bądź wlatując lub wylatując z niego nastąpił ów przeskok. To nie samolot podróżował w czasie, to cały układ razem z przypadkowym samolotem przesunął się o dziesięć minut. Tutaj jest inna sytuacja, zakładając oczywiście, że twoja teoria jest prawdziwa. Samochód wracający z Heinesdorfu musiałby przenieść się w czasie pół godziny do tyłu lub ten jadący do Heinesdorfu pół godziny do przodu. Jest to coś innego niż przeskok czasu w przypadku samolotu znad Trójkąta Bermudzkiego. Tutaj mielibyśmy do czynienia z klasyczną podróżą w czasie, a takich przypadków jeszcze nie odnotowano, no, chyba, że w literaturze science fiction.

- Ale mówiłeś przecież, że podróże w czasie są możliwe?

- Tak, według niektórych fizyków jest to możliwe. Spełnionych musi być jednak kilka warunków, ale są to rozważania czysto teoretyczne, nijak mające się do podróży w czasie osobowego samochodu. Samochód ten musiałby podróżować z prędkością bliską prędkości światła. Dowiedziono bowiem, że im szybciej obiekt się porusza, tym bardziej zwalnia czas wokół niego. Ja sam wielokrotnie potwierdziłem efekt dylatacji czasu. Rozpędzając cząstki elementarne, które normalnie szybko rozpadają się, do ogromnych prędkości w akceleratorze, wydłużyłem znacznie czas ich życia. Inna teoria mówi, że im większe pole grawitacyjne ma dana rzecz, tym wolniej czas płynie na jej powierzchni. Przykładem może być czarna dziura, która wytwarza ogromne pole grawitacyjne. Może kiedyś podróże ludzi w czasie będą możliwe, ale dlaczego nie nawiedzają nas ludzie z przyszłości, którzy wiedzę taką już posiadli? Co prawda, według niektórych fizyków, przybysz z przyszłości byłby tylko niewidocznym dla nas obserwatorem. Ale tak jak mówię, te wszystkie dywagacje nie mają zastosowania w tym przypadku. Tutaj rozwiązanie musi być inne. Fantazując można by powiedzieć, że na przykład czasoprzestrzeń w tym miejscu tak się zakrzywiła, że

zatknęła się w tym właśnie punkcie z tą sprzed pół godziny, a wraz z nią jadący samochód, na co, tak na marginesie mówiąc, pozwala ogólna teoria względności Einsteina. Albo dwa równoległe wymiary oddalone od siebie o pół godziny w jakiś niewyjaśniony sposób nałożyły się na siebie z fatalnym skutkiem dla kierowcy tego samochodu. Einstein zakładał istnienie takich równoległych światów.

Bleschke słuchał wykładu kolegi obserwując, jak ten dokonuje pomiarów wszystkimi przywiezionymi przyrządami. Słuchając o akceleratorach, dylatacji czasu, podróżach w czasie, zakrzywieniu czasoprzestrzeni czy równoległych światach, w jego głowie powstawał coraz większy mętlik, pokrzepiał się nadzieją, że później wieczorem Jion wytłumaczy mu to jeszcze raz na spokojnie, bardziej przejrzysto.

Kiedy Tichy skończył pomiary, zaczął dokładnie rozglądać się po okolicy. Przeszedł się po ulicy to w jedną, to w drugą stronę, potem wrócił do Bleschkego i stwierdził:

- Nie wykryłem tutaj żadnych anomalii, wszystkie wyniki badań są w normie. Także, moim zdaniem przyrównanie tego miejsca do Trójkąta Bermudzkiego nie ma podstaw. Co prawda pomiary, jakie wykonałem, są bardzo podstawowe, więc możesz ściągnąć tutaj geologów, geodetów i kogo tam jeszcze chcesz, ale wątpię, żeby odkryli coś niepokojącego. O jako-takiej klasycznej podróży w czasie także nie ma mowy. Teraz możemy przyjrzeć się dokładniej samochodom i przedmiotom, o których tyle mi mówiłeś.

- A więc jedziemy na komendę - zarządził trochę rozczarowany Bleschke. - Spodziewałem się, że odkryjemy tutaj jakieś wrota do przeszłości lub przyszłości, dzięki którym mógłbym załatwić kilka starych spraw.

- Takie wrota nie istnieją na naszej ziemi - zaśmiał się Tichy i dodał: - A stąd do najbliższej czarnej dziury jest bardzo daleko.

Bleschke słuchał kolegi otwierając drzwi auta, kiedy nagle poczuł ogromny ból w piersiach i zaczęło mu brakować powietrza. Czuł, że zaraz zemdleje, więc oparł się o samochód. Przypomniały mu się

słowa kardiologa podczas ostatniej wizyty, gdy nakazywał, by w takich chwilach nie wpadać w panikę i głęboko oddychać, próbując kaszleć. Zastosował się więc do zaleceń lekarza, ale duszności nie ustępowały. Poczuł, jak trzęsą mu się policzki, a ból narasta.

- Martin, co ci jest? - usłyszał łapiąc za klamkę. Jednocześnie kątem oka zauważył kogoś idącego środkiem drogi. Postać ta szła w jego stronę i kiedy znalazła się około dziesięciu metrów od niego, zatrzymała się. Bleschke przyglądał się jej z przeświadczeniem, że gdzieś już widział tego człowieka, który teraz wzywał go do siebie zapraszającym gestem. Zobaczył jeszcze, jak Tichy biegnie w jego kierunku okrążając od tyłu samochód i ruszył do stojącego młodego mężczyzny. Kiedy podszedł, tamten powiedział:

- Nie poznajesz mnie, Martin.

Porucznik zamarł. Teraz przypomniał sobie zdjęcia na dokumentach wyjętych z rozbitych samochodów. Przed nim stał, niewątpliwie żywy, Manfred Zauski i mówił do niego. Owładnęło nim uczucie tak dziwne, że nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Przed oczami miał Zauskiego, w jednym kawałku, a oczami wyobraźni widział jego zmasakrowane zwłoki. Nie był przerażony, był zdziwiony, zaskoczony faktem, że stoi przed nim denat. Wiedział tylko, że stało się coś, czego nie rozumie.

- Już czas, Martin. Zostaw tamtą sprawę, nie jest ona dla śmiertelnych - mówił powoli Zauski. - Twoja matka czeka, a ona tak pięknie gra Mozarta.

Na te słowa Martin zamarł, pomyślał, że może śni jeszcze dalszą część nocnego koszmaru, że sen jeszcze się nie skończył. Patrzył w spokojne oczy Manfreda przypominając sobie wszystko to, co spotkało go od rana. Było to zbyt realne, aby mogło być snem. Pomyślał, że jeśli się odwróci i za nim nie będzie samochodu i jego kolegi, to szybko postara się obudzić, bo zaczynał go ogarniać przeraźliwy strach. Zamknął oczy i okręcił się na pięcie, powoli otworzył oczy, ale to, co tam zobaczył przeraziło go tak, że nagle na karku poczuł zimny pot. Obok auta jego kolega, Ijon, klęczał nad

kimś. Uciskał rytmicznie klatkę piersiową leżącego. Martin podszedł bliżej na trzęsących się nogach i przeczuwając już, kogo zobaczy, spojrzął przez ramię Tichego w martwe oczy na przerażonej twarzy patrzące gdzieś wysoko, w zachmurzone niebo.

ZIELONY SŁOŃ

Promienie słońca przebijały się poprzez paździenikowe, złote liście tworząc na ścianie pokoju barwne plamy. Falująca na lekkim wietrze firanka rzucała dodatkowo cienie, które idealnie z nimi harmonizowały nadając obrazowi akcji. Siedzący naprzeciw mężczyzna przyglądał się temu spektaklowi światła i cienia z wyraźnym podziwem. Każdy mięsień na jego twarzy reagował na zmiany zachodzące na tej pionowej scenie. Wodził oczami za powstałym w ten sposób wielobarwnym witrażem, który z minuty na minutę rozjaśniał się za sprawą wychodzącego znad drzew słońca. Fascynacja szybko jednak minęła, a blada twarz mężczyzny pokrywała się coraz to większym przygnębieniem. Posklejane włosy opadały na połowę twarzy zakrywając okulary w grubych oprawkach, spod których zaczęły cieknąć łzy. Drżące dłonie zbliżały się do twarzy, która otwierała się w niemym krzyku, kiedy do pokoju weszła kobieta w szlafroku. Wodziła wzrokiem za kaptami, nie patrząc na mężczyznę.

- Zimno tutaj - rzuciła zaspanym głosem.

Mężczyzna obrócił się na krześle w stronę mahoniowego biurka stojącego pod oknem i utkwivszy wzrok w ekranie laptopa milczał chwilę, próbując zmienić panujący na jego twarzy nastrój na weselszy.

- Nie zauważyłem - odpowiedział. Zamaszystym ruchem kliknął myszką leżącą obok laptopa i zamknąwszy go dodał znacznie

weselszym głosem: - Skończyłem. Tak, jak ci obiecałem, teraz już możemy lecieć do twoich rodziców.

- Cieszę się - odparła sennym głosem kobieta, otulając się rękoma. - Pisałeś całą noc?

- Calutką. Dobre pomysły trzeba zapisywać od razu, żeby nie uleciały.

- No to weź tabletki i połóż się spać.

- A może chcesz przeczytać? To jest zupełnie inne opowiadanie od tych, które pisałem wcześniej.

- A o czym?

- O człowieku, który nagle odkrywa, że całe jego życie to jedna wielka mistyfikacja, a on jest tylko nieświadomą marionetką - gdy to mówił, głos mu zadrżał na chwilę. - Resztę doczytaj sama.

- Teraz? - zapytała, a mężczyzna kiwnął przytakująco głową.

- Jest za wcześnie.

- To zaledwie siedem stron, przeczytasz w wannie, a gdy wstanę, powiesz mi, co o tym sądzisz - mówiąc to puścił do niej oko, wykrzywając przy tym gęsto pokrytą zmarszczkami twarz.

Zarówno ten gest, tak niepasujący do ogólnego wyglądu mężczyzny, jak i pomysł czytania opowiadania, lekko zmieszały kobietę. Wynikiem skonfundowania był krótki błysk w jej oczach, którym badawczo przyglądał się mąż. Kobieta jednak szybko zamazała go szerokim ziewnięciem. Powoli podeszła do niego i usiadłszy mu na kolanach pogładziła go po jednym z pidżamowych zielonych słoni na rękawie. W końcu powiedziała:

- Dobrze, zielony słoni, wydrukuj mi to. - Po czym wstała, pogłaskała jego siwe włosy i wyszła z pokoju.

Mężczyzna wstał, podszedł do okna i szybkim pchnięciem otworzył lekko uchylone okiennice. Zimne, październikowe powietrze czekające za oknem wdarło się z całą mocą, ominęło mężczyznę i zalało i tak wychłodzony już pokój, skąpany w słonecznym świetle. Drukarka zaczęła piszczeć, żeby po chwili wyrzucić z siebie siedem zapełnionych drobnymi literami kartek papieru. Przejechały one po

śliskim blacie biurka i pofalowały niezauważone na podłogę. Mężczyzna stał i na wpół otwartymi oczyma wpatrywał się w drzewa rosnące na końcu podwórka, w słońce unoszące się nad nimi i w kolorowe, porywane przez wiatr liście, które zrywały się w powietrze niczym stado głodnych gawronów ruszających na żer. Zamknął oczy i właśnie wyobraził sobie, że jest jednym z nich, że pomału faluje unoszony przez wiatr, a słońce przyjemnie grzeje jego liściastą strukturę, kiedy jeden z liści musnął go po policzku, potem po dłoni, żeby wreszcie wylądować na kartach papieru przy jego bosych stopach.

Mężczyzna nie otwierając oczu schylił się, namacał dłonią liść i już wyprostowany pogładził jego delikatną powierzchnię po szorstkim policzku. Następnie łagodnie dotykał ust, zachłannie wciągając cały jego zapach. Uczucie dotyku połączone z zapachem liścia przywołały jakieś bliżej niesprecyzowane wspomnienie, które kołatało się gdzieś zamknięte w okowach podświadomości. Mężczyzna z całych sił próbował nadać wspomnieniu kształtów, szkicując w myślach pasujące do zapachu, zapisane gdzieś głęboko ślady. Wszystkie one jednak nie przypominały jego własnych przeżyć, jak gdyby mężczyzna grzebał w cudzych myślach albo tworzył pożądane konfabulacje.

Na czole wystąpił mu pot, który owiany chłodnym powietrzem otrzeźwił go.

Z trudem otworzył oczy akurat w momencie, w którym kilka liści niesionych wiatrem wpadło do pokoju i po raz kolejny omijając stojącą postać, wylądowało gdzieś na podłodze. Chłodny dreszcz wstrząsnął jego wątłym ciałem. Zamknął okno i schylił się, by poszukać opadłych liści, lecz ku swojemu zdziwieniu znalazł tylko siedem zadrukowanych kartek. Przeszukał dokładnie podłogę, ale po liściach nie było śladu. Usiadł przyglądając się kartkom. Było to jego opowiadanie, a nie, jak przelotnie pomyślał, liście zamienione w kartki papieru. Przeczytał jeszcze raz ostatnią stronę i zadumał się. Zarówno pomysł, jak i język, jakim było napisane, nie pasowały do

niego, a czytając je teraz miał wrażenie, że nie on je napisał. Znowu pomyślał, że właśnie coś spadło z nieba zesłane przez jakąś istotę, która kontrolowała jego życie, tak jak on kontrolował życie bohaterów swoich opowiadań. Migająca dioda na zamkniętym laptopie uzmysłowiła mu, że oto ma przecież dowód na to, że on jest jednak autorem tego opowiadania. Szybko otworzył go i wcisnął przycisk włączający, po chwili na ekranie pojawiła się stara chata na leśnej polanie tworząca tło pulpitu. Najechał kursorem na ikonę „opowiadania” i zawahał się.

A co, gdy tam nie będzie tego opowiadania? Co wtedy zrobi? Czy będzie to świadczyło o tym, że on tego nie napisał? Czy może o tym, że traci zmysły i dopada go obłąd, którego tak bardzo się boi? Kliknął na ikonę i nie czekając, aż folder z opowiadaniem się otworzy, wstał i odwróciwszy się od biurka ruszył w stronę łazienki, gdzie kąpała się jego żona. Za jego plecami, na ekranie monitora, pokazało się okno z kilkoma opowiadaniem, wśród nich nie było jednak tego, które niósł w drżącej dłoni.

A gdyby tak opowiadanie okazało się prawdą, gdyby całe moje dotychczasowe życie było tylko czyjąś sprytną konfabulacją, na którą nie miałbym żadnego wpływu? – pomyślał idąc powoli długim korytarzem. Jego myśli błędziły gdzieś daleko, usilnie dążąc do jakiejś wymagowanej, bliżej nie sprecyzowanej idylli. Widział ją jak za mgłą, którą próbował rozwiać nadając obrazowi ostrości. Ale ilekroć starał się to zrobić, mgła stawała się coraz gęstsza, wyrzucając go do obecnej rzeczywistości. To znaczy do tej, w której miał nadzieję, że naprawdę się znajduje. Jednocześnie starał się odnaleźć w rzeczywistości z opowiadania. Szedł pomału, niczym pijany, miotając się pomiędzy powstałymi w jego świadomości, a może podświadomości, światami. Patrzył na ściany tak, jakby nie były jego ścianami, próbując zahaczyć się gdzieś w rozplywającej się idylli, do której dążył. Wyrzucony znowu na chodnik w korytarzu zatrzymał się i patrząc na białe stopy dotykające progu drzwi od łazienki myślał już

tylko o jednym: spisek, konfabulacja, manipulacja. Zaistniały paroksyzm popchnął go wprost w ogarniający go bezmiar defetyzmu.

Podjeżdżając żonę o spisek, którego niewątpliwie musiała być częścią, wszedł do zaparowanej łazienki. Usiadł na brzegu wanny i wpatrując się jej w oczy wręczył bez słowa siedem jednostronnie zadrukowanych kartek.

- Przeczytam - powiedziała z wymuszonym uśmiechem i zerkając na tytuł - „Zielony słoń”, dodała: - Idź, połóż się spać, wyglądasz nie najlepiej. Obudzę cię na obiad.

Mężczyzna ziewnął udając senność, zamoczył dłonie w gorącej wodzie i wpatrując się w powstałe na powierzchni wody wirki powiedział ni stąd, ni zowąd:

- Właśnie zdałem sobie sprawę... - zawahał się - że nie pamiętam, żebym pisał choćby jedno słowo z tego, co ci teraz dałem. A sam pomysł jest dziwnie osobistym, ale jakby nie moim tworem. Jak gdyby coś, co siedziało od dawna głęboko we mnie, nagle bez mojej wiedzy wyszło na zewnątrz. Ja czuję się w tym wszystkim jak bierny obserwator.

- Nie wiem, co tu wymyśliłeś - powiedziała potrząsając kartkami - w jaką mistyfikację wplątałeś bohatera, ale przeraża mnie to, co teraz mówisz i...

Chciała dodać coś jeszcze, ale mężczyzna przerwał jej stanowczym tonem:

- Tak. A ja myślę, że losy tego bohatera znasz dużo lepiej niż ja sam.

Zaśmiał się, wstał i ruszył przed siebie nie oglądając się.

- Porozmawiamy, gdy się obudzisz. Sen, jak widzę, dobrze ci zrobi - rzuciła za odchodzącym.

Mężczyzna jednak już tego nie usłyszał. Spuścił głowę i pomału, szurając nogami o wykładzinę, udał się do sypialni. Położył się na wygrzanej przez żonę pościeli i wpatrując się w sufit leżał nieruchomo. Próbował nie myśleć o niczym konkretnym, a już najbardziej nie o opowiadaniu i dziwnym przeświadczeniu, które

ogarniało go coraz bardziej, że główny bohater to on sam, a opowiadanie to jest próbą odgadnięcia spisku, który od jakiegoś czasu podejrzewał. Im bardziej jednak starał się sprowadzić swoje myśli na inne ścieżki, tym z coraz silniejszą mocą uderzało denerwujące go przekonanie. Wszystkie te mało istotne zdarzenia, zapadłe gdzieś głęboko w podświadomości, które na chwilę go zaintrygowały, tak niepasujące do rzeczywistości, a które zawsze zbywał brakiem czasu, teraz przedostawały się do świadomości i układały się w jedną przerażającą całość. Świadczyła ona o tym, że albo tracił zmysły i wymyślał sobie teorię spisku, albo rzeczywiście, zapisane gdzieś w podświadomości, nieistotne kiedyś fakty, tworzyły ją teraz, a jego mózg zaczął bez jego wiedzy rozwiązywać zagadkę. Z zawodu był matematykiem, ze szczególnym zamiłowaniem do probabilistyki, a z natury racjonalistą, zatem na wszystko potrzebował konkretnego dowodu opowiadającego się, w tym przypadku, za jednym z przypuszczeń. Starał się odszukać w pamięci coś, co by mu w tym pomogło. Musiał się skupić, co nie przychodziło mu łatwo. Nieprzespana noc dawała o sobie znać nie tyle sennością, co brakiem koncentracji. Wszystkie bowiem nurtujące go myśli uderzały do świadomości w tej samej chwili.

Mozart! – pomyślał nagle. Muzyka Mozarta zawsze pomagała mu w skupieniu. Nie odrywając wzroku od sufitu sięgnął ręką do szafki, na której wymacał pilot od wieży i przypadkiem telefon komórkowy. Oba przedmioty zabrał. Włączył muzykę, a w chwili, w której usłyszał pierwsze takty Requiem d-moll, odrzucił pilot. Muzyka, tak bardzo pasująca do stanu jego umysłu, zaczęła delikatnie uporządkowywać rozbiegane myśli. Wsłuchiwał się w łagodny kobiecy głos jednocześnie próbując przypomnieć sobie szczegóły jakiegoś zaistniałego zdarzenia, które miało świadczyć o spisku, o tym, że rzeczywistość, w której żył, była sfabrykowana. W takt muzyki przelatywały mu przed oczyma dziwne zachowania żony, urywane rozmowy telefoniczne, w taki sposób, jakby zdarzenia tańczyły diabelski taniec w rytmie requiem. Przypominał sobie, że podejrzewał

ją o zdradę, ale może nie zdrada była powodem częstych wyjazdów, rzekomo promujących jego książki. Może właśnie tworzenie jego rzeczywistości tak ją pochłaniało, może właśnie to było jej prawdziwym zajęciem? Przecież nawet nie pamiętał dobrze sytuacji, w której się poznali. Zastanowił go ten fakt. Czyżby było to zdarzenie tak banalne, że nie przywiązał do niego żadnej wagi? Ludzie z reguły pamiętają takie rzeczy. On nie pamiętał. Zdał sobie sprawę, że jego pamięć pokryta jest szeregiem takich czarnych dziur, które zdawało mu się, wchłaniają przyległe do siebie pokłady wspomnień w sposób coraz to bardziej ekspansywny. Nie były to jakieś mniej znaczące zdarzenia, ale ważne. Takie, które powinno się pamiętać. W ogóle cała przeszłość rysowała mu się w szarych, zamglonych kolorach, jakby oglądał abstrakcyjny impresjonizm. Ale jeśli potrafił sam stwierdzić, że jego mózg nie pracuje poprawnie, to nie mógł przecież być do końca obłąkany. Chyba, że proces ten dopiero się zaczynał, a jego domniemana choroba umysłowa postępowała. A więc obłąd czy spisek? Może jednak choroba, która w ostatnim czasie znacznie się nasiliła? Jego myśli lawirowały między jednym a drugim aksjomatem sinusoidalnie, opowiadając się raz za jednym, raz za drugim. Mężczyzna zaczął być świadomy powstałej sinusoidy, a jego mózg zaczął analizować ją jako zwykły wykres funkcji matematycznej. Sinus zmieniał się w cosinus, a cosinus w sinus, co zaczęło przypominać obraz z regulowanego drżącymi palcami oscyloskopu. Widział palce prawej ręki na pokrętle, w lewej natomiast coś trzymał. Obraz był jeszcze zamglony, ale gdy ręka zbliżała się do ust, zobaczył w niej białą tabletkę. Zdał sobie sprawę, że zarówno dłoń manipulująca oscyloskopem, jak i ta z tabletką nie są jego, za to obraz na monitorze to wizualizacja jego fal mózgowych, które ktoś bezczelnie i wbrew jego woli zmieniał wedle własnego widzimisię. Wywołało to w nim gniew tak silny, że aż namacalny, umiejscowiony w pokrętle i w tabletkę. Nie spodziewał się, że jest do niego zdolny. Ów gniew zaczął wywoływać zmiany na sinusoidzie wyraźnie ją deformując, na co palce na pokrętle zaczęły nerwowo szukać optymalnej linii. Czuł,

jak jego konformizm, którego był niewolnikiem, zaczął przeistaczać się w nonkonformizm. Widoczne to było na oscyloskopie poprzez wyraźne przekroczenie ekstremum zaistniałej funkcji, by osiągnąć zamierzony antykonformizm, by stać się wreszcie twórcą wykresu funkcji własnych fal mózgowych i doprowadzić je do postaci stykających się parabol, na które drżące palce na pokrętle nie miały już żadnego wpływu. Nagle trzymany w ręku telefon komórkowy wydał z siebie przeciągły, pojedynczy sygnał, sprowadzający mężczyznę z powrotem na łóżko.

Dźwignął się na łokciach, drżącą ręką otarł czoło i pomasował skronie. Na wyświetlaczu telefonu migiała koperta informująca o odebranej wiadomości. Był to telefon żony, wziął go do ręki walcząc z chwilowym poczuciem winy. Usprawiedliwił się jednak dobrem śledztwa, do którego pchała go wewnętrzna walka toczona z nieznanym jeszcze przeciwnikiem. Przeczytał informację:

„Jeśli bierze leki, to na pewno nie.”

Sprawdził nadawcę. Ojciec. A więc mój teść jest w to zamieszany – pomyślał. Jeszcze raz przeczytał wiadomość, następnie sprawdził, czy są jakieś inne, ale była to jedyna dostępna informacja. Przypomniał sobie drżącą dłoń trzymającą białą tabletkę. Była to ta sama tabletkę, którą żona podawała mu dwa razy dziennie na rzekome zbyt wysokie ciśnienie. Jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, że jego dziwny stan trwa od momentu, w którym przestał brać leki. Nie wiedział wtedy, dlaczego tak robi, dlaczego wyrzuca je do sedesu i dlaczego ukrywa to przed żoną. Teraz był tym zaskoczony, nie potrafił sobie przypomnieć, co go skłoniło do takiego irracjonalnego zachowania. Czyżby jego wewnętrzne „ja” domyślało się spisku i próbowało walczyć za jego plecami? Czyżby tabletkę i sms pasowały do siebie rozwiewając wszystkie wątpliwości? A może są tylko wytworem jego coraz bardziej chorej wyobraźni? Czy jednak jest królikiem doświadczalnym w rękach swojej żony i teścia, który może nie jest prawdziwym ojcem jego żony? Czyżby żona podawała mu jakieś leki zmieniające psychikę? Może po ich odrzuceniu jego

umysł zaczynał normalnie pracować? Normalnie dla niego, a nienormalnie dla żony. Czy tylko dla niej, czy także nienormalnie dla społeczeństwa? Może jest chorym psychicznie pacjentem jakiegoś prywatnego sanatorium o eksperymentalnym trybie leczenia?

Sam nie wiedział, kiedy zaczął wystukiwać na klawiaturze telefonu zapytanie:

„A jeśli przestał brać leki?” Wysłał wiadomość.

Leżał czekając na odpowiedź i zastanawiał się, w którym momencie wpadł na pomysł wysłania wiadomości o takiej właśnie treści, kiedy do pokoju weszła żona opatulona szlafrokiem i z zawiniętym na głowie ręcznikiem. Szybkim ruchem schował telefon pod kołdrę.

- Przeczytałam twoje opowiadanie - powiedziała delikatnym głosem.

- No i... - odparł tak, jakby nie chciał słuchać odpowiedzi, bądź się jej domyślał.

- Opowiadanie jest dobre - odpowiedziała. - Ale nie wiem, dlaczego tak bardzo próbujesz utożsamić się z głównym bohaterem. Czy ty naprawdę sądzisz, że ja mogłabym brać udział w czymś takim i to przeciwko tobie?

- Coraz bardziej jestem tego pewien - odrzekł uśmiechając się.

- A ja myślę, że popadłeś w jakąś paranoję przez tę nieprzespaną noc. Weź tabletkę i prześpij się. Gdy wstaniesz wypoczęty, na pewno będziesz się z tego śmiał - w momencie, w którym kończyła zdanie telefon ukryty pod kołdrę wydał z siebie przeciągły dźwięk przychodzącej wiadomości.

- To mój telefon? - zapytała z wyraźnym przestraszonym głosem.

- Zastanawia mnie, dlaczego nie ma w nim żadnej wiadomości - powiedział wyjmując telefon.

- Masz coś do ukrycia? - spytał podając jej aparat, który ponownie zasygnalizował odbiór smsa.

- Pogadamy, gdy się wyśpisz. Proszę, weź tabletkę i idź spać.

- Nie jesteś ciekawa otrzymanych wiadomości? Przeczytaj, a potem porozmawiamy, ja nie jestem senny. Wprost przeciwnie, jestem nad wyraz pobudzony - mówiąc to mężczyzna usiadł na łóżku i wyłączył muzykę.

- Niech i tak będzie - odrzekła otwierając wiadomości.

Na chwilę w sypialni zaległa cisza. Mężczyzna z ironicznym uśmiechem patrzył w twarz kobiety. Patrzył w sposób, który jego samego zaczął dziwić. Przeształ bowiem widzieć jej twarz, którą zaczęły zastępować ciągi coraz to bardziej ostrych liczb zachodzących na siebie na tle zarysu głowy. Liczby zaczęły układać się w równania funkcji, a te - w jej wykresy. Począwszy od funkcji liniowej poprzez jej całość, potem całość powstałej paraboli i tak do coraz to bardziej skomplikowanych równań funkcji, których całki obliczał w pamięci i kreślił ich wykresy z zaskakującą dokładnością. Zaczęło go to przerażać, bo zwykle do obliczenia obecnej całki potrzebowałby zapisania całej stronicy, a tymczasem coraz to trudniejsze wykresy zmieniały się w szybszym i szybszym tempie. Twarz obróciła się w jego stronę i wraz z całą zawartą w niej matematyką przybliżyła do jego twarzy, usta zaczęły otwierać się i zamykać. Lecz on nie słyszał wypowiedzianych przez kobietę słów, widział tylko zmieniające się funkcje, które zaczęły się uwypuklać i przechodzić w coraz to bardziej skomplikowane figury geometryczne, zajmujące teraz już całą pochyloną nad nim postać. Próbował przebić się wzrokiem poprzez trójwymiarowe kształty i ich cyfrowe odpowiedniki, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że obliczenia, które dokonują się, za chwilę zostaną ukończone, a wynik zdefiniuje się w majaczącej się przed nim osobie. Rozwiązaniu zaczął towarzyszyć narastający szum, a w momencie, w którym cała powstała siatka zmaterializowała się w klęczącą przy nim kobietę, głowę przeszył huk, po którym natychmiast wróciła świadomość. Siedział z otwartymi ustami, palce dłoni wczepione miał silnie w brzeg łóżka. Poczł ukucie w okolicy barku i usłyszał głos żony, dochodzący z bardzo daleka:

- To dla twojego dobra...

Patrzył w jej twarz i powoli, jak gdyby w zwolnionym tempie, zaczął osuwać się na podłogę. Wyciągnął ręce do żony, ale ta odsunęła się. Leżał teraz bez ruchu na podłodze, a nad nim stała zupełnie naga kobieta, trzymająca w ręce strzykawkę z igłą. Patrzył, teraz już całkiem spokojny, w jej twarz, a głowa zaczęła mu opadać i z za coraz gęstszej mgły dostrzegał: szyję, biust, brzuch, łono, uda, kolana, ale zakryte materiałem, białe, zaprasowane dokładnie w kant spodnie, białe chodaki, niebieskie kafelki poprzecinane białą fugą.

Podniósł wzrok i ujrzał stojącego nad nim mężczyznę. Mężczyzna uśmiechał się delikatnie klepiąc go w policzek.

- Obudź się - usłyszał wyraźnie szeptane do ucha słowa.

- Co się stało? - zapytał.

- Musiałem cię obudzić, twój sen przeszedł w fazę koszmaru, przynajmniej tak to wyglądało na wykresach. To ty mi powiedz, co się działo.

Mężczyzna namacał dźwignię z boku łóżka i za jej pomocą podniósł oparcie. Poprawił plaster przytrzymujący tkwiącą w żyłę igłę zaopatrującą organizm w potrzebne do życia substancje i odrzekł:

- Chyba miałem już dość tamtego życia.

Stojący nad nim zaśmiał się.

- I co teraz? - zainteresował się, przerywając śmiech.

- To, co zwykle. Wymyślimy inne - odparł leżący, głaszcząc jednego z zielonych słoni na swojej pidżamie. Po chwili namysłu dodał: - Mam już pewien koncept.

- To już nie chcesz być poczytnym pisarzem? - zapytał mężczyzna w lekarskim kitlu, wyraźnie rozbawiony.

- Ile to trwało tym razem? - odpowiedział pytaniem.

- Jutro minąłby miesiąc i sam bym cię ściągnął. Tak, jak ustaliliśmy.

SETER IRLANDZKI

- Oczywiście zabierasz ze sobą psa? - powiedziała Wanda przyglądając się w lustrze właśnie ułożonym włosom.

- No chyba żartujesz - odparł Waldek i po chwili dodał: - Ty go weź, dziewczyny się ucieszą. - Obydwoje musieli mówić podniesionymi głosami, na drodze fal dźwiękowych stały bowiem drzwi od łazienki.

- Teraz to ty żartujesz, przecież my idziemy do lokalu, nie można tam wprowadzać psów. Ty i twoi wspaniali koledzy będziecie grillować chyba na dworze? - odparła Wanda z nieukrywanym sarkazmem. - Pies nie będzie wam przeszkadzał. A tak na marginesie, przecież to twój pies. Już nie pamiętasz, jak przy kupnie zarzekałeś się, że to ty będziesz się nim opiekował?

Waldek rzeczywiście przy okazji sprzedaży samochodu na giełdzie uparł się, że kupi sobie tego psa. Spodobał się mu od razu i pomimo sprzeciwu Wandy zrobił to. Niestety, nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki charakter ma pies myśliwski, a był on niestety całkowitym przeciwieństwem Waldka. Waldek był otyłym, ociężałym i powolnym leniuchem, a pies natomiast diabłem wcielonym w psią skórę. Już po kilku dniach miał serdecznie dość ciągłej za nim gonitwy i tylko wstyd przed Wandą nie pozwalał mu na oddanie psa w szybsze ręce.

- A może by tak zostawić go w domu? - powiedział Waldek. - Pobawi się z twoim kotkiem.

- Nic ci się nie stanie, jak weźmiesz go z sobą. Niech się wybiega, dobrze mu to zrobi. No chyba, że go zjecie po pijaku?

- Raczej nie planujemy grillować psa. Co innego, gdybyśmy mieli kotka...

- Bardzo śmieszne.

- Wychodź już z tej łazienki! - wrzasnął Waldek. - Właśnie Lucek podjechał.

Po chwili zadzwonił dzwonek i w drzwiach stanął Lucek.

- Cześć Waldziu! - krzyknął od progu. - A gdzie Wandzia?

- Od pół godziny niezmiennie w łazience - odparł lekko zdenerwowanym głosem Waldek, kiedy drzwi łazienki otworzyły się i stanęła w nich Wanda.

- No witam pana, panie Lucjanie - rzekła blokując wejście Waldkowi.

- Witam piękną damę - odparł Lucek szarmanckim głosem.

- Nie wygłupiaj się - warknął Waldek odsuwając Wandę.

Wanda uskoczyła w bok, przywitała się szybkim buziakiem z Luckiem, porwała walizkę z przedpokoju i wychodząc z mieszkania rzuciła:

- Tylko nie spijcie mi go tak, jak ostatnio.

- Nie ma obawy - odpowiedział już nieco mniej szarmancko Lucek. - Dzisiaj pijemy kontrolnie.

- Jak zawsze. - Uśmiechnęła się Wanda i wyszła.

Po chwili z łazienki wyszedł Waldek, zabrał z lodówki karton piwa, podszedł do Lucka i obróciwszy go bez słowa wskazał drzwi. Kiedy zamykał je, usłyszeli szczekanie psa dochodzące z drugiej strony budynku.

- No tak, jeszcze tylko pies i możemy jechać - powiedział Waldek.

- Tylko mi nie mów, że chcesz go wsadzić do mojego samochodu - powiedział Lucek.

- Nie będę go wsadzał, sam wejdzie.

Jak tylko Waldek trzasnął drzwiami, rudy seter irlandzki wyskoczył z za domu i merdając ogonem biegał dookoła ich nóg szczekając, wyraźnie podekscytowany.

- Nie no, ten pies jest szalony.

- Jest tylko młody - odparł Waldek głaszcząc psa po grzbiecie.

Kiedy byli już przy samochodzie Lucek rzekł:

- Pies jedzie w bagażniku.

- Nie żartuj stary, nie włożę psa do bagażnika, jeszcze mi się udusi.

- Bez obaw, to kombi, zdejmujemy półkę i pies będzie jechał oddychając tym samym powietrzem, co my.

Waldek wsadził psa do bagażnika i po chwili ruszyli zdzierając wierzchnią warstwę żwiru z szutrowej, osiedlowej drogi. Lucek jechał szybko, co objawiało się na każdym zakręcie piskiem opon i szczekaniem psa, który ledwo utrzymywał równowagę. Jak tylko przekroczyli granicę miasta, Waldek otworzył dwa piwa, jedno podał Luckowi mówiąc:

- Takiego spotkania dawno nie było, co? Wszyscy w komplecie.

- Ja bym zaryzykował stwierdzenie, że takiego spotkania nie było nigdy, odkąd skończyliśmy technikum.

- To fakt, nawet Parasol przyjechał na urlop ze Stanów - powiedział Waldek zapalając papierosa.

- Przypał i mi - powiedział Lucek skręcając z asfaltowej drogi w piaszczystą, biegnącą przez las. - Pojedziemy na skróty.

- Zatrzymaj się, wypuszczę psa, niech sobie pobiega.

Lucek ostro zahamował. Kiedy wysiedli z samochodu, wypuścił psa, a Waldek otworzył im po drugim piwie. Zanim ruszyli, zdążyli już je wypić, a pies zrobił około setki okrążeń wokół samochodu. Jechali pomału leśnym duktem, pies szczekając biegł za nimi.

- Ciekawe, ile pociągnie - powiedział Lucek patrząc we wsteczne lusterko, w którym co chwilę pojawiał się rudy ogon psa.

- W instrukcji obsługi napisane było, że czterdzieści kilometrów na godzinę - zaśmiał się Waldek.

- No to sprawdzimy, a jak się popsuje, to będziesz reklamował.

- Nie przyjmują zwrotów, także nie przesadź.

Lucek pomału dodawał gazu, aż biegnący za nimi pies zaczął skomleć. Licznik pokazywał pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Niezły jest - powiedział z zachwytem w głosie Lucek.

- Zwolnij już. Jedź wolno, niech złapie oddech, ale nie zaprosimy go do środka. Jak teraz się wybiega, to na grillu będzie spokojniejszy.

Wyjechali z lasu i kiedy w oddali było widać dachy pierwszych domków, przed samochodem przemknął zając. Jak tylko pies go zobaczył, pomknął za nim przez pole. Kiedy Waldek wyskoczył z samochodu, pies właśnie wbiegał za zającem w niski młodnik głośno skowycząc. Waldek ruszył za nimi, ale szybkość, z jaką poruszał się pies była dla niego nieosiągalna. Słyszał tylko coraz cichsze jego ujadanie.

- Mówiłem, że jest szalony - odezwał się za plecami Waldka Lucek.

- To pies myśliwski - odparł Waldek, kiedy z pobliskiego lasu dochodziły już tylko śpiewy ptaków.

- Co robimy?

- Poczekamy, może wróci - odparł Waldek sięgając do samochodu po kolejne dwa piwa.

Wysączyli po piwie, ale pies nie wrócił. Wypalili po papierosie, ale i to nie przywołało psa z powrotem.

- Chyba czas na nas - powiedział Lucek patrząc na zegarek.

- Dobra, Lucek. Ty jedź, ja pójdę piechotą. W końcu to pies myśliwski, powinien iść za tropem.

- Jak chcesz, do domu Bazyla już niedaleko, za pół godzinki dojdiesz. Ja tymczasem pojedę i przygotuję chłopaków na twoje przybycie - zaśmiał się Lucek.

Waldek usłyszawszy słowa „pół godzinki” przeklął w duchu psa, podciągnął spodnie i ruszył w stronę wioski zapalając kolejnego papierosa. Po kilku zaledwie krokach stwierdził, że to nie był dobry pomysł i nie wysilił się na nawet jedno zawołanie czworonoga, któremu w duchu życzył, żeby już nigdy go nie znalazł. Szybko doszedł do wniosku, że churchillowski styl życia pasuje do niego dużo lepiej.

Heniek właśnie brał prysznic, kiedy pod bramę jego domu zajechał stary dostawczy ford z rechoczącym silnikiem diesla. Szybko się wytarł i zarzuciwszy na siebie szlafrok wybiegł przed dom. Krzyknął na dwa ogromne, czarne rottweilery rzucające się na bramę, a psy natychmiast odstąpiły od bramy i pobiegły do kojca. Heniek zamknąwszy je na okazałych rozmiarów skobel otworzył bramę. Stary ford wjechał na podwórze, silnik zgasł i wysiadło z niego dwóch chłopaków o długich blond włosach.

- Dzień dobry, panie Heńku! - zawołał jeden z nich, przekrzykując szczekanie psów.

- Buda, kundle - warknął Heniek w stronę kojca i psy wskoczyły posłusznie do dużej, blaszanej budy.

Długowłosi przywitali się z Heńkiem.

- Jak tam nasze kusze, panie Heniu, już gotowe?

- Dzisiaj skończyłem, przed godziną może - odparł Heniek i ruszył w stronę dużej szopy prowadząc gości.

Weszli do środka. Heniek zamknął drzwi i zapalił światło. Warsztat nie miał żadnego okna, a jedna goła żarówka dyndająca pod sufitem dawała zbyt mało światła. Panujący tu półmrok, połączony z zapachem drewna, zapewniał Heńkowi przyjemny, jak to on mawiał, klimat do pracy. Musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim oczy przyzwyczyły się do takiego oświetlenia.

- Siadajcie - odezwał się Heniek wskazując stół, na którym czekały już cztery duże kusze.

- Fachowa robota - powiedzieli razem długowłosi przyglądając się obracanym w rękach kuszom.

- A co z celnością i zasięgiem? - spytał jeden z nich.

Jeszcze z takich nie strzelaliście.

- Można wypróbować?

- Na dworze - odparł Heniek i wyszedł na podwórze.

Jeden z długowłosych za pomocą korby napiął cięciwę kuszy, a Heniek podał mu wysuszony leszczynowy patyk.

- Tym mam strzelać? - zdziwił się długowłosa.

- Wyceluj i strzelaj, zamiast gadać, mój ty wikingu - pouczył go akcentując ironicznie ostatni wyraz. Odtwórstwo historyczne uważał bowiem za dziecinne wygłupy.

Wiking wycelował w blaszaną budę i zanim Heniek zdążył krzyknąć, wypuścił strzałę. Ku zdziwieniu długowłosych patyk przebił z łatwością ścianę budy i zniknął w niej. Z jej środka wyskoczył jak oparzony jeden z psów. Skowycząc, skoczył na siatkę kojca, po czym martwy opadł na ziemię. Za nim wyskoczył drugi z psów ze sterczącym z tylnej nogi patykiem.

- O kurwa! - wrzasnął Heniek i ruszył w stronę kojca. - Zabiłeś mi psa, ty pojebany wikingu!

- Skąd miałem wiedzieć, że ma taką siłę? - odparł po cichu, z przerażeniem w głosie, strzelający.

Heniek otworzył kojec, pies z patykiem w nodze ruszył w stronę przestraszonych chłopaków. Ganiał ich po podwórku do momentu, aż wskoczyli na bramę, po czym pomału, kulejąc, podszedł do Heńka i położył się przy jego nogach. Heniek podszedł do martwego psa, wyniósł go z kojca i powoli zaniósł za szopę. Wrócił, nachylił się nad drugim i szybkim ruchem ręki wyciągnął patyk z nogi psa. Ten zawył i powłóczęc nogą wszedł z powrotem do budy. Heniek zamknął kojec i dopiero teraz zorientował się, że rozwiązał mu się pasek od szlafroka i stoi na podwórku praktycznie goły. Poprawił odzienie i podszedłszy do bramy rzekł spokojnie:

- Teraz jesteście mi winni za cztery kusze, jednego psa i jedną wizytę u weterynarza.

- Jasne, stary - odparł chłopak, który strzelał do psa, schodząc z bramy. - Przepraszam - dodał zażenowany.

Weszli z powrotem do warsztatu.

- No i co? - rzekł Heniek. - Dobra kusza?

- Aż za dobra.

- Czy ona może przebić zbroję z blachy?

- Jeśli użyjecie bełta z kutym ostrzem, to na pewno.

- Czyli na nasze potyczki jest zbyt niebezpieczna.

- Ale macie, kurwa, hobby, chłopcy - powiedział Heniek.

- Czymś trzeba się interesować - odparł wiking. - A pan, panie Heniu? Co pana kręci?

- Mnie? - pomyślał Heniek i po chwili namysłu dodał: - Horrorzy i dobra marihuana.

- Zajebiste zainteresowania - podsumował drugi wiking.

Heniek usiadł przy stole, wyjął z szuflady papier, ołówek i zaczął coś pisać. Kiedy skończył, podał kartkę jednemu z wikingów.

- Dwa tysiące dwieście złotych, troszkę drogo.

- Cztery za jedną kuszę, pięćset za psa i sto weterynarz - co daje dwa dwieście.

Chłopak wyjął zwitek banknotów z wewnętrznej kieszeni kurtki i odliczył dwadzieścia dwa banknoty. Podał je Heńkowi mówiąc:

- I tak się opłaca.

- Wiem - odparł Heniek otwierając drzwi. - Nie zapomnijcie o kuszach.

Opuszczając podwórko jeden z chłopaków zagadnął do drugiego:

- Widziałeś, jak szybko zapomniał o psie? Mówię ci, on nie jest normalny.

- Jakbyś palił tyle trawski, co on, też byś nie był - odparł drugi i po chwili zastanowienia dodał: - Masz szczęście, że nic ci nie zrobił, jak zastrzeleń tego kundla. O Heńku słyszałem różne dziwne rzeczy.

- Ale robi najlepsze kusze w tym kraju.

Samochód odjechał. Heniek wlaź na drabinę opartą na szopie i patrzył na sąsiednie podwórko, gdzie kilku młodych mężczyzn rozpalało ognisko. Przyglądał się im aż do momentu, kiedy przestał słyszeć pyrkoczący silnik forda. Potem zszedł ostrożnie z drabiny i wszedł do szopy zamykając za sobą drzwi. Podeszedł do przeciwległej ściany, przy której stała duża szafa. Otworzył ją i wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi szafy i otworzył kolejne, prowadzące do ukrytego pomieszczenia. Pomieszczenie to, także bez okien, było dobrze oświetlone, a jego wnętrze wypełniały rosnące wewnątrz zielone konopie indyjskie. Były tam zarówno drzewka sięgające sufitu,

jak i małe sadzonki w doniczkach. Heniek podszedł do jednego z tych dorodnych drzewek i zerwawszy suchą gałązkę z samej góry wrócił przez szafę do warsztatu. Wyjął z kieszeni firkę i nabił ją suchym zgniecionym kwiatem. Usiadł wygodnie i zapalił. Odczekał chwilę i pociągnął z firkę drugi raz, wciągając w płuca cały dym. Zamknął oczy i dopiero teraz przestał przejmować się przestrzelonym na wylot psem. Po kilku minutach zaczęło go to bardzo bawić. Najpierw zaczął się powstrzymywać, lecz wybuch niepohamowanego śmiechu przewrócił go razem z krzesłem na podłogę. Tarzał się rechocząc pod stołem. Kiedy zdołał się uspokoić, wstał, wsunął resztę trawy do kieszeni szlafroka i wyszedł na podwórze. Na dworze zmierzchało. Nie rechotał więc, jak mu się zdawało, kilka minut, ale dobrą godzinę. Wszedł po schodach na ganek, odwrócił się i patrząc na jasną lunę bijącą od ogniska, odlał się na podwórko.

Wyciągnął się wygodnie w starym, zniszczonym fotelu, włączył telewizor i porysowane video. Sięgnął z ławy, na której trzymał nogi, opakowanie od kasety. Oglądając okładkę nabił firkę. Zapalił zamykając oczy i wtedy poczuł mocne klepięcie w plecy. Szybko podniósł powieki i przez ułamek sekundy widział wilkołaka z okładki kasety wyskakującego przez zamknięte okno.

- Dobre trawsko - rzekł rozczulony.

W następnej chwili wraz z fotelem pędził w dół niczym na kolejce w wesołym miasteczku. Kiedy ponownie otworzył oczy kończyły się reklamy i zaczął się film. Wstał i nie spuszczać oczu z ekranu sięgnął butelkę samogonu z szafki i siadając pociągnął sporego łyka. Akcja filmu zaczęła pomалу nabierać tempa. Heniek także go nabierał. Łyk samogonu i porządny mach wypełniający całe płuca. Potem akcja naprawdę ruszyła z kopyta, a wraz z nią oszołomiony filmem, wodą i trawą Heniek. Na ekranie ktoś uciekał przez las, goniony przez wilkołaka. Pulsowanie w skroniach, duszno, otworzył okno. Ognisko. Znowu ekran, ktoś biegnie. Wilkołak, a może nie, może to on sam. Już nic nie wiedział. Krew, zęby. Rzeczywistość czy film? A może jedno i drugie naraz. I znowu pulsujące skronie, ciemno

przed oczami, krew, dużo krwi, czyjeś zęby, toporek. Już przestawał panować nad swoimi myślami. Zamknął oczy, ale i to nic nie dawało. Cała masa obrazów przesuwiała się pod powiekami. Gwiazdziste niebo, świecący księżyc. Jego prywatny, wyimaginowany horror toczył się gdzieś głęboko pod czaszką.

Kiedy się ocknął, w pokoju było kompletnie ciemno. Siedział w fotelu całkiem nagi, w głowie niewiarygodnie mu huczało, był zlany zimnym potem, a ręce aż po łokcie miał w jakiejś zastygłej, lepkiej cieczy. Na kolanach leżały kusza i toporek.

Waldek właśnie dochodził do płotu pierwszego zabudowania, kiedy za plecami usłyszał warkot motoru. Od razu rozpoznał ten dźwięk. Był to stary junak Parasola. Motor pomału zrównał się z nim i do jego uszu dobiegło znajome wołanie.

- Może podwieźć?

- A ty co, z Ameryki na junaku? - odkrzyknął Waldek.

- A ty na kopytkach aż z miasta Łodzi?

Waldek usiadł za Parasolem i poklepując go po kasku krzyknął:

- Dobrze cię znowu widzieć, stary! - A po cichu dodał: - Pies z miasta Łodzi pochodzi.

Kiedy dojeżdżali do podwórza, brama była już otwarta, a Bazyl z Luckiem stali po obu jej stronach zapraszając ich serdecznie.

- Już z daleka słyszeliśmy, że to twój junak! - krzyknął Lucek do Parasola schodzącego z motoru.

- Tyle lat, a dźwięk wciąż ten sam - powiedział Bazyl i dodał po chwili, kiedy Parasol zdjął z głowy kask w kształcie łupiny orzecha: - Tylko właściciel nam posiwał z tęsknoty za kumplami.

- Żebyś, kurwa, wiedział, że z tęsknoty - odparł Parasol z udawanym smutkiem, który natychmiast przerodził się w entuzjastyczny uśmiech.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, bo pozostała trójka rzuciła się na niego z szaleńczymi okrzykami. Tarzali się przez dłuższą chwilę po trawiastym podwórzu. Był to ich sposób powitania Parasola. Spontaniczne wyrażenie radości ze spotkania.

- No, wystarczy już - rzekł zdyszczanym głosem Waldek wstając z ziemi. - Czas na grilla, umieram z głodu.

Wszyscy pomału podnieśli się z ziemi, tylko Parasol leżał na wznak i wpatrywał się w niebo.

- Wiecie, ilekroć przyglądałem się niebu w Stanach myślałem o was i o naszych wygłupach w młodości. To były czasy, co?

- Były - rzekł Bazyl podając rękę Parasolowi i dźwigając go z ziemi, dodał: - Zawsze byłeś sentymentalny.

- Dobra, kochasie - rzekł Waldek. - Ja naprawdę jestem głodny, dawaj grilla, Bazyl.

- Ja nie mam grila - odparł Bazyl.

- Jak to nie masz? - powiedział zaskoczony Waldek. - Masz dom na wsi i nie masz grila?

- No przecież wiecie, że jestem wegetarianinem. Nie jem mięsa, co niby miałbym grilować? Marchew?

- No to pięknie! Lucek wziął z dziesięć kilo kiełbasy i kaszanki do wódeczki.

- Nie ma problemu - rzekł Lucek. - Rozpalimy ognisko.

- Ognisko to bardzo dobry pomysł! - podchwycił Parasol. - Bazyl, masz jeszcze gitarę?

Pewnie, że mam - odrzekł Bazyl. - No dobra. Waldek z Luckiem, idźcie po drewno, jest w szopie. Ja skoczę z Parasolem do domu po wódeczkę.

- Wódeczka swojska? - zapytał Parasol.

- Pierwszorzędny samogon - odparł Bazyl i wskakując Parasolowi na plecy krzyknął: - Kierunek: dom, Parasolku kochany!

- Ej, kochasie, bujajcie się z tą gorzałeczką, bo się pić chce! - krzyknął Lucek podążając za Waldkiem.

Kiedy Bazyl z Parasolem wrócili z samogonem, na środku podwórka stał już symetryczny stosik drewnienek. Waldek wkładał między drwa gazety, a Lucek wyjmował z samochodu prowiant.

- Nie mogę tego podpalić! - wrzasnął Waldek odpalając zapalniczkę za zapalniczką.

- Odsuń się - powiedział Bazyl i polał samogonem drwa. - Spróbuj teraz.

Waldek zapalił zapalną i przyłożywszy do drewna krzyknął:

- Ale wóda! Stary, skąd ją masz? Pali się jak spiryt!

- Produkcja made in sąsiad Heniek - odkrzyknął Bazyl wskazując palcem sąsiadujące z jego podwórkiem zabudowania, po czym pociągnął z butelki porządnego łyka. Skrzywił się, tupnął nogą i podał butelkę Parasolowi mówiąc:

- No, zobaczymy, czy jeszcze potrafisz pić po polsku.

Parasol wziął pełną do połowy butelkę samogonu i przechylił ją. Pił pomalutka, małymi łykami, a kiedy skończył, obrócił butelkę do góry dnem, lecz nic już z niej nie wyleciało.

- Ogóra! - wrzasnął i wrzucił butelkę w ogień. - Tak się pije na Alasce!

Wszyscy zawyli z zachwytem. Bazyl wyciągnął z torby następną i rzucił Luckowi. Ten zrobił dwa duże łyki i podał Waldkowi. Waldek pociągnął dwa jeszcze większe łyki i rzucił do Bazyla. Bazyl dokończył i druga butelka była pusta.

- Ale kolejka - powiedział Parasol. - Jak za dawnych, dobrych lat. Pamiętacie? Tak piliśmy za kinem przed każdą dyskoteką.

- No! - wrzasnął Lucek. - Inaczej nici z tańców.

- My nie tańciorzy, my jebaki! - wrzasnął Waldek wybuchając śmiechem.

Usiedli przy ognisku. Waldek wziął się od razu do opalania nadzianych na kije kiełbas. Nie mógłby ścierpieć, patrząc jak ktoś inny ślimaczy się przy tym zajęciu.

- Ja poproszę upieczony chlebuś - rzucił do niego Bazyl.

- Sam sobie piecz chleb nad ogniskiem, ja zajmuję się poważnym żarciem.

- No to opowiadaj Parasol, jak tam w Ameryce, co ty tam robisz na tej Alasce? - przerwał im Lucek.

- Ty już, Lucuś, dziabnięty jesteś - zauważył Bazyl.

- Myśmy już z Waldim zgrzewkę piwka wypili w lesie, jak tu jechaliśmy do ciebie.

- A co wy robiliście w lesie? - zapytał Parasol.

- Waldek psa trenował.

- To ty, Waldek, masz psa? - zapytał śmiejąc się Parasol. - Pudelek?

- Miałem - odparł Waldek. - Setera, ale za zajęcem poszedł i jeszcze nie wrócił.

- Myślisz, że wróci? - zapytał Bazyl. - Pewnie już dawno go tubylcy złapali, może jutro ktoś będzie miał go na sprzedanie.

- Zostawiłem mu wyraźny ślad do twego domu - rzekł Waldek. - Wróci.

- Mówił Lucek - powiedział Bazyl mocno rozbawiony. - Że idziesz na pieszo i sikasz co dwa kroki.

- A ja się zastanawiałem, dlaczego ty piechotką idziesz do Bazyla - powiedział Parasol.

- Zostawcie w spokoju to biedne zwierzę - przerwał Lucek. - No, mów, co robisz na Alasce, przecież nawet raz nie zadzwoniłeś, odkąd przeniosłeś się z Chicago.

- Jakbym zadzwonił, to nie miałbyś teraz o co zapytać, no nie?

- Oświecisz nas wreszcie? - naciskał Bazyl wyjmując kolejną butelkę samogonu.

- Wreszcie robię to, o czym od dawna myślałem. To, co od zawsze robiłem tutaj.

- Co? Po górach chodzisz?

- Dokładnie, jestem przewodnikiem górskim.

- No, brawo! Choć ty robisz to, co lubisz i jeszcze ci za to płacą! - powiedział Waldek i pociągnął łyk wódki.

- A ja, to co? - oburzył się Bazyl.

- Nie wiem jak można być z własnego wyboru rolnikiem, Bazyl - powiedział Lucek pociągając łyk.

- Lepiej być rolnikiem niż prawnikiem krwiopijcą, panie mecenasie - rzucił Bazyl w stronę Lucka.

- Każdy robi to, co lubi - przerwał im Waldek. - Albo to, co musi robić.

- Mówisz o sobie, Waldeczku?

- Dokładnie tak, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, którego sam do tej pory nie rozgryżłem, zostałem inżynierem automatykiem. Kurwa, przecież ja nie mam pojęcia o automatyce - zaśmiał się Waldek.

- Dlatego właśnie ja kupiłem ten dom i gospodarstwo, znudziło mnie ciągle przesiadywanie w biurze i wbijanie kumplom z pracy szpilek w dupę. Wyścig szczurów nie jest dla mnie.

- Mówisz tak, bo nie dawałeś sobie rady, jakbyś był na topie, tak jak ja, to siedziałbyś do dziś w kancelarii.

- Oj, Lucek, Lucek. To dzięki takim ludziom, jak ty, ten świat jest pełny krwiożerczych cymbałów, którzy wolą mieć niż być.

- Nie jestem krwiożerczym cymbałem, ja po prostu mocno stąпам po ziemi i w przeciwieństwie do ciebie wiem, czego chcę. Ale gdzieś po drodze pojechał ci się system wartości - powiedział Bazyl i chciał coś dodać, ale przerwał mu Parasol.

Tego mi brakowało najbardziej, kłótni Bazyla z Luckiem. Podaj butelkę, Lucek, wypiję wasze zdrowie.

Kiedy wypił, podał butelkę Bazylowi. Ten przechyliwszy ją, krzyknął:

- Zdrowie pana Heńka, twórcy tego pysznego trunku! - Zagryzł chrupiącym chlebem prosto z ogniska.

- Zdrowie! - zakrzyknęli wszyscy.

Czwartą butelczynę pili już nieco wolniej, przy piątej robili coraz to mniejsze łyki. Lucek był już nieźle pijany, a i Bazyl z Parasolem mieli dobrze w czubie. Tradycyjnie Lucek kłócił się z Bazylem, który każde słowo podkreślał spektakularnymi gestami. Parasol, wisząc na ramieniu Waldka, trzymającego się z całego towarzystwa najlepiej, opowiadał mu swoją wielką przygodę z górami Alaski.

- Idę po drewno - rzekł zdenerwowany już kłótnią Bazyl i wstając od ogniska udał się w stronę szopki, nie uszedł jednak nawet kilku

kroków, zatoczył koło i skierował się w stronę domu, a przechodząc koło chłopaków nakazał: - A właściwie to wy idźcie po chrust, ja idę po gitarę.

Lucek wstał pierwszy i już chciał iść do szopki, ale niestety moc samogonu rzuciła nim najpierw na Waldka, a potem na trawę.

- Nie zapominaj, Lucek, że siła grawitacji to nie bajka i trzymaj się prosto, jak chcesz iść po drewno - powiedział nachylając się nad nim Waldek.

- Święte słowa, Waldeczku - wybełkotał Lucek i ruszył znowu w stronę szopki.

Tym razem jednak mu się udało i wpadł z impetem na drzwi baraku, otwierając je. Co chwilę z jego wnętrza dobywały się dźwięki, które wskazywały na to, że Lucek nie najlepiej radzi sobie ze zbieraniem drewna na ognisko.

- Nie liczyłbym zbyt mocno na to, że Lucek wróci z choćby małym patykiem - zaśmiał się Waldek i dodał: - Widziałeś kiedyś Indian, ale takich prawdziwych?

- Byłem raz w rezerwacie - wybełkotał Parasol. - To niespecjalny widok, ale za to jeden z przewodników, pracujących ze mną, to czystej krwi Indianin - mówiąc to wstał i zataczając się zaczął podskakiwać i biegać na około ogniska.

Widząc to Waldek wstał pomału i naśladując Parasola opuścił ręce, pochylił się ku ziemi i tupiąc nogami udawał Indianina. Parasol zaczął nawet coś wykrzykiwać po indiańsku, a przynajmniej tak zdawało się Waldkowi, który dołączył do zabawy swój donośny głos. Słyszając to Lucek wytoczył się na czworakach szopki, stanął tak przed jej drzwiami i zaczął głośno wyc do księżyca udając wilka. Parasol zobaczywszy Lucka powiedział, śmiejąc się do Waldka:

- Zdaje się, że twój piękny irlandzki seter się odnalazł.

W tej właśnie chwili w drzwiach domu stanął Bazyl z gitarą. Zobaczył, co się dzieje i zaczął się śmiać, chciał dołączyć do kolegów, ale zapomniał o schodkach i zwałił się na ziemię przed gankiem.

Wstał i krzyknął do Lucka, który biegając po podwórku na czterech nogach i głośno wyjąc, został właśnie gwiazdorem wieczoru:

- Ty, może byś chociaż z jeden patyk przyniósł, zanim cię mój sąsiad odstrzeli?

Lucek podbiegł do szopy i naśladowując psa podniósł jedną nogę do góry udając, że sika. Wstał warcząc wściekle i zawył w stronę Bazyla:

- Nie kracz Bazyl, k... - urwał nagle.

- ...urwa - skończył za niego przerażony Bazyl.

Waldek z Parasolem stanęli, spojrzeli najpierw na przerażoną twarz Bazyla, potem na Lucka, a to, co zobaczyli, zmroziło krew w ich żyłach. Lucek z dziwnym grymasem na twarzy stał nienaturalnie prosto oparty o drzwi szopy, ręce zwisały mu bezwładnie, a ze środka czoła sterczał koniec bełta.

Stali jak wryci, nie wierząc w to, co widzą, przekonani, że to jakiś głupi kawał albo trik i że Lucek zaraz wyjmie te pióra z czoła i zacznie się z nich nabijać, kiedy nagle z ogrodzenia od strony sąsiedniego podwórka zeskoczył nagi mężczyzna i zaczął biec z szaleńczym wyrazem twarzy w stronę trupa. Dopadłszy go, zaczął toporkiem rąbać pomału, z wyraźną dokładnością, ciało Lucka. Po chwili, z przeraźliwym okrzykiem, cały we krwi przebiegł z powrotem koło stojących bez ruchu przy ognisku. Jednym susem przeskoczył przez ogień, dobiegł do płotu i sprawnie wskoczył na niego. Jeszcze raz odwrócił się w stronę ognia przeraźliwie się śmiejąc, zawył do księżycyca i znikł w ciemnościach.

Sparaliżowani, niemi świadkowie tej koszmarnej chwili, pomału odwrócili głowy z czarnej otchłani, w której zniknął nagus i skierowali swoje spojrzenia na szopę, na drzwiach której jeszcze przed chwilą wisiał martwy Lucek, a gdzie teraz została jedynie jego przybita bełtem głowa, której dwoje niemych oczu wpatrywało się w unoszący się nad ogniskiem dym.

STRÓŻ I BIEDRONKA

Oto co mi się przydarzyło rano 23 kwietnia 2002 roku o godzinie 6.22.

A zaczęło się od nocki spędzonej w robocie, która to noc zaczęła się dość dziwnie. Ktoś kiedyś wymyślił, że nocni stróże obchód po podlegającym im terenie mają robić co dwie godziny. Wypadło na parzyste. A więc o 0.00, a dokładniej o 0.05 przechodząc, jak zwierzchnik przykazał, cały teren, oczywiście bacząc uważnie na wszystko, zaszedłem pod starą spróchniałą wierzbę i na długiej, dość grubej aby na niej usiąść belce, spocząłem. To była jedna z tych magicznych chwil. Ja, księżyc oświetlający niezliczoną ilość gwiazd i bucząca za moimi plecami kotłownia. I wtedy nagle zobaczyłem przy mojej lewej nodze niezauważonego wcześniej zająca. Szarak siedział sobie spokojnie obok nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem go po szarych uszach. Oczy jego mętne wskazywały, że zwierz śpi chyba i śnią mu się biedronki, w końcu zaczynała się wiosna i miał prawo do kolorowych snów. O naturo moja nienasycona! Gdyby nie ty, trwalibyśmy tak jeszcze chwil parę, ale popchnęłaś rękę moją w jego stronę i tego mój miły druh nie zniósł. Prysnał szybciej niż przestraszony szczupak w rzece, zostawiając mi tylko zapach piżma. No cóż, czas wracać – pomyślałem i też prysnąłem, choć może nie tak szybko, jak on. Resztę nocy spędziłem czytając znalezioną na śmietniku gazetę. Oczywiście nie przerywałem warty, cały czas baczenie nasłuchując, w końcu za to mi płacili. I cóż takiego ciekawego znalazłem w prasie owej? Otóż

jeszcze po wojnie, a przed nieszczęsną dla ryb tamą we Włocławku, w Wiśle, dodając jej powagi, pływały jesiotry. Piękne, duże ryby, chluba naszej rzeki. Ostatnią z nich rybacy wyłowili i sfotografowali, co wynikało z zamieszczonej fotografii, w latach 50-tych. No i teraz wraz z odbudową tarlisk troci wędrownej i łososia, ichtiolodzy mieli zamiar oddać królowej naszych rzek to, co królewskie - jesiotry.

W przerwach od czytania obchodziłem teren, a spacerować te miały mi na rozmyślaniach. Różnych rozmyślaniach. O zajęciach, ich zapatrywaniach na biedronki i tym, co do cholery mają wspólnego ze sobą te dwa zgoła odmienne gatunki. Jakie to nieznane siły wprawiały w ruch naszą planetę i czy fizyka, jaką znamy, jest słuszną, czy może mylimy się okrutnie, a na przykład takie zjawisko jak czas w ogóle nie istnieje?

Myśli jak zawsze skakały z tematu na temat, a ja pozwalałem im hasać swobodnie, bez ograniczeń. Myślałem, co bym zrobił, gdybym był szarą eminencją tego kraju, a wszyscy (mówiąc to mam na myśli zakłamanych polityków) robiliby to, co im każę. Próbowałem postawić siebie w różnych absurdalnych sytuacjach, ale zawsze najlepiej czułem się w obecności zwykłych, prostych ludzi i to do nich myśłami wracałem. W ogóle od kiedy pamiętam, to mój stosunek do ludzi wszelkiej pozycji był ambiwalentny. I chyba taki właśnie powinien być, bo jak powiedział ktoś kiedyś: ludzie to najbardziej krwiożercze cymbały chodzące po tej ziemi. Z drugiej strony jednak nieraz przekonałem się o przebłyskach zaskakującej dobroci, którą tłamszą w sobie.

Potem oczywiście zatrzymałem się nad wyrastającą spomiędzy płyt chodnikowych roślinką, nie mogąc się nadziwić, dlaczego wybrała sobie takie miejsce do życia, jeśli w ogóle miała jakikolwiek wybór. Zawsze podobała mi się taka korelacja. Stare fundamenty domu gdzieś w środku lasu trawione pomału przez naturę albo mech rosnący pomiędzy stopniami betonowych schodów w centrum wielkiego miasta.

Tak oto dotrwałem do godziny 5:00, kiedy to wziąłem prysznic, ogoliłem się i umyłem ząbki. O higienę jamy ustnej warto czasem zadbać, chociażby dla własnego lepszego samopoczucia. Przed 6:00 – poranna witaj zmiano! O 6:11 byłem już w samochodzie i ruszałem do domu słuchając piosenki, której słowa zawsze dziwnie do mnie pasowały:

*„Jedyne co mam to złudzenia,
Że mogę mieć własne pragnienia.
Jedyne co mam, to złudzenia,
że mogę je mieć...”.*

Dojechałem do mostu na rzece. Rzece, nad którą istniały miejsca, do których wracając czułem się tak, jakbym wracał do domu. I wtedy, a było to dokładnie o 6:22, wydarzyło się coś, czego nigdy bym się nie spodziewał, nawet w najśmielszych myślach albo najdziwniejszych snach. Most na Wiśle zaczął się... rozsuwać? Tak, jak most łączący dwie portowe części miasta. Rozsuwał się, jak gdyby w oczekiwaniu na, biorąc pod uwagę jego wysokość, ogromnych rozmiarów żaglowiec. Jednak nie dojrzałem tam żadnej, choćby najmniejszej łajby, a moje zdziwienie sięgnęło zenitu, gdy patrząc w dół zobaczyłem, nie to mało powiedziane. Ten widok mnie ogłuszył. Były to piękne, olbrzymie, o ogromnych rozmiarów płetwach grzbietowych, majestatycznie przecinające fale... jesiotry?

Tak, to były one. Prawdziwe, najprawdziwsze, wielkie niczym potężne statki, jesiotry. Płynęły jeden za drugim przez kilka minut, chociaż czas wtedy zatrzymał się w miejscu albo biegł z zawrotną prędkością, nie miało to żadnego znaczenia, nic nie miało znaczenia, jedynie połyskujące ciała ogromnych ryb, których czubki płetw wystawały z za otwarte części mostu. Zgasłem silnik samochodu i wpatrywałem się w ten niecodzienny widok z poczuciem żalu, że nie mogę płynąć z nimi. One, czując moją obecność, a może wyczuwając

moją za nimi tęsknotę, zwolniły, ale gdy tylko ostatni z nich minął most, zaczęły się coraz szybciej oddalać, nie zważając na mój żal.

Mignęły mi jeszcze tylko w oddali ich długie ciała, mieniące się wielością łusek odbijających pierwsze tego dnia, promienie słońca. Most zsunął się na powrót, a ja pojechałem już teraz w nieznane – wiedziałem już, że życie pełne jest niespodzianek, a na moim palcu w każdej chwili może wylądować kropkowana na zielono biedronka, a pod jej skrzydełkiem znajdować się będzie mógł cały wszechświat, w którym jesiotry pływają niestrudzenie.